

Frank Herbert

Twórcy Bogów

Przekład: Maria Ryć

Spis treści

Prolog	4
Rozdział 1.....	6
Rozdział 2.....	8
Rozdział 3.....	11
Rozdział 4.....	20
Rozdział 5.....	34
Rozdział 6.....	46
Rozdział 7.....	59
Rozdział 8.....	63
Rozdział 9.....	69
Rozdział 10.....	71
Rozdział 11.....	73
Rozdział 12.....	84
Rozdział 13.....	90
Rozdział 14.....	98
Rozdział 15.....	100
Rozdział 16.....	104
Rozdział 17.....	113
Rozdział 18.....	123
Rozdział 19.....	131
Rozdział 20.....	137
Rozdział 21.....	139
Rozdział 22.....	149
Rozdział 23.....	153
Rozdział 24.....	154
Rozdział 25.....	166
Rozdział 26.....	168
Rozdział 27.....	177
Rozdział 28.....	179
Rozdział 29.....	181

Rozdział 30.	195
Rozdział 31.	199

Prolog

Abbod opuścił ręce i odwrócił się z niezwykłą powolnością, jakby sparaliżowany trwogą. Tak, to był prawdziwy Shriggar – stwór tak wielki, że w pokoju musiał się skulić. Z jego krótkich łap zwisały wielkie, ostre pazury. Wąska paszcza z haczykowatym dziobem otwarła się, odsłaniając rozwidlony jęzor, który kołysał się na boki. Umieszczone na słupkach oczy wierciły się, a oddech wypełnił pokój bagiennym odorem.

Nagle jaszczur zamknął paszczę z głośnym trzaśnięciem.

Kiedy otwarła się ponownie, wydobył się z niej głos: głęboki, odcieleśniony, artykułowany bez synchronizacji z ruchem języka i szczęk Shriggara. Głos mówił:

– Bóg, którego tworzycie, może umrzeć w czasie narodzin. Takie rzeczy zdarzają się w swoim czasie i na swój sposób. Ja trwam czujny i gotowy. Nastąpi gra wojny: powstanie miasto ze szkła, gdzie żyją stworzenia o wielkich możliwościach. Dla polityków i dla kapłanów przyjdzie czas lęku przed następstwami ich zuchwalstwa. Wszystko to musi się zdarzyć dla osiągnięcia nieznanego celu.

Trzeba zrozumieć, że pokój jest sprawą wnętrza. Musi stanowić samodyscyplinę tak dla jednostki, jak i dla całej cywilizacji. Musi pochodzić z wnętrza. Jeśli dla wymuszenia pokoju posługujemy się siłą zewnętrzną, siła ta będzie rosła. Nie ma ona innego wyjścia. Nieuniknionym tego skutkiem stanie się eksplozja, katastrofalna i chaotyczna. Tak zbudowany jest nasz wszechświat. Kiedy tworzymy parę przeciwnieństw, jedno z nich pokona drugie, o ile nie znajdą się w delikatnej równowadze.

DIANA BULLONE,
Pisma

Rozdział 1.

Żywa istota, aby stać się bogiem, musi przekroczyć swą cielesność. Znamy trzy kroki na drodze owej transcendencji. Po pierwsze: należy osiągnąć świadomość utajonej agresji. Po drugie: należy osiągnąć zdolność rozpoznawania zamysłu w jego zwierzęcym kształcie. Po trzecie: należy doświadczyć śmierci. Kiedy to się dokona, nowo narodzony bóg musi odnaleźć własne odrodzenie w szczególnej próbie, dzięki której odkrywa tego, kto go powołał.

„Tworzenie Boga”,
Księga Amel

Lewis Orne nie mógł pamiętać już czasów, kiedy nie nawiedzał go pewien szczególny, powtarzający się sen; czasów w których mógłby zasypiać ze świadomością, iż nieposkromiona realność tego snu nie porwie jego psyche.

Sen zaczynał się od muzyki, od magicznego niewidzialnego chóru, słodkiego w brzmieniu, niebiańsko żartobliwego. Z muzyki wyłaniały się mgliste postacie wizualnego wymiaru podobnej jakości. W końcu jakiś głos zagłuszał to wszystko niepokojącymi oświadczeniami:

– Bogowie nie rodzą się; ich się tworzy.

Albo:

– Powiedzieć, że jest się neutralnym, to tak jakby powiedzieć, że akceptuje się konieczność wojny.

Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na kogoś, kogo mógłby nawiedzać taki sen. Był mocno zbudowanym mężczyzną o silnie rozwiniętych mięśniach charakterystycznych dla rodowitych mieszkańców planety: jego ojczyzną był Chargon z Bemmy. Twarz przypominała pysk buldoga o potężnych szczękach i nieruchomym spojrzeniu, które często wprawiało ludzi w zakłopotanie.

Mimo tego szczególnego snu, a może właśnie z jego powodu Orne regularnie składał hołd Amel, „planecie, na której mieszka wszelka boskość”. Z powodu wypowiedzi ze snu, które towarzyszyły mu przez całe życie na jawie, w swoje dziewiętnaste urodziny Orne wstąpił do Służby Ponownego Odkrycia i Reedukacji, której celem było zszycie na nowo imperium galaktycznego, rozszarpanego Wojnami Kresowymi.

Po przeszkoleniu w Szkole Pokoju na Marak, w pewien pochmurny poranek POR wysadziła Orne'a na zerowym południku i czterdziestym równoleżniku ponownie odkrytej planety Hamal. Była to planeta typu ziemskiego, której mieszkańcy wskutek krzyżówek z urodzonymi na Światach Centralnych, przypominali osobniki odgałęzienia genetycznego homo sapiens.

Dziesięć hamalskich tygodni później, stojąc na skraju wioski na Wyżynie Centralno-Południowej Orne nacisnął guzik alarmowy w małym zielonym aparacie sygnalizującym, który miał w prawej kieszeni kurtki. Miał w tym momencie pełną świadomość, że jest jedynym na Hamal przedstawicielem służb, które często traciły agentów z niewyjaśnionych przyczyn.

To widok około trzydziestu Hamalitów wpatrujących się ponuro w swego towarzysza, który właśnie przewrócił się na stertę owoców, nie czyniąc sobie przy tym krzywdy, sprawił, że jego ręka sięgnęła po sygnalizator.

Nie było żadnego śmiechu, żadnego dostrzegalnego poruszenia.

Wraz z innymi spostrzeżeniami, które Orne zebrał, przypadek ów składał się na dominującą na Hamal aurę zagłady.

Orne westchnął. Stało się. Wysyłając sygnał w Kosmos zapoczątkował łańcuch wypadków, które mogły doprowadzić do zniszczenia Hamal, jego samego albo obojga.

Później odkrył, że wtedy właśnie uwolnił się od swego powracającego snu. Jego miejsce zajął ciąg wypadków na jawie, które z czasem sprawiły, że zdawało mu się, iż wkroczył w swój tajemniczy senny świat.

Rozdział 2.

Religia zakłada istnienie szeregu stosunków dwudzielnych. Potrzebuje wierzących i niewierzących. Potrzebuje tych, którzy znają tajemnice, i tych, którzy tylko się ich boją. Potrzebuje tego, który jest wewnątrz, i tego, który jest na zewnątrz. Potrzebuje zarówno boga, jak i diabła. Potrzebuje absolutu i mądrości. Potrzebuje tego, co bezkształtne /aczkolwiek w stanie kształtowania/, jak i tego, co ukształtowane.

*Inżynieria religijna,
tajemne pisma Amel*

– Mamy właśnie stworzyć boga – powiedział Abbod Halmyrach.

Był niskim ciemnoskórym mężczyzną w blado pomarańczowej szacie spływającej miękkimi fałdami aż do kostek. Nad jego wąską, szczupłą twarzą dominował długi nos, zwisający niczym czujnik nad szerokimi ustami o wąskich wargach. Na głowie lśniła brunatna łysina.

– Nie wiemy, z jakiego stworzenia czy przedmiotu zrodzi się ten bóg – powiedział Abbod. – Może to będzie jeden z was.

Skinął dłonią w stronę pokoju wypełnionego akolitami siedzącymi na gołej podłodze. Surowe pomieszczenie oświetlone było mdławymi promieniami amelskiego słońca. Pokój ten był fortecą Psi umocnioną instrumentami i zaklęciami. Miał dwadzieścia metrów długości i trzy metry wysokości. Przez jedenaście okien (pięć z jednej strony i sześć z drugiej) widoczne były rzędy dachów centralnego kompleksu religijnego mrowiska Aniel. Ściana za plecami Abboda i ta, ku której się zwracał, wyglądały jak zrobione z białego kamienia poznaczonego brązowymi liniami przypominającymi ślady owadów – jedna z konfiguracji maszyny Psi. Ściany rozsiewały blade światło, jednorodne jak mleko.

Abbod czuł moc unoszącą się między tymi ścianami i doświadczał uprzedzającego przebłysku strachu, o którym wiedział, że jest powszechny w klasie akolitów. Oficjalnie klasę tę nazywano Inżynierią Religijną, jednak młodzi trwali uparcie w swej niewierze. Dla nich było to Tworzenie Boga.

A byli dostatecznie wykształceni, aby znać związane z tym niebezpieczeństwa.

– To co tu mówią i to co robią zostało precyzyjnie zaplanowane i wymierzone – ciągnął Abbod. – Przypadkowy wpływ może być niebezpieczny. Oto dlaczego ten pokój jest tak celowo prosty. Najmniejsze nienormalne zakłócenie może wprowadzić niewiarygodne odchylenia w tym, co robimy. Powiadam zatem, że żadna hańba nie spadnie na tego z was, kto zechce w tej chwili opuścić to pomieszczenie i nie brać udziału w tworzeniu boga.

Ubrani w białe szaty akolici poruszyli się nerwowo, ale żaden nie skorzystał z propozycji.

Abbod poczuł lekką satysfakcję. Jak dotąd wszystko przebiegało zgodnie z jego przewidywaniami. Odezwał się znów:

– Jak wiemy, niebezpieczeństwo tworzenia boga polega na tym, że może nam się to udać. W nauce Psi sukces tej miary, jaki zakładamy w tym pokoju, pociąga za sobą głębokie niebezpieczeństwo. My rzeczywiście tworzymy boga. Stworzywszy go, osiągniemy coś, co paradoksalnie nie jest już naszym dziełem. Równie dobrze sami możemy stać się dziełem tego, co stworzyliśmy.

Abbod pochylił głowę, zadumał się nad wszystkimi dziełami tworzenia bogów w ludzkiej historii: dzikie, pragmatyczne, prymitywne, wymyślone... a jednak wszystkie nieprzewidywalne. Niezależnie od tego, jak został stworzony, bóg chadza swoimi drogami. Kaprysów bogów nie należało lekceważyć.

– Bóg za każdym razem na nowo przybywa z chaosu – ciągnął Abbod. – Nie kontrolujemy tego; umiemy tylko stworzyć jakiegoś boga.

Poczuł skurcz strachu w ustach, rozpoznał po tym wzrastające

wokół niezbędne napięcie. Bóg musi przybyć po części ze strachu, ale nie wyłącznie ze strachu,

– Musimy trwać w lęku przed tym, co stworzymy – kontynuował. – Musimy być gotowi do uwielbienia, posłuszeństwa, zanoszenia próśb i błagań.

Akolici wiedzieli, co mają odpowiedzieć.

– Uwielbiać i być posłusznym – zamruczeli. Biło od nich grozą.

O, tak. Nieskończone możliwości i nieskończone niebezpieczeństwo: oto gdzie teraz jesteśmy, pomyślał Abbod. W chwilach splata się faktura naszego wszechświata.

– Po pierwsze, powołamy do istnienia półkształt, pośrednika boga, którego tworzymy – mówił dalej. Wzniósł ramiona, powstrzymując przepływ siły pomiędzy ścianami, co sprawiło, że w pomieszczeniu zafalowały wiry: Poruszając się, odczuł jednoczesność w swoim wszechświecie; pojawiły się obrazy, które przedstawiały trzy dziejące się równocześnie zdarzenia. W jego umyśle pojawiła się wizja własnego brata: Ag Emolirido, długonosy, podobny do ptaka człowiek stał w bladym świetle na odległej Marak i szlochał bez powodu. Ta wizja przekształciła się w obraz ręki jednym palcem naciskającej guziki w małym zielonym pudełku. W tej samej chwili zobaczył siebie samego z podniesionymi rękami, podczas gdy Shriggar, chargoński jaszczur śmierci wyłaniał się ze ściany Psi za jego plecami.

Akolici wstrzymali oddech.

Abbod opuścił ręce i odwrócił się z niezwykle powolnością, jakby sparaliżowany trwogą. Tak, to był prawdziwy Shriggar – stwór tak wielki, że w pokoju musiał się skulić. Z jego krótkich łap zwisały wielkie, ostre pazury. Wąska paszcza z haczykowatym dziobem otwarła się, odsłaniając rozwidlony jęzor, który kołysał się na boki. Umieszczone na słupkach oczy wierciły się, a oddech wypełnił pokój bagiennym odorem.

Nagle jaszczur zamknął paszczę z głośnym trzaśnięciem.

Rozdział 3.

Każdy, kto kiedykolwiek poczuł, że skóra mu cierpie z podniecenia, gdy świadom jest obecności czegoś niewidzialnego; zna pierwotne odczucia Psi.

HALMYRACH, ABBOD AMEL,
Psi i religia, Przedmowa

Lewis Orne trzymał ręce splecione za plecami, aż pobielają kostki palców. Ze swego okna na drugim piętrze obserwował hamalski poranek. Wielkie żółte słońce wznosiło się na bezchmurnym niebie ponad odległymi górami. Zapowiadał się upalny dzień.

Zza jego pleców dobiegał odgłos skrzypiącego rylca, którym pracownik do spraw Badań-Dostosowań sporządzał na papierze transmisyjnym uwagi na temat wywiadu, który właśnie zakończyli. Papier transmitował zapis słów na oczekujący statek pracownika B-D.

Być może nie miałem racji naciskając przycisk wzywający pomocy, myślał Orne. To jeszcze nie daje temu mądrali prawa pomiataania mną. W końcu to moja pierwsza robota. Nie mogą spodziewać się perfekcji od pierwszego razu.

Skrzypiący rylce zaczął działać mu na nerwy.

Jego kwadratowe czoło pokryły zmarszczki. Lewą rękę oparł na surowej drewnianej futrynie, prawą powiódł po sztywnej szczecinie krótko obciętych rudych włosów. Luźny krój białego kombinezonu – typowego dla POR – podkreślał jego masywną budowę. Czuł, że waha się między gniewem a pragnieniem dania upustu swej chochlikowa tej naturze, którą zazwyczaj starał się powściągnąć.

Myślał: jeśli pomyliłem się co do tego miejsca, wywalą mnie ze służby. Zbyt wiele jest niesnasek między POR a B-D. Ten żartowniś z B-D byłby zachwycony, gdybyśmy wyszli na głupków. Ale na boga! Będzie heca, jeśli nie mylę się co do Hamal!

Orne potrząsnął głową. Prawdopodobnie się jednak myłę, pomyślał.

Im więcej o tym myślał, tym mocniej czuł, że głupotą było wezwanie B-D. Hamal prawdopodobnie nie była z natury agresywna. Zapewne nie istniało niebezpieczeństwo, że POR dostarczy bazy technologicznej dla potencjalnego sprawcy wojny.

A jednak...

Orne westchnął. Poczłł nieuchwytny, jakby występujący we śnie niepokój. To odczucie przypominało mu swobodny tok świadomości przed przebudzeniem, momenty jasności, kiedy działanie, myśl i uczucie splatały się wzajemnie.

Ktoś stąpał ciężko po schodach na drugim końcu budynku. Podłoga trzęsła się pod stopami Orne'a. To był stary budynek, rządowy dom gościnny, zbudowany z surowego drewna. W pokoju utrzymywał się kwaśny zapach wielu poprzednich lokatorów i niedbałego sprzątnia.

Ze swego okna na drugim piętrze, Orne widział fragment brukowanego placu targowego w miasteczku Pitsiben. Za rynkiem dostrzegał szeroki szlak biegnącej grzbietem wzgórza drogi z Równiny Rogga. Wzdłuż drogi ciągnęła się podwójna linia ruchomych sylwetek; rolnicy i myśliwi podążali do Pitsiben na dzień targowy. Nad drogą unosił się bursztynowy kurz. Zacierał kontury sceny, nadając jej romantycznie zamglony wygląd.

Rolnicy w pochyleniu pchali swe niskie dwukołowe wózki, ciężko chybotliwie powłóczyli nogami. Nosili długie, zielone płaszcze, zielone berety zsunięte jednakowo na lewe ucho, żółte pociemniałe od pyłu spodnie, otwarte sandały, które odsłaniały zrogowaciałe stopy spłaszczone niczym kopyta zwierząt pociągowych. Na wózkach piętrzyły się sterty zielonych i żółtych warzyw, jakby dopasowanych odcieniem do dominującej palety kolorów.

Ubrani brązowo myśliwi posuwali się nieco z boku – jak straż na flance. Szli wyprostowani, z podniesionymi głowami; na kapeluszach kołysały się pióra. Każdy niósł na przerzuconym przez ramię pasku

strzelbę o rozszerzającej się u wylotu lufie, a na lewym ramieniu lornetkę w skórzanym futerale. Za myśliwymi dreptali ich uczniowie ciągnący trzykołowe wózki załadowane bagiennymi jeleniami, cętkowanymi kaczkami i *porjo* – gryzoniami o wężowatych ogonach, które uchodziły wśród Hamalitów za przysmak.

Na odległym skraju doliny Orne dostrzegał ciemnoczerwoną iglicę statku B-D, który tamtego dnia przybył tuż po zmroku, kierując się na jego przekaźnik. Statek również wydawał się spowity senną mgiełką; jego kształt krył się w błękitnych dymach z kuchni rolniczych domów wypełniających dolinę. Czerwony kształt statku górował nad domami, wydawał się nie na miejscu, jak ornament pozostały ze świątecznych dekoracji dla olbrzymów.

Gdy Orne przyglądał się widokowi z okna, jeden z myśliwych przystanął na drodze, zdjął kurtkę i bacznie obserwował statek B-D. Wydawało się, że jest to tylko przelotne zainteresowanie, a jednak jego działania nie spełniały oczekiwań. Po prostu nie pasowały.

Dym i gorące żółte słońce nadawały krajobrazowi letni wygląd – bujnej roślinności na tle pastelowego żaru. Ta spokojna scena wzbudziła w Orne'ie głębokie uczucie rozdrażnienia.

Przekleństwo! Nie dbam o to, co mówi B-D. Miałem rację, że ich wezwałem. Ci Hamalicy coś ukrywają. Nie są pokojowo nastawieni. Ten matoł z Pierwszego Kontaktu popełnił prawdziwy błąd, kiedy wygadał się, jaką wagę przywiązujemy do pokojowej historii!

Orne uświadomił sobie, że rylec przestał skrzypieć. Mężczyzna z B-D chrząknął.

Orne odwrócił się, spojrział przez niski pokój na pracownika wnika B-D. Agent siedział przy topornym stole obok nieposłanego łóżka Orne'a. Wokół niego nas rozrzucone były papiery i broszury. Stertę przyciśnięto małym rejestratorem, Człowiek z B-D rozwalił się na niewygodnym drewnianym krześle. Miał wielką głowę o grubych rysach twarzy i zniszczonej cerze. Jego włosy były rzadkie i ciemne. Powieki obwisły. Nadawało to twarzy wyraz hardego lekceważenia, który mógłby służyć jako znak rozpoznawczy B-D. Człowiek ten nosił

niebieski mundur polowy bez insygniów. Przedstawił się jako Umbo Stetson, szef operacji B-D tego sektora.

Szef operacji, myślał Orne. Dlaczego przysłali szefa?

Stetson dostrzegł skupienie Ornie'a i powiedział:

– Zdaje się, że większość już zrobiliśmy. Sprawdźmy jeszcze raz na wszelki wypadek. Wylądowałeś tu dziesięć lat temu, prawda?

– Tak, Zostałem wysadzony – ładownikiem z transportowca POR, Ponownego Odkrycia Arneb.

– To była twoja pierwsza misja?

– Już mówiłem. Ukończyłem Uni-Galaktę z kategorią 07 i odbyłem staż na Timurlain.

Stetson zmarszczył brwi...

– Wtedy posłali cię prosto tu, na tę dopiero co odnalezioną zafaną planetę?

– Dokładnie tak.

– Rozumiem. A ty byłeś pełen dawnego misjonarskiego zapału, by pod zwisnąć ludzkość I tak dalej?

Orne zarumienił się i spojrzał spode łba.

Stetson skinął głową.

– Widzę, że nadal w starej, kochanej Uni-Galakcie uczą tych bzdur o „kulturalnym odrodzeniu”. – Położył rękę na sercu, podniósł głos parodiując z patosem:

– Musimy ponownie połączyć zagubione planety z ośrodkami kultury i przemysłu i podjąć na nowo chwalebny marsz ludzkości, tak brutalnie przerwany przez Wojny Kresowe!

Splunął na podłogę.

– Myślę, że możemy sobie to darować – mruknął Orne.

– Masz słuszość – powiedział Stetson. – Co zatem przywiozłeś ze sobą do tego ślicznego kurortu?

– Miałem słownik zestawiony przez Pierwszy Kontakt, ale był on bardzo fragmentaryczny pod względem...

– Kto był tym Pierwszym Kontaktem?

– Na słowniku widniało nazwisko Andre Bullone.

– Mhm. Czy łączy go coś z Wysokim Komisarzem Bullone?

– Nie wiem.

Stetson pośpiesznie coś nagryzmolił.

– Raport Pierwszego Kontaktów mówi, że jest to miejsce szczególne, pokojowa planeta o prymitywnej rolniczo-łowieckiej gospodarce, czyż nie tak?

– Owszem.

– Hm, hm. Co jeszcze wziąłeś do tego ogródka?

– Zwyczajny zestaw do pracy i raportów... i przekaźnik, oczywiście.

– I przycisnąłeś guzik wzywania pomocy tego przekaźnika dwa dni temu, tak? Czy zjawiliśmy się tu dosyć szybko twoim zdaniem?

Orne gapił się ponuro w podłogę.

– Przypuszczam, że twoja zwykła ejdetyczna pamięć została nadmiernie zapchana wiedzą kulturalno-medyczno-przemysłowo-technologiczną – odezwał się Stetson.

– Jestem wysoko kwalifikowanym agentem POR!

– Uczcijmy to minutą pełnej szacunku ciszy – oświadczył Stetson. Nagle trzasnął pięścią w stół. – To oczywista cholerna głupota! Nic innego jak polityczny popis!

Gwałtowność tej uwagi zaintrygowała Orne'a.

– Co?

– Sztuczki POR, synku. Demagogia, ciągle przedłużanie kilku politycznych życiorysów za cenę wystawiania na niebezpieczeństwo nas wszystkich. Zapamiętaj sobie moje słowa: raz okryjemy na nowo o jedną planetę za dużo; damy jej ludowi bazę przemysłową, do której nie dorosła, i zobaczymy kolejną Wojnę Kresową, co będzie miała przynieść koniec wszystkim Wojnom Kresowym!

Orne postąpił krok naprzód, wpatrując się uporczywie w Stetsona.

– A co, do diabła, myślisz? Dlaczego nacisnąłem guzik alarmowy?

Stetson usiadł; wybuch przywrócił mu spokój.

– Drogi kolego, to właśnie próbujemy teraz ustalić. – Postukał się rylcem w przednie zęby. – No właśnie: dlaczego nas wezwałeś?

– Mówiłem już! To jest... – Machnął ręką w stronę okna.

– Czuleś się samotny i chciałeś, żeby B-D przybyło i pottrzymało cię za rączkę, czyż nie tak?

– Och, idź do...! – warknął Orne.

– We właściwym czasie, synu. We właściwym czasie. – Obwisłe powieki Stetsona zwisały jeszcze bardziej. – No... na co kazały ci zwrócić uwagę te bałwany z POR?

– Na oznaki wojny. – Orne przełknął kolejną złośliwość.

– Co jeszcze? Wyliczaj.

– Szukamy umocnień, zabaw w wojnę wśród dzieci, ludzi ćwiczących musztrę i innych grupowych działań podobnych do czynności wojskowych.

– Na przykład mundurów?

– Oczywiście! A także zniszczeń wojennych, poranionych ludzi, uszkodzonych budynków. Ustalamy poziom wiedzy o leczeniu ran wśród lekarzy. Szukamy śladów masowych zniszczeń, no i tak dalej.

– Naocznych dowodów. – Stetson potrząsnął głową. – Uważasz, że to wystarczy?

– Nie, do diabła, nie uważam!

– Masz rację – powiedział Stetson. – Hm. Pogrzebmy trochę głębiej. Nie bardzo rozumiem, co cię niepokoi u tutejszych uczciwych obywateli.

Orne westchnął i wzruszył ramionami.

– Nie mają ducha, werwy, humoru. Żyją w ciągłej powadze, graniczącej z posępnością.

– Och?

– Tak. Ja... Ja... hm... – Orne zwilżył usta językiem. – Ja... hm... powiedziałem Radzie Przywódców, że nasi ludzie są bardzo zainteresowani stałym źródłem kości frulapów, z których można robić leworęczne sosjerki.

Stetson aż podskoczył.

– Co zrobiłeś?

– No tak, oni byli tak cholernie na serio przez cały czas. Miałem po prostu tego dosyć i...

– Co się stało?

– Poprosili o szczegółowy opis frulapa i ewentualnie metody przygotowania kości do transportu.

– I co im powiedziałaś?

– No cóż... Po wysłuchaniu opisu ustalili, że na Hamal nie ma żadnych frulapów.

– Rozumiem – powiedział Stetson. – Nie ma frulapów – oto, co jest tutaj nie w porządku.

No to stało się, pomyślał Orne. Dlaczego nie trzymałem gęby na kłódkę? Teraz przekonałem go, że mam bzika.

– Jakież wielkie cmentarze, pomniki, nic z tych rzeczy? – spytał Stetson.

– Ani jednego. Mają zwyczaj grzebania zmarłych w pozycji pionowej i sadzenia nad nimi drzew. Jest tu kilka ogromnych sadów.

– Myślisz, że to coś znaczy?

– Niepokoi mnie to.

Stetson westchnął i odchylił się w fotelu. Postukiwał rylcem w blat, patrząc w dół. nagle zapytał:

– Jak podchodzą do reedukacji?

– Bardzo zainteresowały ich cele przemysłowe. Oto dlaczego jestem tutaj, w miasteczku Pitsiben. Znaleźliśmy w pobliżu złoża wolframu i...

– A co z lekarzami? Chirurgia urazowa i tak dalej? – zapytał Stetson.

– Trudno powiedzieć. – Orne zawahał się. – Wiesz, jak to jest z lekarzami. Zawsze uważają, że wiedzą wszystko, i ciężko ustalić, co wiedzą na prawdę. Czegoś się jednak dowiedziałem.

– Jaki jest u nich ogólny poziom medycyny?

– Mają niezłą znajomość podstaw anatomii, chirurgii i nastawiania kości. Nie mam jednak pojęcia o ich wiedzy na temat ran.

– Jak sądzisz, dlaczego ta planeta jest taka zacofana?

– Ich historia mówi, że Hamal została przypadkowo zasiedlona przez szesnastu rozbitków, jednaście kobiet i pięciu mężczyzn z krążownika Tritsahinu, uszkodzonego w bitwie, w początkowym okresie Wojen Kresowych. Wylądowali w szalupie bez większej ilości sprzętu i z diabelnie małymi umiejętnościami. Wydaje mi się, że była to grupa dezertersów, którzy po prostu zwiali.

– I siedzieli tu, dopóki nie pojawiło się POR – ironizował Stetson. – Ślicznie, po prostu ślicznie.

– To było pięćset standardowych lat temu – zauważył Orne.

– I ci szlachetni ludzie ciągle zajmują się rolnictwem i łowiectwem – mruknął Stetson. – Och, ślicznie. – Spojrzał na Orne'a. – Ile czasu potrzebowaliby ta planeta, przyjmując, że mają skłonności do agresji, aby stać się poważnym zagrożeniem wojennym?

– No cóż, mają w tym sensie dwie niezamieszkałe planety, które można wykorzystać jako źródło surowców. Cóż, myślę, że dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat standardowych od momentu uzyskania odpowiedniej bazy przemysłowej na macierzystej planecie.

– A ile czasu potrzebuje ich agresywna warstwa społeczna, aby pozyskać wystarczającą wiedzę o tym, jak zejść do podziemia, że aż trzeba będzie rozwalić całą planetę, żeby się do niej dostać?

– Powiedzmy rok, przy obecnym tempie rozwoju.

– Zaczynasz rozumieć milutki problemik, który tworzą nam te barany z POR! – Stetson oskarżycielskim ruchem pokazał na Orne'a. – I zrobimy teraz małe potknięcie! Ogłosimy tę planetę źródłem agresji, sprowadźmy siły okupacyjne i niech twoi cholerni szpiegowie uznają, że robimy błąd! – Zacisnął pięść. – Już to widzę!

– Zaczęli już budowę fabryk do produkcji obrabiarek – zauważył Orne. – Działają szybko, chłoną wiedzę niczym jakaś ciemna ponura gąbka. – Wzruszył ramionami.

– Bardzo poetycznie – warknął Stetson. Uniósł swe długie ciało z krzesła i stanął na środku pokoju.

– Przypatrzmy się temu z bliska. Ostrzegam cię, Orne, B-D ma

ważniejsze sprawy na głowie niż podcieranie tyłka POR.

– Wy po prostu uwielbiacie robić z nas bandę partaczy – zauważył Orne.

– Masz rację, synu. Dzięki temu mogę spać spokojnie.

– A co będzie, jeśli się pomyliłem! Pierwszy...

– Zobaczymy, zobaczymy. No chodź. Weźmiemy mój pojazd terenowy.

Wszystko na nic, pomyślał Orne. Ten frajer nie ma wcale zamiaru poważnie zabrać się do badania sprawy, skoro łatwiej jest usiąść i śmiać się z POR. Jestem skończony jeszcze przed startem.

Rozdział 4.

Jeden z głównych problemów inżynierii religijnej dla dowolnego gatunku polega na tym, by wcześniej rozpoznać system samoregulacyjny, od którego zależy istnienie gatunku, i zaniechać zwalczania go.

*Inżynieria religijna,
podręcznik praktyczny*

Kiedy Orne i Stetson wyszli na brukowaną ulicę Pitsiben, robiło się coraz goręcej. Zielone i żółte sztandary zwisały bezwładnie z masztów na dachu domu gościnnego. Wszelki ruch zdawał się spowolniony. Grupy flegmatycznych Hamalitów stały przed ocienionymi straganami warzywnymi naprzeciwko budynku. Ponuro wpatrywali się w pojazd B-D zaparkowany przy drzwiach domu gościnnego.

Wóz terenowy był biały, o kształcie kropki, miał dwa siedzenia, szybę dookoła i turbinę z tyłu.

Orne i Stetson wsiedli, zapięli pasy.

– O to właśnie mi chodziło – zauważył Orne.

Stetson uruchomił turbinę i wcisnął sprzęgło, nim silnik osiągnął właściwe obroty. Pojazd podskoczył kilka razy na bruku, ale wkrótce zadziałały żyroskopowe resory. Zrobili ryzykowny zakręt obok straganów warzywnych.

Stetson starał się przekrzyczeć odgłosy silnika.

– To znaczy, o co ci chodziło?

– O tych głupków z tyłu. W każdym innym miejscu wszechświata staliby wokół pojazdu, zaglądali przez rury silnika, popukiwali od spodu zawieszenie i tak dalej. A ci stali z dala i gapili się ponuro.

– Nie ma frulapów – zażartował Stetson.

– Właśnie!

– Jak myślisz, dlaczego tak się zachowują?

– Może są po prostu nieśmiali?

– Umówmy się, że o tym nie wspominałem. Z twojego raportu wynika, że na Hamal nie ma miast otoczonych murami – powiedział Stetson. – Zwolnił, aby przejechać między wózkami. Rolnicy rzucili im jedynie przelotne spojrzenie.

– Nie widziałem żadnych – odparł Orne.

– Nie było dużych grup prowadzących musztrę?

– Nie widziałem żadnych.

– Może jakieś jednostki ciężkiej broni?

– Nie widziałem żadnych.

– Zaciąłeś się z tym „nie widziałem żadnych?” – zdenerwował się Stetson. – Podejrzewasz, że coś ukrywają?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo to wszystko jakoś nie pasuje do tej planety. A kiedy coś nie pasuje, zawsze są jakieś pogubione części.

Stetson oderwał wzrok od drogi i rzucił Orne’owi ostre spojrzenie.

– Jesteś zatem podejrzliwy?

Orne złapał za uchwyt, kiedy pojazd przechylił się na zakręcie, wjeżdżając na szeroką drogę wiodącą grzbietem wzgórza.

– Mówiłem ci to od początku.

– Jesteśmy zachwyceni, mogąc badać najsubtelniejsze podejrzenia POR – ironizował Stetson.

– Lepiej, żebym to ja zrobił błąd, niż gdybyście to wy go zrobili – odburknął Orne.

– Powinieneś zauważyć, że ich budynki są prawie w całości z drewna – powiedział Stetson. – Na ich poziomie technologicznym występowanie drewnianych budowli świadczy raczej o pokojowym usposobieniu.

– Pod warunkiem, że wiemy co to znaczy... – „na ich poziomie technologicznym”. – Orne wskazał krajobraz.

– To tego was teraz uczą w starej dobrej Uni-Galakcie?

– Nie, to mój własny pomysł. Gdyby posiadali artylerię i ruchli-

wą kawalerię, kamienne forty byłyby bezużyteczne.

– A w co wyposażyliby kawalerię? – powątpiewał Stetson. – Według twojego raportu na Hamal nie ma zwierząt wierzchowych.

– W każdym razie nie odkryłem ich... jak dotąd!

– W porządku – zgodził się Stetson. – Będę wyrozumiały. Mówiłeś o broni. Jakiej broni? Nie widziałem tu cięższego kalibru niż strzelby myśliwskie.

– Gdyby mieli działa, to tłumaczyłoby wiele – zauważył Orne.

– Na przykład brak kamiennych fortów?

– No właśnie!

– Ciekawa teoria. A na marginesie, jak wytwarzają strzelby?

– Są produkowane ręcznie przez rzemieślników, którzy tworzą rodzaj cechu.

– Rodzaj cechu. Oj! – Stetson gwałtownie zatrzymał pojazd na pustynnym poboczu drogi, wyłączył silnik.

Orne wpatrywał się w niego milcząc. Było gorąco i spokojnie. W koleinach zakurzonej drogi poruszało się kilka skaczących owadów. Orne doświadczył dziwnego uczucia, że był już kiedyś w takiej samej sytuacji, w tych samych okolicznościach, że powtarza swoje życie, schwytyany w kolistą koleinę z której nie ma ucieczki.

– Czy Pierwszy Kontakt widział gdzieś ślady dział? – spytał Stetson.

– Wiesz, że nie.

– Mhm – przytaknął Stetson.

– To mógł być przypadek albo podstęp – zauważył Orne. – Duppek odsłonił przyłbicę pierwszego dnia i powiedział tym ludziom, jakie to dla nas ważne, by ponownie odkryta planeta miała pokojowo nastrojone społeczeństwo.

– Jesteś tego pewien?

– Słyszałem nagrania.

– Masz świętą rację – zgodził się Stetson. – Przynajmniej co do tego. – Wysunął się z pojazdu. – Chodź. Daj rękę.

Orne wysiadł z drugiej strony.

– Dlaczego stoimy?

Stetson wręczył mu koniec taśmy mierniczej.

– Potrzyмай koniec tam, na skraju drogi, dobrze?

Orne posłuchał. Plastalowy zacisk na końcu taśmy był chłodny, pył przelatował między palcami. Miejsce pachniało ziemią i bujną roślinnością.

Okazało się, że droga na grzbiecie wzgórza miała prawie siedem metrów szerokości. Stetson potwierdził ten fakt, zapisując liczbę w notatniku. Mruczał pod nosem coś o „liniach regresji”.

Wrócili do pojazdu i znowu ruszyli.

– Cóż może być istotnego w szerokości drogi? – spytał Orne.

– B-D czerpie zyski ze sprzedaży omnibusów – odparł Stetson. – Chciałem sprawdzić, czy nasz aktualny model będzie pasował do tych dróg.

– To śmieszne – burknął Orne. – Zdaje się, że B-D z coraz większym trudem uzasadnia potrzebę swego istnienia.

Stetson roześmiał się.

– Masz świętą rację! Mamy zamiar uruchomić dodatkową linię produkcji środków uspokajających dla agentów POR. To nas powinno uratować.

Orne wcisnął się w swój kąć i pograżył w ponurych myślach. Jestem skończony. Teraz spryciarz nie znajdzie nic takiego, czego ja bym nie znalazł. Nie było żadnych przyczyn, dla których miałbym wzywać B-D, poza tym, że coś tu nie gra.

Kiedy droga zaczęła schodzić w dół, w stronę zagajnika po prawej stronie, Stetson skręcił.

– W końcu oderwaliśmy się od głównej drogi – zauważył.

– Jeśli pojedziemy prosto, wpadniemy w bagno – ostrzegł Orne.

– Tak?

Droga wyprowadziła ich na stok szerokiej doliny pocięty liniami połamanych przez wiatr drzew.

– Skąd się bierze ten dym? – spytał Stetson.

– Farmy.

- Widziałeś je?
- Tak! Widziałem!
- Nie jesteśmy czasem przewrażliwieni?

Droga poprowadziła ich nad rzekę i przecięła ją prostym drewnianym mostem na kamiennych podporach.

Stetson zahamował na drugim brzegu i przyglądał się podwójnej linii wąskich ścieżek dla wózków, biegnących wzdłuż rzeki.

Znów zjechali na boczną drogę, kierując się w stronę drugiego grzbietu. Po obu stronach ciągnęły się rowy, a za nimi ogrodzenie.

- Po co im ogrodzenia? – spytał Stetson.
- Oznaczają nimi granicę.
- A dlaczego druty?
- Aby powstrzymać jelenie bagienne; to całkiem dobry sposób – odparł Orne.

– Ogrodzenie z drutu, jakieś granice i ochrona przed jeleniami – zastanawiał się Stetson. – Jak duże są jelenie bagienne?

– Szereg dokumentów – książki, wykazy i tak dalej – mówi, że największe mają po pół metra wysokości.

- I są dzikie.
- Bardzo dzikie.
- Nie najlepszy kandydat na kawaleryjskiego wierzchowca – zauważył Stetson.

- Zdecydowanie wykluczone.
- To znaczy, że to zbadaleś?
- Dokładnie.

Człowiek z B-D w zamyśleniu zacisnął usta, po czym oznajmił:

- Zajmijmy się jeszcze raz ich rządem.

Orne musiał przekrzykiwać silnik, gdyż pojazd pracował ciężko, wspinając się na kolejne wzgórze.

- Co masz na myśli?
- Kwestie dziedziczości.
- Uczestnictwo w radzie, jak się zdaje, dziedziczone jest przez najstarszego syna.

– Zdaje się? – Stetson ominął ostry spadek i wyjechał na biegnącą granią drogę.

Orne wzruszył ramionami.

– Cóż, opowiadali mi gdzieś to i owo o procedurze wyboru, w wypadku śmierci najstarszego syna i braku męskiego dziedzica.

– Zdecydowanie patriarchalni?

– Zdecydowanie.

– W co bawią się ci ludzie?

– Dzieci mają bąki, proce, wózki; nie zauważyłem zabawek wojennych.

– A dorośli?

– Ich zabawy?

– Tak.

– Widziałem jedną: grało szesnastu mężczyzn w zespołach po czterech. Używają kwadratowego boiska o boku około pięćdziesięciu metrów. Po przekątnych poprowadzone są niewielkie rowki. Czterech mężczyzn zajmuje pozycje na rogach i zmieniają się, a gra polega na tym, że...

– Pozwól mi zgadnąć – przerwał Stetson. – Czołgają się zawzięcie, próbując przepchnąć się wzdłuż tych dołków!

– A, gdzie tam! W rzeczywistości używają dwóch ciężkich kul podziurkowanych tak, aby można je trzymać palcami. Jedna kula jest zielona, a druga żółta. Żółta kula idzie pierwsza: toczy się rowkiem po przekątnej. Kula zielona musi być rzucona tak, żeby potrafić żółtą na przecięciu przekątnych.

– I nigdy nie trafia żółtej.

– Czasem trafia. Szybkość jest różna.

– Kiedy trafiają, podnosi się wielka owacja – domyślił się Stetson.

– Nie ma żadnej publiczności.

– Zupełnie?

– Zupełnie.

– Rozumiem – przytaknął Stetson. – W każdym razie zdaje się,

że to pokojowa gra. Są w tym dobrzy?

– Pomyślałem sobie, że zadziwiająco niezgrabni. Ale to sprawia im przyjemność. Jeśli się zastanowić, ta gra jest jedną z bardzo niewielu rzeczy, które niemal ich radują.

– Jesteś sfrustrowanym misjonarzem – powiedział Stetson. – Ludzie nie bawią się, a ty chcesz wyskoczyć na środek i organizować gry.

– Gry wojenne – spytał Orne. – Czy o tym myślałeś?

– Hm? – Stetson oderwał wzrok od drogi. Pojazd zatrzymał się, podskoczył na krawędzi. Stetson natychmiast znowu skupił się na prowadzeniu.

– A co by się stało, gdyby jakiś sprytny typ z POR osiedlił się na tej planecie jako cesarz? – spytał Orne. – Mógłby założyć własną dynastię. Dowiedzielibyście się o tym dopiero wtedy, kiedy posypałyby się bomby, a ludzie zaczęli ginąć z nieznanym powodów.

– To zły sen B-D – powiedział Stetson i zamilkł. Słońce wznosiło się coraz wyżej, w miarę jak droga prowadziła ich wzdłuż skalistych urwisk, obok odległych farm, przez kępy krzaków i przysadzistych obciążonych owocami drzew.

Nagle Stetson zapytał:

– A co z religią na Hamal?

– Szukałem wskazówek – odparł Orne. – Modlą się do Nadboga z Amel, monoteiści. W szalupie z Tritsahin była księga wspólnych modlitw. Mają kilku wędrownych pustelników, ale na ile mogłem się zorientować, są to szpiedzy Rady. Około trzysta lat temu, jakiś święty człowiek zaczął nauczać o wizjach Nadboga. Teraz istnieje kult tego wizjonera, ale brak świadectw o sporach religijnych.

– Słodycz i światło – zauważył Stetson. – Jacyś kapłani?

– Przywództwo religijne wywodzi się z Rady. Ustanawiają czcicieli zwanych „Zachowującymi Modlitwę”. Zdaje się, że panuje dziewięciodniowy cykl obrządków religijnych. Przechodzi on skomplikowane przemiany, włączając w to święta zwane „Dniami Odpoczynku”. Obchodzą też rocznicę dnia, w którym wizjoner zwany *Anmą* zo-

stał wzięty do nieba wraz z ciałem. Kapłani z Amel przysłali Tymczasowego Misjonarza Prawa; należy oczekiwać zwykłych konferencji. Jestem pewien, że wkrótce nastąpi oświadczenie przekonywujące, iż Nadbóg troszczy się o najmniejsze ze swych stworzeń.

– Czyżbym w twoim głosie słyszał nutę ironii? – spytał Stetson.

– Usłyszałeś nutę ostrożności – odparł Orne. – Jestem z Chargonu. Naszym prorokiem był Mahmud, który został należycie zweryfikowany przez kapłanów z Amel. Tam, gdzie w grę wchodzi Amel, jestem ostrożny.

– Mądry człowiek modli się raz w tygodniu i studiuje Psi codziennie – mruknął Stetson.

– Co?

– Nic.

Droga zagłębiła się w płytką nieckę i między wzgórzami, przecięła mały strumyk i wspięła się na następny grzbiet, gdzie skręciła w lewo. Zobaczyli kolejne miasteczko na wzniesieniu. Kiedy byli wystarczająco blisko, by odróżnić flagi żółtą i zieloną na dachu budynku rządowego, Stetson zatrzymał się, otworzył okno i wyłączył silnik. Wirnik turbinowy umilkł po chwili. Przy otwartym oknie i wyłączonej klimatyzacji poczuli dokuczliwy upał dnia.

Pot lał się z Orne'a, tworząc lepka kałużę w zagłębieniu plastikowego fotela.

– Czy na Hamal nie ma samolotów? – spytał Stetson.

– Ani śladu.

– Dziwne.

– Nie bardzo. Panują przesady związane z niebezpieczeństwem oderwania się od ziemi. Niewątpliwie wynikają z tego, że ich przodkowie o mało nie przepadli w Kosmosie. Są nastawieni trochę antytechnologicznie – z wyjątkiem tych w Radzie, którzy mają bardziej dojrzałe poglądy na sprawę wytwarzania narzędzi.

– Syndrom ciemniaków – mruknął Stetson.

– Co?

– Technologia jest niebezpieczna dla istot myślących – powie-

dział Stetson. – Uznawało to wiele kultur i subkultur. Kiedyś ja też w to wierzyłem.

– Dlaczego zatrzymaliśmy się tu? – spytał Orne.

– Czekamy.

– Na co?

– Aż coś się stanie – odparł Stetson. – Jaki jest stosunek Hamalitów do pokoju?

– Uważają, że to wspaniałe. Rada jest zachwycona pokojową działalnością POR. Zwyczajni mieszkańcy mają powiedzenie powtarzane odruchowo: „Ludzie znajdują pokój w Nadbogu”. To wszystko bardzo spójne.

– Orne, czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nacisnąłeś guzik alarmowy? – zapytał Stetson.

Orne poruszył ustami bez słów, potem wyszeptał:

– Mówiłem ci.

– Ale co zdecydowało? – dopytywał się Stetson.

– Co przeważało?

Orne przełknął ślinę i mówił niskim głosem.

– Parę spraw. Najpierw urządzili bankiet, żeby...

– Kto urządził bankiet?

– Rada. Urządzili bankiet na moją cześć. I... ech...

– Podali frulapa – zażartował Stetson.

– Chcesz tego słuchać, czy nie?

– Drogi chłopcze, zamieniam się w słuch.

Orne rzucił spojrzenie na uszy Stetsona. –

– Nie zauważyłem. No więc na bankiecie Rady podano gulasz z ogonów *porjo*...

– *Porjo*?

– To miejscowy gryzoń. Uznają go za przysmak, szczególnie ogon. Rozbitkowie z Tritsahin żywili się początkowo *porjo*.

– Podali to zatem na bankiecie.

– Właśnie. Kucharz, na chwilę przedtem, zanim postawił przede mną miskę gulaszu, związał żywego *porjo* kawałkiem sznura, który

szybko roztopił się w gorącej cieczy. Zwierzę wyskoczyło wprost na mnie.

– No i?

– Śmiali się przez pięć minut. To wtedy, jedyny raz, widziałem, jak Hamlici się śmieją.

– To znaczy, że oni zrobili ci psikusa, ty się rozgniewałeś i wściekły nacisnąłeś przycisk alarmowy? Jak się zdaje mówiłeś, że ci ludzie nie mają poczucia humoru?

– Zrozum, mądralo! Czy zastanawiałeś się, jaki rodzaj ludzi potrafi włożyć żywe zwierzę we wrzątek tylko dla żartu?

– Nieco ciężkawe poczucie humoru – zgodził się Stetson. – Ale na swój sposób zabawne. I dlatego wezwałeś B-D?

– Nie tylko dlatego.

– Dlaczego jeszcze?

Orne opisał incydent z upadkiem w stos soczystych owoców.

– Oni po prostu stali tam nie śmiejąc się i to wywołało twoje najgłębsze podejrzenia – zauważył Stetson.

Twarz Orne'a pociemniała od gniewu.

– W takim razie wściekłem się na sztuczkę z *porjo*! No, dalej. Zrób coś z tym! Mimo wszystko mam rację co do tego miejsca! Ty też zastanów się nad tym!

– Taki mam zamiar – odparł Stetson. Sięgnął do deski z przyrządami pojazdu, wyciągnął z niej mikrofon i przemówił do niego:

– Tu Stetson.

No, doigrałem się, pomyślał Orne. Poczł pustkę w żołądku i cierpki smak w gardle.

Zza deski z przyrządami rozległo się brzęczenie nadajnika nadprzestrzennego, padły słowa:

– Tu statek. Co się dzieje? – Głos odbijał się płaskim echem typowym dla tego środka łączności.

– Mamy tu paskudną historię, Hal – mówił Stetson. – Wyślij do sił okupacyjnych wezwanie Pierwszego Priorytetu.

Orne podskoczył i wlepił wzrok w agent B-D. Przekaznik wysłał

z siebie trzask, a następnie:

– Czy jest bardzo źle, Stet?

– Jedna z najgorszych sytuacji, jakie widziałem. Wyślij doniesienia o facecie z Pierwszego Kontakt, dupek nazywa się Bullone. Niech go zwolnią. Nie obchodzi mnie, że może to matka komisarza Bullone'a. To musiał być facet ślepy i głupi na dodatek, jeśli określił Hamal jako pokojową planetę!

– Będziecie mieli jakieś kłopoty z powrotem? – spytał głos.

– Wątpię. Agent POR był bardzo dyskretny i tamci chyba nie wiedzą, że ich przejrzelśmy.

– Podaj, w którym jesteś kwadracie, na wszelki wypadek.

Stetson spojrział na wskaźnik na tablicy przyrządów.

– A osiem.

– Przyjąłem.

– Wyślij wezwanie natychmiast, Hal – powiedział Stetson. – Chcę żeby jutro znalazły się tu pełne siły okupacyjne!

– Wezwanie jest już w drodze.

Brzęczenie przekaźnika nadprzestrzennego zamilkło. Stetson odłożył mikrofon i odwrócił się do Orne'a.

– Czy ty także kierowałeś się po prostu przecuciem?

Orne potrząsnął głową.

– Ja...

– Spójrz do tyłu – przerwał mu Stetson.

Orne odwrócił się:

– Widzę zapóźnionego rolnika i szybko idącego myśliwego z uczniem.

– Miałem na myśli drogę – powiedział Stetson. – Możesz to uznać za pierwszą lekcję technik B-D: szeroka droga, która prowadzi grzbietem wzgórza, to droga wojskowa. Zawsze. Drogi rolnicze są wąskie i biegną na poziome wody. Drogi wojskowe są szersze, omijają moczary i przecinają rzeki pod kątem prostym. Ta dokładnie pasuje.

– Ale... – Orne zamilkł, kiedy myśliwy zbliżył się i minął pojazd rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie.

– Co to za skórzana torba na jego ramieniu? – spytał Stetson.

– Lunetka.

– Lekcja numer dwa – mówił Stetson. – Teleskopy były początkowo przyrządami astronomicznymi. Lunetki rozwinęły się jako dodatek do broni dalekiego zasięgu. Zdaje się, że ich strzelby mają donośność około stu metrów. *Ergo*: możesz uznać za dowiedzione, że mają artylerię.

Orne przytaknął. Ciągle był oszołomiony szybkim rozwojem wypadków, nie mógł jeszcze w stanie odczuć ulgi.

– Teraz przyjrzyjmy się miasteczku pod nami – kontynuował Stetson. – Zauważ flagę. Prawie zawsze Hagi biorą swój początek od bitewnych proporców. Możesz uznać je za niezłą poszlakę w zestawieniu innymi rzeczami.

– Rozumiem.

– Następnie uległość ludności cywilnej – ciągnął Stetson. – Przyjmij za pewnik, że pasuje ona jak ulał do potężnej albo religijnej arystokracji, która powstrzymuje zmiany w technologii. Rada Przywódców Hamal składa się z arystokracji umiejącej wykorzystywać religię jako narzędzie władzy i używać szpiegów, którzy są kolejnym wynalazkiem pojawiającym się wraz z armią i wojną.

– Oni rzeczywiście są arystokratami – zgodził się Orne.

– Pierwsza zasada w naszym podręczniku mówi, że gdziekolwiek spotykasz sytuację „mieć czy nie mieć”, tam masz do czynienia ze stanowiskami, których trzeba bronić – kontynuował Stetson. – A to zawsze oznacza armię, niezależnie od tego czy nazwiesz ją wojskiem, policją czy strażą. Założę się, o co zechcesz, że te pola do gry w żółte i zielone kule to zamaskowane place musztry.

– Powinienem był o tym pomyśleć. – Orne przełknął ślinę.

– Zrobiłeś to – zapewnił go Stetson. – Nieświadomie. Wszystkie nieprawidłowości dostrzegłeś nieświadomie. To cię tak zdenerwowało. Oto dlaczego nacisnąłeś guzik wezwania pomocy.

– Zdaje się, że masz rację.

– Kolejna lekcja – mówił Stetson. – Najważniejszy punkt w spi-

się objawów agresji: ludzie nastawieni pokojowo, naprawdę spokojni ludzie nawet nie rozmawiają o pokoju. Tacy rozwinęli dynamikę unikania przemocy, w której zwykle pojęcie pokoju w ogóle się nie pojawia. Nawet o nim nie myślą. Jedyna sytuacja, w której rozwija się coś więcej niż przypadkowe zainteresowanie pokojem, to ta, w której rozumienie pokoju rodzi się przez kontrast z wojną.

– Oczywiście. – Orne odetchnął głęboko i zagapił się w wioskę na wzniesieniu przed nimi. – Ale co z brakiem fortów? Rozumiesz: nie ma zwierząt kawaleryjskich i...

– Możemy uznać za pewnik, że mają artylerię – stwierdził Stetson. – Hm. – Podrapał się po policzku. – W porządku, to chyba dosyć. Znaleźliśmy tu wzór, który pozwala wykluczyć kawalerię z równania na brak kamiennych umocnień.

– Tak mi się zdaje.

– Zdarzyła się następująca historia – mówił Stetson. – Pierwszy Kontakt, ten dupek, bodajby zgnił w wojskowym pudle, szybko doszedł do błędnej konkluzji co do Hamal. Wyciągnął rękę w naszym imieniu. Hamalicy zebrali się, ogłosili rozejm, ukryli lub zamaskowali wszelkie ślady wojny, jakie przyszły im do głowy, szepnęli słówko ludności, a potem skoncentrowali się na wyciąganiu od nas, czego się dało. Wysłali już delegację na Marak?

– Tak.

– Ich też trzeba zgarnąć.

– Jasne – powiedział Orne. Zaczynał odczuwać ulgę, jednak towarzyszyły jej dziwne oznaki niepokoju. Jego kariera była ocalona, ale myślał o konsekwencjach grożących Hamal z powodu tego, co właśnie miało nastąpić. Pełne siły – O! Wojskowa okupacja jest wstrętna i dla okupujących, i dla tych, co pod nią żyją.

– Myślę, że byłby z ciebie świetny agent B-D – powiedział Stetson.

Orne wytrącony z zadumy zająknął się:

– Ze mnie... co?

– Przydzielam cię tam – zdecydował Stetson.

Orne wlepił w niego wzrok.

– Czy możesz to zrobić?

– Ciągłe jest kilka mądrych głów w naszym rządzie – powiedział Stetson. – Uznaj za pewnik, że B-D ma taką władzę. I zbyt wielu naszych agentów znajdujemy w ten sposób o krok od katastrofy. – Zachmurzył się.

Orne przełknął ślinę.

– To jest... – Zamilkł, bo rolnik pchający swój skrzypiący wózek właśnie mijał pojazd B-D.

Mężczyźni w pojeździe wpatrywali się w szczególny, chybotliwy ruch karku rolnika, obserwowali jak mocno stawia nogi na ziemi, patrzyli, jak lekko toczy załadowany warzywami wózek.

– Jestem leworęcznym frulapem – mruknął Orne. Wskazał oddalający się kark rolnika. – Oto twoje kawaleryjskie zwierzę. A ten cholerny wózek to nic innego jak rydwan!

Stetson uderzył prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

– Do diabła! Cały czas tuż przed nosem! Ludzie tutejsi będą mocno zaskoczeni i wściekli, kiedy siły okupacyjne wylądują tu jutro – Zaśmiał się zjadliwie.

Orne przytaknął w milczeniu, pragnąc, aby znalazł się inny sposób zapobieżenia niszczycielskim wyprawom w Kosmos. Pomyślał: Hamal potrzebuje nowego rodzaju religii, która pokaże im, jak szczęśliwie zrównoważyć ich życie i znaleźć równowagę w stosunku z resztą świata.

Ale dopóki Amel kontrolował rozwój wszystkich religii, było to nie do pomyślenia. Nie istniał taki równoważny system religijny ani na Chargonie... ani nawet na Marak.

A już na pewno nie na Hamal.

Rozdział 5.

Każda istota myśląca potrzebuje jakiegoś rodzaju religii.

NOAM ARK WRIGHT,
pisma podstawowe Amel

Umbo Stetson przechodził się po mostku kontroli lądowania na swoim krążowniku zwiadowczym. Szurał nogami po podłodze, która w czasie lotu pełniła rolę tylnej ściany mostka. Teraz statek spoczywał na swej części ogonowej, pod nimi było pełne czterysta metrów jego czerwono-czarnej konstrukcji. Przez otwarte iluminatory mostka widać było pokrywą dżungli na planecie Gienah III – jakieś sto pięćdziesiąt metrów niżej. Bładoróżowe słońce zawisło nad horyzontem w godzinę po lądowaniu.

Na Gienah sytuacja była paskudna, a on nie lubił posługiwać się w takich miejscach niesprawdzonymi agentami. Martwiło go to, że ten konkretny człowiek został przeniesiony do B-D przez szefa sektora nazwiskiem Umbo Stetson.

Przeniosłem go i posłałem prosto na śmierć, myślał Stetson. Spojrzał przez mostek na Lewisa Orne'a, teraz młodszego agenta terenowego B-D ze świeżym dyplomem. Wyszkolony... i inteligentny, ale niedoświadczony.

– Powinniśmy zetrzeć z tej planety wszystko, co żyje. Powinna zostać naga jak jajko! – mruzczał Stetson. Przerwał na chwilę spacer po mostku i spojrzął przez otwarty prawoburtowy iluminator na pociemniały od ognia krąg, który krążownik wypalił w ramach oczyszczania dżungli.

Szef sektora B-D wysunął głowę przez iluminator przybrał swą zwykłą niedbałą postawę. Niebieski plamisty mundur, który nosił, nie poprawiał jego wyglądu. Chociaż na czas trwania tej operacji podniósł flagę admirała, na jego mundurze nie było insygniów. Ogólnie rzecz biorąc wyglądał niechlujnie.

Orne stał przy iluminatorze po przeciwnej stronie i przyglądał się dżungli na horyzoncie. Coś tam pobłyskiwało, odległość była jednak zbyt duża, aby rozpoznać co; prawdopodobnie było to miasto. Teraz spojrzął na konsolę mostka, na umieszczony nad nią chronometr i na wielką przezroczystą mapę tych okolic umieszczoną na górnym przepierzeniu. Czuł się dziwnie nieswojo; jego mięśnie rodem z planety o dużej sile ciężenia dawały o sobie znać nadmierną aktywnością tu, na Gienah III z jej grawitacją wynoszącą zaledwie siedem ósmych standardu ziemskiego. Szwy na szyi, gdzie wszczepiono mu sprzęt mikrokomunikacyjny, swędziały irytująco. Podrapał się.

– Ha! – burknął Stetson. – Politycy!

Drobny czarny owad o muszelkowatych skrzydłach wleciał przez iluminator i usiadł na krótko przyciętych rudych włosach Orne'a. Ten zdjął go delikatnie i wypuścił. Owad znowu spróbował usiąść na włosach. Orne odchylił się. Owad przeleciał przez mostek zniknął w iluminatorze obok Stetsona.

Szczupła sylwetka Orne'a rysowała się pod nowym, sztywnym mundurem. Dawało mu to wygląd zadbanego wojskowego, jednak w jego topornych rysach coś przypominało kłowna.

– Czuję się zmęczony tym oczekiwaniem – odezwał się.

– Ty jesteś zmęczony!

– Słyszałeś może coś nowego o Hamal? – spytał Orne.

– Zapomnij o Hamal! Skoncentruj się na Gienah!

– Spytałem cię, ot tak, dla zabicia czasu.

Powiew poruszył wierzchołkami zielonego oceanu dżungli na dole. Tu i tam czerwone i purpurowe kwiaty pobłyskujące wśród zieleni pochylając się i kołysząc się jak uważna publiczność. Przez otwarte iluminatory wpadał mocny zapach rozwijającej się i gnijącej roślinności.

– Spójrz tylko na tę przeklętą dżunglę! – powiedział Stetson – Te ich głupie rozkazy!

Orne w milczeniu przysłuchiwał się wybuchom wściekłości szefa. Gienah, oczywiście, była bardzo szczególnym, bardzo niebez-

piecznym problemem. A jednak myśli Orne'a wracały do Hamal. Siły okupacyjne zajęły planetę i zapanował tam zwyczajny bałagan. Nie znaleziono jak dotąd sposobu powstrzymania oddziałów okupacyjnych od okazywania wyższości i działań represyjnych – na przykład gwałcenia najładniejszych kobiet. Kiedy siły O zostaną w końcu wycofane z Hamal, ludzie tej planety będą zapewne spokojni, ale pozostaną blizny, które nie znikną jeszcze przez pięćset pokoleń.

Na konsolecie mostka przed Orne'em odezwał się dzwonek wezwania. Na sieci zamigotało czerwone światelko oznaczające pozycję nadawcy. Stetson rzucił gniewne spojrzenie na natrętny sprzęt.

– Tak, Hal?

– W porządku, Stet. Właśnie przyszły rozkazy. Działamy według planu C. Dowództwo poleca, byś odbył teraz odprawę z terenowym, przekazał mu posegregowane informacje, a potem zwiewał stąd.

– Nie spytałeś, czy mogę użyć innego agenta?

Orne spojrzał uważnie. Tajemnica na tajemnicy, a teraz coś takiego?

– Odpowiedź negatywna. Zadanie ma priorytet w związku z katastrofą. Dowództwo ma zamiar i tak wysadzić planetę.

Stetson wlepił wzrok w pozycję nadawcy.

– Ci jajogłowi, ciężkodupi politycy o mózgach świń i sercach łajdaków! – Zaczerpnął dwa razy powietrza. – Dobra. Powiedz, że wykonamy.

– Potwierdzenie wysłane. Chcesz, żebym przyszedł i pomógł w odprawie?

– Nie. Ja... Cholera! Zapytaj jeszcze raz, czy mogę go zabrać!

– Stet, powiedzieli, że musimy użyć Orne'a ze względu na zapisy o *Delphinusie*.

Stetson westchnął.

– Czy dadzą nam więcej czasu na odprawę z nim?

– Priorytet awaryjny, Stet. Tracimy czas.

– Gdyby to nie było...

– Stet!

– Co jest?

– Właśnie dostałem potwierdzenie kontaktu.

Stetson wyprostował się nagle.

– Gdzie?

Orne, który wyglądał przez iluminator skupił znowu uwagę na Stetsonie. Naładowana atmosfera ponaglania i ociągania się, która panowała na mostku, przyprawiała go o ból żołądka.

– Kontakt... jakieś dziesięć klików stąd – zaskrzypiał głośnik.

– Ilu ich jest?

– Tłum. Mamy ich policzyć?

– Nie. Co robią?

– Idą prosto na nas. Lepiej wynośmy się.

– W porządku. Utrzymaj łączność.

– Rozkaz.

Stetson spojrział na swego młodszego polowego.

– Orne, jeśli zdecydujesz, że chcesz odstąpić od tego zadania, powiedz tylko słowo. Poprę cię, jak tylko będę mógł.

– Dlaczego miałby rezygnować z pierwszego zadania?

– Posłuchaj a sam zrozumiesz. – Stetson podszedł do wiszącej obok mapy szafki, wyciągnął z niej biały wierzchni mundurze złotymi odznakami, rzucił go Orne'owi. – Przebierz się w to, podczas gdy będę prowadził z tobą odprawę.

– Ale to jest mundur POR!

– Włóż ten cholerny mundur na swoje cielsko!

– Tak jest, admirale Stetson, już się robi, panie admirale. Myślałem jednak, że pożegnam się ze starym POR, kiedy przeniósł mnie pan do B-D. – Zaczął przebierać się ze niebieskiego munduru B-D w biały POR.

Wilczy grymas przebiegł po twarzy Stetsona.

– Wiesz, Orne, jedną z przyczyn, dla których cię tu przeniosłem, był twój uległy stosunek do władzy.

Orne zapinał długi zamek munduru.

– Tak jest, admirale.

– W porządku, otrząśnij się i uważaj. – Stetson wskazał mapę przekaźnikową z naniesioną na nią zieloną siatką. – Jesteśmy tu. – Dotknął palcem mapy. – Tu jest miasto, nad którym przelatowaliśmy podczas lądowania. – Przesunął palec. – Udasz się do miasta, kiedy tylko cię wysadzimy. Miasto jest dosyć duże, jeśli więc utrzymasz kurs mniej więcej na północny wschód, to nie ominiesz go. Jesteśmy...

Znów zadzwonił dzwonek, zabłysło światełko.

– Co znowu, Hal? – warknął Stetson.

– Zmienili plan na plan H, Stet. Nowe rozkazy.

– Pięć dni?

– Tyle tylko mogą nam dać.

– Święty...

– Dowództwo mówi, że nie możemy dłużej niż pięć dni utrzymywać tej informacji w tajemnicy przed Wysokim Komisarzem Bullone.

– Zatem pięć dni – westchnął Stetson.

– Czy to zwykła wpadka POR? – spytał Orne zbliżając się do mapy.

Stetson skrzywił się.

– Gorzej, a to dzięki Bullone'owi i jego kumplom. Jesteśmy o krok od nowej katastrofy, a oni ciągle pompują nowych kadetów do starej Uni-Galakty.

– Albo my odkryjemy ponownie zagubione planety, albo one odkryją nas – zauważył Orne. – Ja wolałbym pierwszą możliwość.

– I tak pewnego dnia odkryjemy ponownie o jedną za dużo, ale i tak w przypadku Gienah to inna para kaloszy. To nie jest, powtarzam, nie jest ponowne odkrycie.

Orne poczuł jak sztywnieją mu mięśnie.

– Obcy?

– O-B-C-Y – przeliterował Stetson. – Gatunek i kultura, z którą nie kontaktowaliśmy się nigdy. Język, który wprowadzono po drodze do twego umysłu, to język Obcych. Nie jest kompletny, ale to wszyst-

ko, co mamy o *minich*. Nie daliśmy ci podstawowych danych na temat tubylców, choć i tak mamy ich niewiele, ponieważ mieliśmy nadzieję, że zetrzemy w pył to miejsce i nic mądrzejszego nie da się wymyślić.

– Rany boskie! Dlaczego?

– Dwadzieścia sześć dni temu pewien poszukiwacz sektorowy B-D przybył na tę planetę i prowadzi rutynowe badania za pomocą mikro szperaczy. Kiedy przeglądał sieć mikro szperaczy, żeby sprawdzić ich dane, ku swemu zdumieniu znalazł Obcego.

– Jednego z nich?

– Nie jednego z naszych, to był *mini* z *Delphinusa*. Ponowne odkrycie. Nie było raportów z *Delphinusa* przez osiemnaście miesięcy standardowych. Przyczyny zniknięcia nieznane.

– Myślisz, że rozbił się tutaj?

– Nie wiemy. Jeśli rozbił się na Gienah, nie byliśmy w stanie go znaleźć. A poszukiwaliśmy, synu. Wierz mi, szukaliśmy. Lecz teraz mamy na głowie co innego. Jest taka jedna sprawa, dla której wolałbym rozwalić Gienah i uciekać do domu z podkulonym ogonem. Mammy...

Dzwonek znowu się odezwał.

– Co znowu? – wrzasnął Stetson.

– Podkradłem się szperaczem do jednego *mini* w tłumie, Stet. Rozmawiają o nas, o ile mogłem zrozumieć. Wyglądają zdecydowanie na oddział wypadowy, są uzbrojeni.

– Jaka broń?

– Na dole jest zbyt ciemno, żeby mieć pewność. Promienie podczerwone nie działają na tego *mini*. Wyglądają jak strzelby na grubym śrut. Mogą być nawet z *Delphinusa*.

– Możesz dać zbliżenie, żeby się upewnić?

– Nie ma sensu ryzykować bez podczerwonych. Na dole jest mało światła. A oni jednak poruszają się szybko.

– Miej na nich oko, ale nie ignoruj też innych sektorów – powiedział Stetson.

– Myślisz, że jestem dzieckiem? – Głos gniewnie zazgrzytał.

Dźwięk z głośnika zamilkł z szorstką gwałtownością.

– Podoba mi się w B-D, że zbierają się tam ludzie o podobnych temperamentach – powiedział Stetson. Popatrzył ponuro na biały uniform Orne’a i wytarł sobie usta dłonią, jakby posmakował czegoś niesmacznego.

– Dlaczego mam nosić ten strój? – Spytał Orne.

– Przebranie.

– Nie powinienem jeszcze dokleić wąsów? – Stetson uśmiechnął się ponuro. – B-D rozwinęło swoje metody radzenia sobie z głupimi politykami. Tworzymy własny system badawczy, odkrywamy planety przed nimi. Udało nam się umieścić szpiegów na kluczowych stanowiskach w POR. Gdy nasi szpiegowie doniosą o jakiejś niebezpiecznej planecie, zmieniamy dane.

– Och!

– Potem wysyłamy na rzeczoną planetę zdolnych chłopaków takich jak ty... przebranych za funkcjonariuszy POR.

– Ślicznie. A co będzie, jeśli POR nakryje mnie na kontaktach z Obcymi?

– Wyprzemy się ciebie.

– Cholera! Oni nigdy... Hola! Powiedziałeś, że to statek B-D odkrył to miejsce.

– Tak było. Potem jeden z naszych szpiegów w POR przechwytał regulaminową prośbę o przydzielenie tu agenta instruktora z pełnym ekwipunkiem. Prośbę sygnowaną przez oficera Pierwszego Kontakt z nazwiskiem Riso... z *Delphinusa*!

– Ale on...

– Tak, zginął. Prośba była podrobiona. I teraz widzisz, dlaczego chciałbym rozwalić tę planetę. Kto ośmieliłby się sfalszować taką prośbę, gdyby z pewnością nie wiedział, że prawdziwy oficer Pierwszego Kontakt zginął... lub zginął?

– Stet, co za wariactwa tu wyprawiamy? – zdziwił się Orne. – Kontakty z Obcymi wymagają pełnego zespołu ekspertów z całym...

– Ten kontakt wymaga jednej niszczącej planetę bomby. W cią-

gu pięciu dni. Chyba że chcesz dać im *carte blanche*. Wtedy decyzja co do planety przypadnie Wysokiemu Komisarzowi Bullone. Czy możesz wyobrazić sobie, ile zabawy będą mieli politycy z Gienah, jeśli będzie jeszcze istniała za pięć dni? Och, *Mamma!* Orne, musimy przedtem oczyścić tę planetę dla kontaktu albo zniszczyć ją.

– Wpadamy w panikę – powiedział Orne. – Nie podoba mi się to. Zobacz, co się stało na...

– Tobie się to nie podoba!

– Musi być jakiś inny sposób, Stet. Kiedy zjednoczyliśmy się z Alerinoidami, posunęliśmy się o pięćset lat do przodu tylko w naukach fizycznych, nie wspominając już o...

– Alerinoidzi nie rozwalili naszego statku badawczego.

– A co, jeśli *Delphinus* sam rozbił się tutaj? Jest tu wielka dżungla. Jeśli miejscowi natknęli się nań przypadkiem...

– To właśnie ustalisz, Orne. Mam nadzieję Ty będziesz odpowiedzią na ich regulaminową prośbę, agentem instruktorem POR. Ale odpowiedz mi, Panie POR, kiedy gatunek posługujący się narzędziami stanie się groźny dla Galaktyki – jeśli uzyska informacje zawarte w twojej głowie?

– Widziałeś miasto, jego rozmiary. Mogą okopać się w ciągu sześciu miesięcy, a wtedy nic będzie...

– Tak.

Orne potrząsnął głową.

– Pomyśl: dwie cywilizacje, które dojrzewały na różne sposoby. Pomyśl o różnych metodach, za których pomocą rozwiązujemy podobne problemy: to dałoby nam wspaniałą dźwignię rozwoju...

– To brzmi jak wykład z Uni-Galakty. Zaraz powiesz o kroczeniu ramię w ramię w mglistą przyszłość?

Orne zrobił głęboki wdech. Poczul, że wszystko dzieje się zbyt szybko, by móc podejmować decyzje. Spytał:

– Dlaczego ja? Dlaczego innie w to ładujecie? Dlaczego?

– Lista załogi *Delphinusa*. Figurowałeś na niej ciągle jako agent terenowy POR, pełna identyfikacja, wzór siatkówki oka, wszystko. To

ważne, skoro masz się przebrać za...

– Czy tylko mnie macie? Niedawno pozyskano mnie dla B-D, ale...

– Chcesz się wycofać?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego ja...

– Ponieważ ważniacy w Kwaterze Głównej wprowadzili do jednej ze swoich maszyn zestaw wymagań. I wyskoczyło z niej twoje nazwisko. Szukali kogoś zdolnego, niezawodnego... i kogoś, kogo można by poświęcić.

– Hola!

– Oto dlaczego jestem tu i robię z tobą odprawę zamiast siedzieć na okręcie flagowym. Ja zdobyłem cię dla B-D. Teraz słuchaj uważnie: Jeśli naciśniesz bez potrzeby guzik wzywania pomocy, obedrę cię ze skóry. Obaj znamy korzyści z kontaktu z Obcymi. Ale jeśli rzeczywiście znajdziesz się w gorącej sytuacji i wezwiesz pomocy, zanurkuje krążownikiem prosto w miasto i wyciągnę cię stamtąd. Jasne?

Orne'owi zaschło w gardle.

– Tak. Dziękuję, Stet, ale jeśli...

– Wejdziemy na niską orbitę. Za nami będzie pięć transportowców z marines B-D i Monitor Klasy IX z jednym niszczycielem planet. Masz za sobą siłę, niech Bóg cię chroni! Po pierwsze musimy wiedzieć, czy oni opanowali *Delphinusa*, a jeśli tak, to gdzie on jest. Następnie chcemy wiedzieć, na ile wojowniczy są ci faceci. Czy można z nimi nawiązać stosunki? Czy nie są zbyt krwiożerczy? Jaki jest ich potencjał?

– W ciągu pięciu dni?

– Ani sekundy więcej.

– Co o nich wiemy?

– Niewiele. Podobni są trochę do starożytnych ziemskich szympansów, ale mają niebieskie futra. Twarz bez włosów, skóra różowa. – Stetson nacisnął guzik na pasie. Mapa przekaźników nad nim zmieniła się w ekran, na którym widać było nieruchomą postać. – To rozmiar

naturalny.

– Wygląda niczym słynne brakujące ogniwo – zauważył Orne.

– Taak, ale my musimy znaleźć inne brakujące ogniwa.

– Mają pionowe szpary źrenic – powiedział Orne. Bacznie przyglądał się postaci. Gienahianin został uchwycony en face przez mikroszperacz. Postać miała około półtora metra wysokości. Był lekko pochylony do przodu, długie ramiona zwisały nisko. Nos miał płaski z dwiema pionowymi szparkami. Usta były pozbawioną warg szczeliną nad zanikającym podbródkiem. Dłonie uzbrojone w cztery palce. Nośił szeroki pas, z którego zwisały małe woreczki i coś, co wyglądało na narzędzia, chociaż ich przeznaczenie było niejasne. Zapewne to broń. Widać też było chyba koniec ogona wystający zza jednej ze zgiętych nóg.

Stworzenie stało na jakimś trawniku, za nim wznosiły się bajeckie wieże miasta, które obserwowali z powietrza.

– Ogony? – spytał Orne.

– Tak, mają. Są nadrzewni. Na całej planecie nie znaleźliśmy drogi. W dżungli jest za to pełno pnączy. – Twarz Stetsona steżała. – Porównaj to z miastem tak rozwiniętym jak tamto.

– Kultura niewolnicza?

– Prawdopodobnie.

– Ile mają miast?

– Znaleźliśmy dwa. To i jedno po drugiej stronie. Tamto jest ruiną.

– Wojna?

– Ty nam to powiesz. Dużo tu jest tajemnic.

– Na jakiej powierzchni rozpościera się dżungla?

– Prawie na całej powierzchni lądów. Są oceany polarne, kilka jezior i rzek. Jeden łańcuch niskich gór ciągnie się wzdłuż równika. Płyty kontynentalne są stare. Powierzchnia ustabilizowała się już dawno.

– I tylko dwa miasta. Jesteś tego pewien?

– Oczywiście. Trudno byłoby przeoczyć coś, biorąc pod uwagę

małe rozmiary planety. – Wskazał palcem miasto za plecami postaci na ekranie. – Musi mieć ze dwieście kilometrów długości i pięćdziesiąt szerokości. Roi się tam od tych stworzeń. Mamy dobre oceny gęstości zaludnienia: wydaje się, że populacja miasta liczy ponad trzydzieści milionów. Jeśli chodzi o ilość mieszkańców, to największa jednostka miejska, o jakiej słyszeliśmy.

– Hm. – Orne odetchnął. – Spójrz na rozmiary tych budynków. Ileż ci Gienahianie mogliby nam powiedzieć o życiu miejskim.

– Być może nigdy nie usłyszymy tego, co mają do powiedzenia, Orne. Jeśli ich nie obłaskawisz, zostaną tu tylko popioły dla archeologów.

– Musi być jakiś inny sposób!

– Zgoda, ale...

Odezwał się dzwonek łączności.

– Taak, Hal? – W głowie Stetsona brzmiało zmęczenie.

– Grupa jest tylko o pięć klików stąd, Stet.

Instrumenty Orne'a są już na zewnątrz, w zamaskowanych saniach powietrznych.

– Zaraz będziemy na dole.

– Dlaczego zamaskowane sanie? – zdziwił się Orne.

– Pomysł Hala. Jeśli Gienahianie będą myśleli, że to pojazd naziemny, mogą stać się nieostrożni, kiedy będzie ci potrzebny element zaskoczenia. Zawsze możemy zgarnąć cię z powietrza, rozumiesz?

– Stet, jakie są moje szanse?

– Wątpliwe. Może nawet jeszcze mniejsze. Ci faceci prawdopodobnie złapali *Delphinusa*. Najprawdopodobniej zechcą cię trzymać tak długo, aż zawładną twoim sprzętem i tym, co wiesz.

– Tylko pięć dni.

– Jeśli nie wrócisz do tego czasu, wysadzamy.

– Taki, którego można poświęcić.

– Chcesz przerwać misję?

– Nie.

– Tego oczekiwałem. Pamiętaj, stosuj zasadę „drzwi za plecami”

mi”, synu. Zawsze zostawiaj sobie drogę odwrotu.

– Tak jak ty to robisz – zauważył Orne. Stetson położył dłoń na własnym gardle. Jego usta były zamknięte, ale Orne mógł usłyszeć szumiący głos, który wydostawał się z wszczepionego przekaźnika.

– Rozumiesz mnie, Orne?

– Rozumiem. Czy to...

– Nie! – zasyczał głos. – Dotknij kontaktu mikrofonu, usta trzymaj zamknięte. Używaj mięśni głosowych, nie mówiąc na głos.

Orne posłuchał, położył dłoń na gardle.

– No i jak?

– Tak lepiej – powiedział Stetson. – Nadałeś głośno i wyraźnie.

– Jaki to ma zasięg?

– Przez cały czas blisko ciebie będzie szperacz transmisyjny – odparł Stetson. – Nawet jeśli nie będziesz naciskał kontaktu, ten sprzęt nas poinformuje, co mówisz i co się dzieje wokół ciebie. Wszystko będziemy wiedzieli. Zrozumiano?

– Myślę, że tak.

Stetson wyciągnął prawicę.

– Powodzenia, Orne. Rozumiesz, o co chodzi z tym zgarnianiem ciebie. Powiedz tylko to słowo.

– Wiem, jakie to słowo. „POMOCY!”

Rozdział 6.

Pokłońcie się ullua, gwiezdnemu wędrowcowi Ayrbie. Niech nie pojawi się bluźnierstwo i nie pozwólcie bluźniercy żyć. Niech bluźnierstwo pali usta. Bluźniercy są przekłęci przez o Boga i przekłęci przez błogosławionego. Niech to przekleństwo porazi bluźniercę od stóp aż do głowy, we śnie i na jawie, czy siedzi, czy też stoi...

Inwokacja na dzień Bajramu

Szare błotniste podłoże i mroczne prześwity pomiędzy monstrualnymi, niebieskimi pniami drzew – taka była dżungla na Gienah. Tylko słabiutki blask słońca docierał do błota.

Zamaskowane sanie Orne’a z włączonymi jednostkami paragrawitacyjnymi przechylały się i ślizgały. Snopy świateł czołowych zataczały dziwne łuki ukazując na przemian pnie i błoto. Pnącza, całe ich grona zwisały z wysokich koron drzew, woda skraplająca się na szymbach zmusiła Orne’a do użycia wentylatorów ekranowych.

Orne zmagał się z tablicą przyrządów w kabinie pojazdu, jednocześnie rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu śladów gienahiańskiego patrolu. Dokuczało mu silne uczucie spowolnienia i płynności ruchów, którego doświadczają mieszkańcy planet o dużej sile ciężenia w warunkach zmniejszonej grawitacji. Przyprawiało go to o kłopoty żołądkowe.

W powietrzu wokół ślizgającego się pojazdu poruszało się pełno obiektów – śmigwały i rzucały się, niebieskie, czerwone, zielone, fioletowe, mieniące się i matowe. Gienahiańskie owady o puszystych skrzydełkach zbliżały się w dwu wielkich stożkach jakby zasysane przez światła. Nie kończący się świergot, skrzypienie, rechot i pogwizdywanie rozbrzmiewały w mroku poza zasięgiem świateł.

Nagle głos Stetsona zaświszczał w zaszczepionym Orne’emu przekaźniku:

- Jak to wygląda?
- Obco.
- Jest jakiś ślad tamtej grupy?
- Nie.
- Dobra. My startujemy. Powodzenia.

Zza pleców Orne'a doleciał głęboki dudniący ryk krążownika zwiadowczego uruchamiającego silniki. Zamilkł. Wszystkie głosy zamarły w milczeniu, potem odezwały się znowu, najpierw głośniejsz, potem nieco ciszej.

Ciężki, ciemny obiekt zakreślił łuk w zasięgu światła, kołysząc się na lianie. Zniknął za drzewem. Pojawił się kolejny, następny. Widmowe cienie na pnączach otaczały sanie z obu stron. Coś ciężko uderzyło o pokrywę.

Orne zahamował gwałtownie, co sprawiło, że ładunek z tyłu się przesunął. Zorientował się, że przez szybę patrzy na tubylca z Gienah. Miejscowy przykucnął na pokrywie, w prawej ręce miał strzelający pociskami wybuchowymi karabin Mark XX wycelowany w głowę Orne'a. Zaszokowany nagłym spotkaniem Orne rozpoznał broń: standardowe wyposażenie marines na statkach poszukiwawczych B-D.

Tubylec był bliźniaczo podobny do tego, którego wizerunek widział Orne na ekranie przełącznikowym; nawet pas z woreczkami miał podobny. Czteropalczysta ręka obejmowała pewnie i wprawnie kolbę Mark XX.

Orne z wolna położył rękę na gardle, uruchomił ukryty mikrofon, poruszył mięśniami głosowymi.

– Właśnie uzyskałem kontakt. Jeden z grupy jest teraz na pokrywie. Ma jeden z naszych Mark XX wycelowany w moją głowę.

Z wszczepionym głośnika doszedł świszczący głos Stetsona:

- Chcesz żebyśmy wrócili?
- Odpowiedź przecząca. Czekać. Wygląda raczej na zaciekawionego niż nastawionego nieprzyjaźnie.
- Bądź ostrożny. Nie możesz być pewien reakcji nieznanego gatunku.

Orne zdjął z szyi rękę, podniósł ją, rozłożył dłoń. Pomyślał chwilę i podniósł również lewą rękę. Uniwersalny symbol pokojowych zamiarów: puste ręce. Lufa karabinu obniżyła się lekko. Orne przypomniał sobie język gienahiański, który wprowadzono do jego umysłu za pomocą hipnozy. *Ocheero*? Nie, to znaczy „Ludzie”. Ach... Przypomniał sobie trudny do wymówienia dźwięk powitania.

– *Ffroiragrazzi* – powiedział.

Tubylec przesunął się na lewo i odpowiedział bez akcentu, czystym galaktycznym:

– Kim jesteś?

Orne przewyciężył nagłą panikę. Pozbawione warg usta wyglądały dziwnie, gdy wydobywały się z nich swojskie słowa.

Głos Stetsona zasyczał:

– Czy to ten tubylec mówił galaktyckim?

Orne dotknął szyi.

– Słyszałeś go.

– Kim jesteś? – powtórzył Gienahianin.

Orne opuścił rękę i powiedział.

– Jestem Lewis Orne ze Służby Ponownego Odkrycia i Reeducacji. Zostałem tu przysłany na prośbę oficera Pierwszego Kontaktu z *Delphinusa*.

– Gdzie jest twój statek? – dopytywał się Gienahianin.

– Wysadził mnie i odleciał.

– Dlaczego?

– Według rozkazu poleciał na inne spotkanie.

Kątem oka Orne zauważył, że więcej cieni opadło na błoto wokół. Sanie przesunęły się, kiedy ktoś wspiał się na ładunek za kabiną.

Tubylec zszedł na boczny strumień sań, jednym płynnym ruchem odsunął drzwi. Karabin pozostawił w gotowości. I znowu z bezwargich ust rozległ się galaktycki:

– Co przewozisz w swoim... pojeździe?

– Sprzęt POR, rzeczy, których agent terenowy potrzebuje, by pomóc ludności ponownie odkrytej planety odbudować cywilizację i

gospodarke. – Orne skinął na karabin. – Czy nie mógłbyś skierować broni w inną stronę? To mnie denerwuje.

Lufa karabinu mierzyła niezmiennie w ciało Orne'a. Usta Gienahianina otwarły się ukazując długie kły i niebieski język.

– Czy nie wyglądamy dla ciebie dziwnie?

– Rozumiem, że nastąpiły poważne zmiany mutacyjne w formie humanoidalnej na tej planecie – powiedział Orne. – Co to było? Twarde promieniowanie?

Gienahianin milczał.

Orne odezwał się:

– To nic robi żadnej różnicy. Jestem tu, żeby wam pomóc, tak jak pomagamy wszystkim ponownie odkrytym planetom.

– Jestem Tanub, Wódz Wysokiego Szlaku *Grazzi* – powiedział tubylec. – Ja decyduję, kto ma pomagać.

Orne przełknął ślinę.

– Dokąd się udajesz? – spytał Tanub.

– Zmierzam w stronę miasta. Czy to jest dozwolone?

Tanub milczał przez chwilę, podczas gdy źrenice o pionowych szparkach rozszerzały się i kurczyły. Oczy te przypominały Orne'owi wielkiego kota, który decyduje się, czy skoczyć.

Wreszcie Tanub odezwał się:

– Jest dozwolone.

Głos Stetsona zasyczał w ukrytym głośniku: Koniec gry, Orne! Schodzimy po ciebie. Galaktycki i ten Mark XX to inna zabawa. Z pewnością mają *Delphimisa*.

Orne dotknął gardła.

– Nie! Daj mi jeszcze trochę czasu!

– Dlaczego?

– Ustawilibyście mnie w samym sercu walki. Poza tym mam przeczucie co do tych Gienahian.

– Jakie?

– Teraz nie mam czasu. Zaufaj mi.

Nastąpiła długa przerwa, w czasie której Orne i Tanub przyglą-

dali się sobie uważnie. W końcu Stetson odezwał się:

– Dobrze. Kontynuuj wykonanie planu. Ale ustal, gdzie schowali *Delphinusa*. Kiedy dostaniemy nasz statek z powrotem, wyrwiemy trochę tych zębów.

– Dlaczego ciągle się dotykasz? – spytał Tanub. Orne zdjął dłoń z szyi.

– Jestem nerwowy. Broń zawsze mnie denerwuje.

Tanub lekko obniżył lufę.

– Czy udamy się do waszego miasta? – spytał Orne. Zwilżył usta końcem języka. Zielone światło kabiny nadawało twarzy Gienahianina straszny i złowróźbny wygląd.

– Wkrótce możemy ruszać – odparł Tanub.

– Czy siądziesz ze mną do środka? – spytał Orne. – Jest miejsce dla pasażera tuż za mną.

Tanub rozejrzał się jak kot na prawo i na lewo.

– Tak – odwrócił się i warknął jakiś rozkaz w mrok dżungli, potem siadł za Orne’em. Śmierdział mokrą sierścią z domieszką kwasu.

– Kiedy pojedziemy? – spytał Orne.

– Wielkie słońce wkrótce zajdzie – powiedział Tanub. – Możemy ruszać, kiedy wszędzie *Chiranachuruso*.

– *Chiranachuruso*?

– Nasz satelita... nasz księżyc.

– To piękne słowo – zauważył Orne. – *Chiranachuniso*.

– W naszym języku znaczy „Konar Zwycięstwa” – powiedział Tanub. – W jego świetle ruszamy.

Orne odwrócił się, spojrział na Tanuba.

– Chcesz mi powiedzieć, że widzisz światło ciała niebieskiego, które dociera tu przez te drzewa?

– A ty tego nie widzisz? – spytał Tanub.

– Bez reflektorów, nie.

– Nasze oczy różnią się – powiedział Tanub. Schylił się w stronę Orne’a i zajrzał mu w oczy. Źrenice o pionowych szparkach rozszerzyły się i zwężyły. – Jesteś taki sam jak... inni.

– Och, na *Delphinusie*?

– Tak.

Orne zmusił się do zamilknięcia. Chciał zapytać o *Delphinusa*, ale wyczuł, że porusza się po skraju przepaści. Wiedział tak mało o Gienahianach. Jak się rozmnażają? Jaka jest ich religia? Było oczywiste, że Stetson i reszta nie oczekiwali od tej misji powodzenia. W depresji rzucili go na szalę.

Ogarnęło go uczucie sympatii do Gienahian. Tanub i jego towarzysze nie mieli nic do powiedzenia. Zdesperowani ludzie ciągnęli za wszystkie sznurki.

Zdesperowani i przerażeni ludzie, którzy wyrosli w cieniu okrucieństw Wojen Kresowych. Czy to dawało im prawo decydowania o przetrwaniu całych gatunków? Ci Gienahianie byli istotami myślącymi.

Choć nigdy nie uważał się za szczególnie religijnego, odmówił cichą modlitwę: Mahmudzie, pomóż mi ocalić tych... ludzi.

Wewnętrzny spokój ogarnął go, towarzyszyło mu poczucie siły i zaufania. Pomyślał: panuję nad sytuacją!

Opadł chłodny mrok, przynosząc ze sobą nagłe uspokojenie odgłosów dżungli. Teraz hałasy pochodziły jedynie od Gienahian na drzewach i wokół sań.

Tanub poruszył się i chrząknął.

Gienahianin, który stał na ładunku, zeskoczył na lewą stronę.

– Jedziemy – powiedział Tanub. – Wolno. Nie wyprzedzaj moich... zwiadowców.

– Dobrze. – Orne ruszył saniami naprzód, objechał zawadzające korzenie, obserwował w blasku reflektorów skaczące i huśtające się sylwetki eskorty.

Posuwali się naprzód, w kabinie zapanowało milczenie.

– Skręć trochę w prawo – odezwał się Tanub, wskazując prześwit między drzewami.

Orne wykonał manewr. Wokół ciemne sylwetki przeskakiwały z liany na lianę.

– Podziwiałem wasze miasto z powietrza – odezwał się Orne. – Jest bardzo piękne.

– Tak – potwierdził Tanub. – Twój gatunek tak uważa. Dlaczego wylądowaliście tak daleko od miasta?

– Nie chcieliśmy lądować tam, gdzie moglibyśmy cokolwiek zniszczyć.

– Nie ma nic do zniszczenia w dżungli, Orne.

– Dlaczego macie tylko jedno wielkie miasto? – spytał Orne.

Milczenie.

– Powiedziałem, dlaczego...

– Nie masz pojęcia o naszych zwyczajach, Orne – warknął Tanub. – Dlatego ci wybaczę. Miasto jest dla naszej rasy, dla jej wieczności. Nasze dzieci muszą rodzić się w świetle słońca. Kiedyś, dawno temu używaliśmy prymitywnych platform na szczytach drzew. Teraz... tylko dzicy tak robią.

W uszach Orne'a zasyczał głos Stetsona.

– Ostrożnie o seksie i rozmnażaniu. To są wszystko drażliwe tematy. Te stworzenia są jajorodne. Gruczoły płciowe są zapewne ukryte w długiej sierści tam, gdzie powinien być podbródek.

Kto orzeka, gdzie powinien być podbródek? – zdziwił się Orne.

– Ci, którzy panują nad miejscami urodzeń, panują nad naszym światem – powiedział Tanub. – Kiedyś było drugie miasto. Zniszczyliśmy je, pogruchotaliśmy jego wieże i posłaliśmy je w brudne błoto, gdzie dżungla upomni się o nie.

– Czy dużo jest tych... dzikich? – spytał Orne.

– Z każdym sezonem coraz mniej – odparł Tanub. W jego głosie brzmiały przechwałka i pewność siebie.

– Oto, jak zdobywają niewolników – odezwał się Stetson.

– Wkrótce w ogóle nie będzie dzikich – przechwalał się Tanub.

– Świetnie mówisz galaktyckim – zauważył Orne.

– Wódz Wysokiego Szlaku rozporządza najlepszym nauczycielem – powiedział Tanub. – Czy ty wiesz dużo, Orne?

– Tak, dlatego mnie tu przysłano – odparł Orne.

– Wiele jest planet do nauczania? – spytał Tanub.

– Bardzo wiele – powiedział Orne. – To wasze miasto, widziałem w nim bardzo wysokie budynki. Z czego budujecie?

– W waszym języku to „szkło” – odparł Tanub. – Inżynierowie z *Delphinusa* mówili, że to niemożliwe. Jak widać mylili się.

Na częstotliwości transportowca zabrzmiał syczący głos Stetsona:

– Kultura wytapiająca szkło! To by wiele tłumaczyło.

Gdy zamaskowane sanie powietrzne posuwały się przez dżunglę, Orne robił w myślach zestawienie tego, co usłyszał i zobaczył. Wytapiacze szkła. Wódz Wysokiego Szlaku. Oczy o źrenicach z pionowymi szparkami. Myśliwi. Wojownicy. Kultura niewolnicza. Młode musi rodzić się w świetle słońca. Kultura? Czy fizyczna konieczność? Uczyli się szybko. Mieli *Delphinusa* i jego załogę zaledwie od osiemnastu standardowych miesięcy.

Jeden ze zwiadowców zeskoczył przed reflektory i pomachał ręką.

Na rozkaz Tanuba Orne zatrzymał sanie. Czekali prawie dziesięć minut, zanim ponownie ruszyli.

– Dzicy? – spytał Orne.

– Zapewne. Ale jesteśmy zbyt silni, żeby zaatakowali. Oni nie mają dobrej broni. Nie obawiaj się, Orne.

Zza gigantycznych pni drzew dobiegał blask wielu światel. Stał się jaśniejszy, gdy sanie przekroczyły skraj dżungli i wyjechały na otwartą przestrzeń w odległości około dwóch kilometrów od miasta.

Orne patrzył w górę z lękiem. Budynki gienahiańskiego miasta wznosiły się strzelistymi spiralami w stronę jednobarwnego nieba, wyższe niż najwyższe drzewa. Miasto wyglądało jak delikatny las lanc, mostów, błyszczących kolumn i mrugających punktów światła. Mosty kołysały się między kolumnami, tak że cała sieć robiła wrażenie pajęczyny z pobłyskującymi kroplami wody.

– To wszystko ze szkła – szepnął Orne.

– Co się dzieje? – dopytywał się Stetson. Orne dotknął gardła:

– Właśnie wyjechaliśmy z dżungli i posuwamy się w stronę najbliższych budynków miasta. Są wspaniałe!

– Tym gorzej, jeśli mielibyśmy rozwalić to miejsce.

Orne pomyślał sobie o chargońskim przekleństwie:

– Obyś rósł jak dziki korzeń, głową w dół!

Odezwał się Tanub:

– Dosyć, Orne. Zatrzymaj pojazd.

Orne zahamował sanie. W świetle księżyca mógł dostrzec wszędzie wokół uzbrojonych Gienahian – mieli ręczne miotacze typu Mark XX. Wsparty na szkle piedestał kolumnowego budynku wznosił się w blasku księżyca wprost przed nim. Wydawało się, że jest wyższy niż krążownik zwiadowczy na lądowisku dżungli.

Tanub przechylił się Orne'owi przez ramię.

– Nie oszukaliśmy cię, co?

Orne poczuł, że kurczy mu się żołądek.

– Co masz na myśli? – Odór sierści w kabinie stał się nieznośny.

– Zrozumiałeś, że nie możemy być zmutowanymi osobnikami waszej rasy – powiedział Tanub.

Orne'owi zaschło w gardle. Do jego uszu dotarł głos Stetsona:

– Lepiej zgódź się na to.

– To prawda – potwierdził Orne.

– Podobasz mi się, Orne – powiedział Tanub. – Będziesz moim niewolnikiem. Dam ci piękne samice z *Delphinusa* i nauczysz mnie wielu rzeczy.

– Jak zdobyliście *Delphinusa*? – spytał Orne.

– Skąd o tym wiesz? – Tanub odsunął się, a Orne spostrzegł, że lufa karabinu podnosi się.

– Masz jeden z ich karabinów – powiedział Orne. – My nie rozdajemy broni na lewo i prawo. Naszym celem jest zmniejszenie ilości broni wszędzie we...

– Słabi, przyziemni pełzacze! – wrzasnął Tanub. – Nie dorównacie nam, Orne. My wybraliśmy właściwy szlak. Nasze męstwo jest wielkie. W przebiegłości przewyższamy wszystkie stworzenia. Podbi-

jemy was.

– Jak zdobyliście *Delphinusa*? – spytał Orne.

– Ha! Udostępnili nam statek, ponieważ miał kiepskie dysze. Powiedzieliśmy im szczerze, że możemy je udoskonalić. Twój gatunek robi bardzo kiepską ceramikę.

Orne przyglądał się Tanubowi w słabym blasku świateł kabiny.

– Tanub, czy słyszałeś o B-D?

– B-D! Oni badają i dostosowują, kiedy inni popełniają błędy; ich istnienie oznacza uznanie waszej niższości. To wy robicie błędy!

– Wielu ludzi robi błędy – zauważył Orne.

Po Gienahianinie można było poznać napięcie i ostrożność. Jego usta otwały się, ukazując kły.

– Zdobyliście *Delphinusa* zdradą? – naciskał Orne.

Głos Stetsona odezwał się na częstotliwości statku:

– Nie prowokuj go!

– Na *Delphinusie* byli zwykli durnie – powiedział Tanub. – Jesteśmy mniejsi niż twój gatunek, więc myśleli, że jesteśmy słabi. – Lufa Mark XX była wycelowana w żołądek Orne'a. – Sam sobie odpowiesz. Dlaczego mówisz o B-D?

– Jestem z B-D – zdecydował się Orne. – Przybyłem tu, by odkryć, gdzie ukryliście *Delphinusa*.

– Przybyłeś, aby umrzeć – zagroził Tanub. – Schowaliśmy wasz statek w miejscu, które nam odpowiada. W całej naszej historii nie mieliśmy lepszego miejsca, żeby przycziąć się i czekać na atak.

– Nie widzisz innego wyjścia niż atak? – spytał Orne.

– W dżungli silniejsi zabijają słabszych, dopóki ni zostaną sami silniejsi – powiedział Tanub.

– A potem silniejsi żerują na sobie nawzajem – odparował Orne.

– To gra słów dla mięczaków!

– Albo dla tych, co widzieli, jak ten sposób myślenia czyni całe światy nieprzydatnymi dla żadnej formy życia: nic nie zostaje ani dla słabszych, ani dla silnych.

– Jeszcze za twego życia, Orne, będziemy gotowi. Wtedy zoba-

czymy, kto z nas ma rację.

– Bardzo źle, że tak myślisz – odrzekł Orne. – Kiedy spotykają się dwie kultury, tak jak spotkały się nasze, skłonne są do wzajemnej pomocy. Każda z nich zyskuje. Co zrobiliście z załogą *Delphinusa*?

– Ci, którzy żyją, są niewolnikami – oświadczył Tanub. – Niektórzy stawiali opór. Inni odmówili uczenia nas tego, co było nam potrzebne. Nie będziesz na tyle głupi, by odmówić, czyż nie tak, Orne? – Wycelował Mark XX w głowę Orne’a.

– Nie muszę być głupi – obruszył się Orne. – My z B-D też jesteśmy nauczycielami. Dajemy nauczkę ludom, które robią błędy. Ty zrobiłeś błąd, Tanub. Powiedziałaś mi, gdzie ukryliście *Delphinusa*.

– Jazda, chłopcze! – wrzasnął Stetson na piskliwej fali transportowca. – Gdzie to jest?

– Niemożliwe! – warknął Tanub z lufą broni ciągle wycelowaną w serce Orne’a.

– Jest na waszym księżycu – powiedział Orne. – Po ciemnej stronie. Jest w górach na ciemnej stronie księżyca.

Żrenice Tanuba rozszerzyły się i zwężyły.

– Czytasz w myślach?

– Ludzie z B-D nie muszą czytać w myślach – pouczył go Orne. – My polegamy na swojej wyższej sprawności umysłowej i na błędach innych.

– Dwa monitory uderzeniowe są już w drodze – zasyczał głos Stetsona. – Przybywamy, żeby cię zabrać. Będę chciał się dowiedzieć, jak to ustaliłeś.

– Jesteś słabym durniem tak jak inni – zazgrzytał zębami Tanub.

– To źle, że wyrobiłeś sobie opinię na nasz temat obserwując niższych stopniem funkcjonariuszem POR – odparował Orne.

– Spokojnie, spokojnie – przestrzegał Stetson. – Nie kłóć się teraz. Pamiętaj, że to nadrzewny, zapewne silny jak małpa.

– Pełzający po ziemi niewolniku! – zazgrzytał wściekle Tanub. – Mogę cię zabić tam, gdzie siedzisz.

– Jeśli to zrobisz, zabijesz całą swoją planetę – zagroził Orne. –

Nie jestem sam, Tanub. Inni słyszą każde nasze słowo. Nad nami jest statek, który może rozłupać planetę jedną bombą i skapać wszystko w stopionej skale. Wasza planeta upodobni się do szkła waszych budynków. Cała wasza planeta będzie kawałkiem ceramiki.

– Kłamiesz!

– Mam propozycję – ciągnął Orne. – Nie chcemy was niszczyć. I nie zrobimy tego, dopóki nas nie zmusicie. Damy wam ograniczone członkostwo w Federacji Galaktycznej, do czasu udowodnienia, że nie stanowicie groźby dla innych...

– Ośmielasz się mnie znieważać! – warknął Tanub.

– Lepiej uwierz mi – obstawał Orne. – My...

Przerwał mu głos Stetsona:

–

– Znaleźliśmy go, Orne! Trzymali *Delphinusa* w wąskiej, górskiej dolince dokładnie tam, gdzie mówiłeś! Przetopili jego dysze. Teraz dajemy im wycisk.

– No właśnie, Tanub – przekonywał Orne. – Już odzyskaliśmy *Delphinusa*.

Tanub zwrócił oczy ku niebu. Potem znów spojrzął na Orne'a.

– To niemożliwe. Mamy wasz sprzęt łącznościowy i nie było sygnału. Światła naszego miasta ciągle błyszczą, a wy nie...

– Macie tylko słaby sprzęt POR – przerwał mu Orne. – Nie taki, jakiego używamy w B-D. Wasi ludzie na górze siedzieli cicho, aż było za późno. To ich sposób, nie...

– Skąd o tym wiesz? – dopytywał się Stetson.

Orne zignorował Stetsona i ciągnął:

– Poza zdobyczną bronią, która jeszcze wam została, nie macie oręża, by się nam przeciwstawić, Tanub. W przeciwnym razie nie nosiłbyś tego karabinu z *Delphinusa*.

– Jeśli to prawda, zginiemy mężnie – odparł Tanub.

– Nie ma potrzeby – zapewniał go Orne. – My nie...

– Nie mogę ryzykować, na wypadek gdybyś kłamał – przerwał mu Tanub. – Muszę cię zabić.

Orne kopnął pedał kontrolny sań powietrznych. Sanie wystrzeliły w górę, potężne przyciąganie wgniotło pasażerów w siedzenia. Broń trzasnęła o kolana Tanuba. Bezskutecznie usiłował ją podnieść.

Dla Orne'a grawitacja była ciągle około dwukrotnie większa niż na jego macierzystym Chargonie.

Wyciągnął ramię, wyjął broń z dłoni Tanuba, odnalazł pasy bezpieczeństwa i związał nimi Gienahianina. Następnie wyłączył przyspieszenie.

Tanub gapił się na niego, szczerząc zęby ze strachu.

– My nie potrzebujemy niewolników – powiedział Orne. – Mamy maszyny, które wykonują za nas większość prac. Przyślemy ekspertów, którzy nauczą was, jak osiągnąć równowagę z planetą, jak stworzyć dobry transport, jak wydobywać minerały, jak...

– A jak się wam odwdzięczymy? – szepnął Tanub. Był wyraźnie zastraszone siłą Orne'a.

– Zacząć możecie od nauczania nas produkcji świetnej ceramiki – zaczął Orne. W miarę jak mówił, w jego świadomości powstawały wciąż nowe pomysły – pokojowa funkcja rynku, celowa despecjalizacja wytwórczości, tak aby jedna wioska robiła trzonek motyki, a inna końcówkę, psychologiczne bezpieczeństwo cechów i kast...

Tonem niemal refleksyjnym zauważył:

– Mam nadzieję, że spojrzycie na sprawy tak jak my. Naprawdę nie chcemy wylądować i sprzątnąć was wszystkich – choć, jak widzisz, moglibyśmy. Jednak byłby to dla nas wstrząs, gdybyśmy musieli zniszczyć wasze miasto i wysłać was z powrotem do dżungli w miejsca, gdzie wychowujecie swoje młode.

Tanub opadł z sił.

– Miasto – szepnął. Potem powiedział:

– Poślij mnie do moich ludzi. Przedyskutuję to, czego się dowiedziałem, z naszą... radą. – Popatrzył na Orne'a z respektem. – Wy z B-D jesteście bardzo silni... bardzo silni. Nie spodziewaliśmy się tego.

Rozdział 7.

Najwcześniejsze wrażenia Psi spadły na ludzkość z nieznanego i dlatego pierwotnie kojarzyło się ono emocjonalnie ze strachem i projekcją maga fałszywych rzeczywistości, z inkubami i wiedźmami, z czarownikami i sabatami. Te skojarzenia są nam wrodzone i nasz gatunek ujawnia silną tendencję do powtarzania starych błędów.

HALMYRACH, ABBOD AMEL,
Psi i Religia

W kwaterze Stetsona na krężowniku zwiadowczym światła były przyćmione, fotele wygodne i ustawione blisko obitego zielonym suk-nem stolika, na którym stały kryształowe szklanki i karafka z ciemną brandy Hochar.

Orne podniósł szklankę i powoli sączył płyn. Odezwał się:

– Przez chwilę myślałem tam, że nigdy już nie posmakuję czegoś równie dobrego.

Stetson nalał sobie szklankę brandy i powiedział:

– Dowództwo słyszało wszystko przez sieć monitorową. Czy wiesz, że zostałeś awansowany na starszego agenta terenowego?

– W końcu docenili mnie – zauważył Orne.

Mówiąc to, sam zaniepokoił się niefrasobliwością własnych słów. Próbował odświeżyć ulotne wspomnienie – coś o prymitywnym ogrodnictwie, o narzędziach...

Na twarzy Stetsona pojawił się wilczy grymas.

– Starszy agent żyje zwykle o połowę krócej niż młodszy – zauważył. – Bardzo wysoka śmiertelność.

– Mogłem się tego spodziewać – zgodził się Orne. Łyknął jeszcze łyk brandy i pomyślał o losie Gienahian i Hamalitów: okupacji wojskowej. Można to było nazwać koniecznością B-D albo prewencyjnym nadzorem – ciągle jednak oznaczało to kontrolę przy użyciu

siły.

Stetson nacisnął włącznik kapitańskiego systemu zapisów krążownika.

– Nagrajmy to – powiedział.

– Od czego mam zacząć?

– Kto upoważnił cię do składania Gienahianom oferty ograniczonego członkostwa w Federacji Galaktycznej?

– W tamtej chwili wydawało mi się to dobrym pomysłem.

– Ale oferty nie mogą pochodzić od młodszego agenta terenowego.

– Dowództwo sprzeciwia się?

– Dowództwo rozkazywało mi dać ci upoważnienie w chwili, gdy odbierałeś mu broń. Nie byli jeszcze w naszej sieci, czyż nie tak?

– Nie... nie byli.

– Powiedz mi, Orne, jak wpadłeś na to, gdzie schowali *Delphinusa*? Zrobiliśmy przedtem szybki przegląd księżyca i wydawało się nam niemożliwe, żeby próbowali ukryć go tam.

– Musiał tam być. Tanub nazywał swój lud *Grazzi*. Większość istot myślących mówi o sobie słowem, które oznacza „Ludzie”. Ale w jego języku ludzie to *Ocheers*. Na naszej liście przekładowej nie było słowa *Grazzi*. Od tego zacząłem. Musi tu być jakaś pojęciowa nadbudowa, z bezpośrednim odniesieniem do kształtu zwierzęcego i zwierzęcych charakterystyk – tak jak i u nas. Wyczuwałem, że jeśli będę mógł stworzyć model pojęciowy ich sposobu porozumiewania się, będę ich miał. Działalem w warunkach walki na śmierć i życie i, o dziwo, obchodziło mnie ich życie i ich śmierć.

– Tak, tak, dajmy temu spokój – niecierpliwił się Stetson.

– Krok po kroku, byle na twardym gruncie – zbeształ go Orne. – W tym czasie wiedziałem już trochę o Gienahianach. Mieli dzikich wrogów w dżungli, stworzenia dosyć do nich podobne, które żyły w stanie godnej pozazdrosczenia wolności. *Grazzi*. Zastanawiałem się, czy mogło to być słowo przyjęte z innego języka. *Grazzi*. A gdyby tak znaczyło „wróg”?

- Nie rozumiem, ku czemu zmierzasz – denerwował się Stetson.
- To prowadzi nas do *Delphinusa*.
- To... to słowo powiedziało ci, gdzie jest *Delphinus*?
- Nie, ale to uzupełniało wzorzec stworzenia, do którego pasowali Gienahianie. Od pierwszego kontaktu z Gienahianami czułem, że mogą mieć kulturę podobną do Indian ze starej Terry.
- Co skłoniło cię do takich przypuszczeń?
- Wpadli na mnie jak prymitywna grupa najeźdźców. Przywódca skoczył prosto na pokrywę śmigła moich sań. To był atak brawury, nic innego jak rzucenie rękawicy.
- Rzucenie czego?
- Wyzwanie dokonane w sposób, który wystawia wyzywającego na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Chciał mnie ośmieszyć.
- Nie nadażam, Orne.
- Cierpliwości, do wszystkiego dojdziemy.
- Do tego skąd dowiedziałeś się, gdzie ukryli *Delphinusa*, też?
- Oczywiście. Widzisz, ten przywódca, ten Tanub, określił się jako Wódz Wysokiego Szlaku. Tego też nie było na naszej liście przekładów. Ale to było proste: Wędrowny Wódz. W każdym prawie znanym języku jest słowo, które oznacza „wędrowka” i wywodzi się od słowa oznaczającego drogę, ścieżkę lub autostradę.
- Człowiek wysokiej drogi – domyślił się Stetson.
- ”Wę-dro-wiec” wystarczy – przesylabizował Orne. – Trzon pochodzi od starożytnego ludzkiego słowa na oznaczenie drogi.
- Taak, taak, ale gdzie tu...
- Jesteśmy prawie w domu, Stet. Co wiemy już o nich w tym momencie? Kultura wytapiaczy szkła. Wszystko zmierza ku wnioskowi, że nie tak dawno wyłonili się z epoki prymitywu. Wpadli nam w ręce, kiedy powiedzieli, że przetrwanie ich gatunku uzależnione jest od bardzo słabego punktu – zależy od wysokiego miasta w blasku słońca.
- Taak. To ich mamy. To znaczy, że możemy ich kontrolować.
- Kontrola to niewłaściwe słowo, Stet. Ale teraz możemy to

przeskoczyć. Chcesz poznać wskazówki, jakie daje ich zwierzęcy kształt, ich język i to wszystko? Bardzo dobrze: Tanub powiedział, że ich księżyc nazywa się *Chiranachiruso*. W przekładzie „Konar Zwycięstwa”. Kiedy zdobyłem tę część, wszystko zaczęło pasować.

– Nie rozumiem, w jaki sposób?

– Pionowe szczeliny w ich oczach.

– Co to znaczy?

– To oznacza mocnego drapieżnika, który zwykł rzucać się na ofiarę z góry. Żaden inny typ stworzeń nie ma pionowych szczelin w narządach wzroku. A Tanub powiedział, że *Delphinusa* ukryli w najlepszym miejscu w ich historii. Idąc tym tropem, miejsce ukrycia musiało być gdzieś wysoko, bardzo wysoko. I również w ciemności. Zbierzmy do kupy: wysokie miejsce po ciemnej stronie *Chiranachuro* „Konaru Zwycięstwa”.

– Ze zdumienia mam oczy jak puchacz – wyszeptał Stetson.

Orne posłał mu grymas.

– Nie zgodziłbym się z... panem. Gdybym powiedział, co w tej chwili czuję, mógłby pan zmienić się w puchacza. Mam dosyć nieludzkich towarzyszy jak na dziś.

Rozdział 8.

– To dzięki śmierci znamy życie – powiedział Abbod. – Bez wiecznej obecności śmierci nie byłoby jaźni, ani wznoszenia się świadomości, ani oderwania od powiązanych symboli w stronę próżni – bez tła.

ROYALI, *Religia dla każdego,*
rozmowy z Abbodem

Nazwali to Incydentem na Shaleb, zanotował Stetson, i byli zadowoleni, że wśród B-D była tylko jedna ofiara. Myślał o tym, kiedy krążownik przywiózł ofiarę na Marak. Przypomniała mu się rozmowa z poszkodowanym.

– Starszy agent żyje zwykle o połowę krócej niż młodszy. Bardzo wysoka śmiertelność.

Stetson wydał z siebie wściekle przekleństwo *Prjado*.

Lekarze powiedzieli, że nie ma szans ocalenia agenta terenowego uratowanego z Sheleb. Człowiek ten żył już tylko w bardzo ograniczonym rozumieniu tego słowa. Życie jego zależało w całości od podobnego do macicy kokona ochronnego, który przyjął większość funkcji życiowych.

Z plakietki na kokonie można się było dowiedzieć, że zniekształcone ciało wewnątrz należy do osobnika zwanego Lewis Orne. Jego zdjęcie w dołączonej broszurze przedstawiało potężnego, umięśnionego rudowłosego mieszkańca planety o dużej sile ciężenia. Ciało w kokonie nie było szczególnie podobne do fotografii, ale nawet ze sflaczałego w bezładzie połowicznej śmierci Orne'a, emanowała czarodziejska aura.

Kiedy tylko Stetson zbliżał się do kokonu, wyczuł w jego wnętrzu siłę i klął się za to, że staje się miękki i skłonny do metafizyki.

Nie miał teorii, która mogłaby wytłumaczyć to uczucie, a zatem

odsuwał je od siebie, nosząc się przy tym z zamiarem konsultacji w Oddziale Psi B-D na wszelki wypadek. W centrum medycznym był oficer Psi.

Personel centrum medycznego odebrał ładunek w postaci kokonu i Orne'a po zakończeniu formalności w porcie.

Stetson, zszokowany i smutny, poczuł się ponadto, dotknięty chłodną i obojętną sprawnością, z jaką pracował personel medyczny. Widocznie traktowali pacjenta raczej jak ciekawostkę. Szef personelu podpisując dokument zanotował, że Orne stracił jedno oko, włosy po jednej stronie głowy (po lewej stronie, jak zaznaczono w opisie na kokonie), pięć cali prawej kości udowej, trzy palce lewej dłoni, około stu centymetrów kwadratowych skóry na plecach i udzie, całą lewą rzepekę i część szczęki i zębów po lewej stronie, oraz całkowicie zanikła praca płuc i nerek.

Przyrządy kokonu pokazywały, że Orne był w czasowym szoku przez ponad sto dziewięćdziesiąt minionych godzin.

– Dlaczego zawracasz sobie głowę kokonem? – spytał jakiś medyk.

– Ponieważ on żyje!

Medyk pokazał wskaźnik na kokonie:

– Napięcie życiowe tego pacjenta jest zbyt niskie i nie pozwala na operacyjną wymianę uszkodzonych organów albo drenaż energii dla ich odbudowy. Przez jakiś czas będzie żył dzięki kokonowi, ale...

– I lekarz wzruszył ramionami.

– Ale on jest żywy – upierał się Stetson.

– I zawsze możemy modlić się o cud – skwitował medyk.

Stetson przyjrzał się temu człowiekowi; zastanawiał się, czy jego słowa były szyderstwem, ale lekarz wpatrywał się właśnie w kokon przez małe okienko obserwacyjne.

Po chwili wyprostował się, potrząsnął głową:

– Oczywiście, zrobimy, co możemy – powiedział.

Wsunęli kokon do szpitalnego latacza i pomknęli w stronę jednego z szarych monolitów, które otaczały pole.

Stetson wrócił do swego biura na krążowniku, zwiesiwszy ramiona, co dodatkowo podkreślało jego niedbałą postawę. Toporne rysy były naznaczone smutkiem. Osunął się na fotel przy pulpicie i spojrzął przez otwarte okno. Jakies czterysta metrów niżej rozbrzmiewała hałaśliwa praca głównego portu. Dwa rzędy krążowników stały tuż obok sektora odbioru rannych – połyskujące czarno-czerwone iglice. Część hałasów na dole wiązała się z kontrolą naziemną przygotowującą się do przesunięcia jego krążownika do szeregu oczekujących statków.

Jak wiele z nich zatrzymywało się najpierw w tym sektorze, żeby wylądować rannych? – zastanawiał się Stetson.

Martwiło go, że nie miał o tym informacji. Patrzył na statki, nie widząc ich jednak; widział zwisające mięso, czerwone dziury w ciele Orne'a, kiedy zabierano go ze spalonej ziemi Sheleb do kokonu ochronnego.

Myślał: To zawsze zdarza się w czasie takiej zwykłej misji. Nie mieliśmy nic poza przypadkowymi podejrzeniami co do Sheleb – zastanowił nas fakt, że tylko kobiety pełnią wysokie funkcje. Prosty niewytłumaczony fakt i straciłem jednego z moich najlepszych agentów.

Westchnął, odwrócił się do pulpitu i zaczął się zestawiać raport:

– Wojowniczy trzon na Planecie Sheleb wyeliminowany (Cholerna bzdura!). Siły okupacyjne na powierzchni (Orne miał rację co do sił okupacyjnych: Cokolwiek dobrego by zrobiły, tworzą zło!). Nie spodziewano się zagrożenia dla pokoju w Galaktyce z tej strony. (Co mogłaby zrobić rozbita i zdemoralizowana ludność?).

– Powód Operacji (cholerna głupota!): POR – po dwóch miesiącach kontaktu z Sheleb – nie wykryła oznak wojowniczości.

– Główne wskazania (całe to parszywe spektrum!):

- 1) Kasta panująca ogranicza się do kobiet.
- 2) Zróżnicowanie liczby zajęć kobiecych i męskich daleko przekracza normę Lutig!
- 3) Pełny syndrom tajności /hierarchii/kontrolii/ bezpieczeństwa.

– Starszy Agent Terenowy Lewis Orne odkrył, że kasta panująca kontrolowała płeć potomstwa w czasie poczęcia (patrz załączone szczegóły) i tworzyła męską armię niewolniczą dla zabezpieczenia swej władzy. Z agenta POR wyciągnięto informację, zabito i zastąpiono dublerem. Broń sporządzona dzięki temu podstępowi spowodowała krytyczne obrażenia u Starszego Agenta Terenowego Orne’a. Nie oczekuje się, że przeżyje. Niniejszym rekomenduję Orne’a do Medalu Galaktyki i proszę, by imię jego i wpisane było do Zwoju Honorowego.

Stetson odepchnął raport na bok. To wystarczy Dowództwu. Dowódca operacji galaktycznych nigdy nie wychodził poza surowe szczegóły. Dokładny wydruk będzie do przeglądu dla jego adiutantów, a to można wysłać później. Stetson nacisnął przycisk łączności, żeby uzyskać zapis przebiegu służby Orne’a. Zabierał się do zadania, którego szczerze nienawidził: powiadomienie najbliższej rodziny. Przestudiował zapis, zagryzając wargi.

– Ojczysta Planeta: Chargon. Zawiadomić w razie wypadku lub śmierci: Pani Victoria Orne, matka.

Przeglądał zapis, zwlekając z wysłaniem znienawidzonego posłania. Orne wstąpił do komandosów Federacji w wieku lat standardowych siedemnastu (ucieczka z domu), jego matka wyraziła zgodę po wstąpieniu. Dwa lata później: przeniesienie na stypendium do Uni-Galakty, szkoły POR, tu, na Marak. Pięć lat szkoły, jedno zadanie operacyjne POR wykonane i przeniesiony do B-D za błyskotliwe wykrycie oznak agresji na Hamal. Dwa lata później – kokon ochronny.

Nagle Stetson cisnął służbowym nagraniem na szarą metalową ścianę naprzeciwko, potem wstał, zabrał nagranie z powrotem na pulpit. W oczach miał łzy. Nacisnął odpowiedni guzik łączności, podyktował zawiadomienie centralnemu sekretariatowi, rozkazał, żeby wysłano je z Priorytetem Numer Jeden. Zszedł na powierzchnię i upił się brandy Hochar, ulubionym napojem Orne’a.

Następnego ranka przyszła odpowiedź z Chargonu:

– Matka Lewisa Orne’a jest zbyt chora, aby mogła być zawi-

domiona lub odbyć podróż. Siostry zawiadomiono. Proszę uprzejmie poprosić panią Ipscott Bullone z Marak, żeby przyjęła na siebie obowiązki rodzinne. – Podpisano: Madrena Orne Standish, siostra.

Z pewną dozą obawy połączył się z Rezydencją Ipscott Bullone, liderki partii większości w Zgromadzeniu Federacji. Pani Bullone wybrała połączenie z czystym ekranem. W tle rozbrzmiewał odgłos lejącej się wody.

Stetson wpatrywał się w szary ekran na pulpicie. Nigdy nie lubił czystych ekranów. Głowa bolała go od brandy Hochar, a żołądek utrzymywał, że to było niewłaściwe połączenie. To musiała być pomyłka.

Rozmówca po drugiej stronie ekranu odezwał się barytonem:

– Tu Polly Bullone.

Wyciszając własny żołądek, Stetson przedstawił się i zrelacjonował przesłanie z Chargon.

– Chłopak Victorii umiera? Tutaj? Och, biedactwo! A Madrena jest z powrotem na Chargon – wybory. Tak, oczywiście. Natychmiast udam się do szpitala.

Stetson podziękował i rozłączył się. Zaintrygowany odchylił się w fotelu. Żona Wysokiego Komisarza! Czuł się ogłuszony. Coś tu nie pasowało. Wkrótce to sobie przypomniał:

– Pierwszy Kontakt! Hamal! Zakuty łeb nazwiskiem Andre Bullone!

Stetson zażądał odpowiedniego raportu z Hamal i odkrył, że Andre Bullone był siostrzeńcem Wysokiego Komisarza. Nepotyzm oczywiście zaczynał się na górze. Ale nie miało to widocznego wpływu na sprawę Orne'a. Ucieczka nastolatka. Inteligentny. Samodzielny. Orne twierdził, że nie wie nic o związku między Andre Bullone i Wysokim Komisarzem.

Mówił prawdę, pomyślał Stetson. Orne nie wiedział o tych powiązaniach rodzinnych.

Stetson dalej przeglądał raport. Paskudztwo! Siostrzeniec został przeniesiony do papierkowej roboty głęboko w biurokracji: sztuczka z

opinią. Na nocie o przeniesieniu widniał zielony znaczek głoszący „Naciski z góry”.

Teraz – powiązanie rodzinne Orne’a z Bullone.

Ciągle zaintrygowany, ale niezdolny uporać się z problemem, Stetson nadał do Dowództwa notatkę „do rąk własnych”, następnie zwrócił się do listy z parafą „pilne” w pliku prowadzonych spraw.

Rozdział 9.

Kiedy ze słownictwa mitologicznego rozwinęło się nasze pierwotne rozumienie Psi, nastąpiła przemiana. Z księgi tajemnych znaków wyłoniła się ciekawość i przekład strachu na eksperyment. Ludzie odważyli się badać przerażające pogranicze używając analitycznych narzędzi umysłu. Z tych niezbyt uczonych i prowadzonych po omacku poszukiwań powstały pierwsze praktyczne podręczniki, z których rozwinęliśmy Psi Religijne.

HALMYRACH, ABBOD AMEL,
Psi i Religia

Kokon ochronny zawierający ciało Orne'a zwisał na hakach z sufitu w oddzielnym pomieszczeniu centrum medycznego B-D. W mętnej zieleni pokoju rozbrzmiewało popiskiwanie oraz rytmiczne sapanie, westchnienia i klekoty. Co jakiś czas drzwi otwierały się cicho i wchodziła biała ubrana postać, sprawdzała wykresy na taśmach przy instrumentach wokół kokonu, kontrolowała główne łącza, a potem zniknęła.

Używając lekarskiego eufemizmu można by powiedzieć, że Ornie zwlekał.

Stał się głównym tematem rozmów w czasie przerw: Ten agent zraniony na Sheleb ciągle jest wśród nas. Człowieku, ci faceci muszą być inaczej zbudowani, inaczej niż my... Taak, słyszałem, że została mu jedna ósma wnętrzości – wątroba, nerki, żołądek, wszystko poszło... Można się było założyć, że nie pociągnie więcej niż miesiąc... A teraz, zobacz, jak się naciął stary wyga Tavish!

Rankiem osiemdziesiątego ósmego dnia spędzonego w kokonie do pokoju Orne'a weszła pielęgniarka na pierwszą zwykłą kontrolę. Podniosła pokrywę inspekcyjną i spojrzała do wnętrza. Pielęgniarka była wysoką profesjonalistką o szczupłej twarzy, nauczyła się stawiać

czoła zarówno cudom jak i porażkom, nie okazując żadnego wzruszenia. Była tu tylko po to, by wypełnić obowiązek. Rutynowe czynności przy umierającym (albo już martwym) operacyjnym B-D uspiły jej czujność, nie była przygotowana psychicznie na nic innego poza kontrolą zapisów.

To kwestia dni, biedaku, pomyślała.

Orne otworzył swe ocalałe oko, pielęgniарce zapało dech, kiedy wyszeptał:

– Czy wykończyli te panie na Sheleb?

– Tak jest! – wyrwało się pielęgniарce. – Wykończyli, proszę pana!

– Kolejna cholerna fuszerka – powiedział Orne. Zamknął oko. Symulacja oddechu pogłębiła się, a akcja serca wzrosła.

Pielęgniарka nerwowo zadzwoniła po lekarzy.

Rozdział 10.

Nasz problem sprowadza się częściowo do tego, że usiłujemy wprowadzić kontrolę zewnętrzną dla systemu systemów, który powinien być utrzymywany dzięki równowadze sił wewnętrznych. Nie próbujemy wykrywać systemów samoregulacyjnych naszych gatunków, od których zależy przetrwanie owych gatunków. Ignorujemy naszą własną funkcję sprzężenia zwrotnego.

LEWIS ORNE,
Raport o Hamal

Dla Orne'a nastąpił przejściowy okres białej mgły, potem czas bólu i stopniowego uświadamiania sobie, że jest w kokonie ochronnym. Musiał tam być. Przypomniawszy sobie nagłą niszczycielską eksplozję na Sheleb... eksplozję, która zwała się na niego jak milcząca siła – żadnego dźwięku, po prostu ogarniająca nicłość.

Stary, poczciwy kokon ochronny. Dawał mu poczucie bezpieczeństwa, osłaniał przed zewnętrznymi zagrożeniami. Wiele działało się w jego wnętrzu. Mógł przypomnieć sobie... sny? Nie był pewien, czy to naprawdę były sny. To było coś o motyce i trzonku do niej. Próbował przywołać nieuchwytną za pomocą wzorca. Wyczuwał, że otulony kokonem, a dalej połączony z jakimś bezlitosnym systemem, masywnym działaniem, sprawdzającym wszystko, co istnieje, do poziomu podstawowego.

Czy to możliwe, że Człowiek wynalazł wojnę i wpadł w pułapkę własnego wynalazku? – zastanawiał się Orne. Kimże jesteśmy my, w B-D, że pozwalamy sobie odgrywać rolę aniołów, które pośredniczą w sporach wszelkich myślących gatunków, jakie spotykamy?

Czy to możliwe, że nasz wszechświat wpływa na nas w jakiś trudny do wykrycia sposób?

Wyczuwał wibrowanie swego mózgu, świadomości, wyobrażał

sobie to działanie niczym czarodziejską różdżkę symbolizującą popędy i energię pragnień całego życia. Gdzieś we wnętrzu wyczuł obecność pewnej starodawnej funkcji: była to sprawa archaicznych tendencji, które zachowały trwałość, mimo że niosły na sobie ślady ewolucji, przez którą przeszły.

Nagle wyczuł obecność przytłaczającej myśli: „Najbardziej po-mylnym wysiłkiem wrażliwości jest usiłowanie zmiany przeszłości, wyplenienia sprzeczności, wymuszenia szczęścia bliźnich za wszelką cenę. Powstrzymywać się od sprawiania bólu drugim to inna sprawa. Gdy projektuje się i urządza szczęście dla innych i wprowadza się je na siłę, prowokuje się zarazem przeciwdziałanie o równej sile i przeciwnym zwrocie.”

Myśl ta wypełniała świadomość Orne’a, kiedy osuwał się w sen.

Rozdział 11.

Człowiek działa z racji złożonych potrzeb wyższego rzędu, szuka samopotwierdzenia w rytuale, obstaje przy racjonalnej potrzebie nauki, dąży ku wyznaczonym sobie celem, manipulując swym środowiskiem, przecząc tym samym własnym zdolnościom adaptacyjnym, nigdy nie jest naprawdę zadowolony.

WYKŁADY HALMYRACHA,
Prywatnie publikowane zapiski z Amel

U Orne'a pojawiły się drobne, lecz trwałe oznaki poprawy, miesiąc później lekarze zdecydowali się na przeszczep jelit, który podwyższył odporność organizmu. Dwa miesiące później przenieśli go na dietę atlotlowo-gibrilową, wymuszając transfer energii, która pozwoliła mu odbudować utracone jelita, palce i oko, odzyskać pokrywę włosów i usunąć inne wewnętrzne uszkodzenia.

Przez cały ten czas Orne mocował się z własną duszą. Czuł, że dławią go niegdyś akceptowane schematy, tak jakby przeszedł głęboką przemianę, która wyjęła go z jego starego ciała. Wszystkie założenia z jego poprzedniej egzystencji upodobniły się do cieni, beznamiętnych i przeciwnych nowemu ciału, jakie w nim rosło. Czuł, że śmierć go zaskoczyła, i pogodził się z całkowitą negacją życia, które rozpadło się w pył. Teraz odbudowywał i dobrowolnie akceptował tylko jedną część definicji życia.

Jestem bytem, myślał. Istnieję. To wystarczy. Sam sobie daję życie.

Myśl ta wślizgiwała się do jego umysłu jak ogień, który wyniósł go z jaskini przodków. Koło jego życia kręciło się i wiedział, że wykona pełny obrót. Czuł, że zstąpił do wnętrza wszechświata, aby pojąć, w jaki sposób wszystko to zostało zrobione.

Nie będzie już starych tabu, myślał. Byłem zarówno żywy, jak i

martwy.

Czternaście miesięcy, jedenaście dni, pięć godzin i dwie minuty od momentu, kiedy zabrano go prawie martwego z Sheleb, Orne opuścił szpital na własnych nogach w towarzystwie dziwnie milczącego Umbo Stetsona.

Pod ciemnoniebieską peleryną polową B-D mundur Orne'a wisiał jak worek na muskularnym niegdyś ciele. W jego oczach pojawiły się znów filuterne iskierki – nawet w nowym oku, które wyrosło równoległe z jego nową świadomością. Jeśli pominąć straty na wadze, wyglądał tak jak dawny Lewis Orne. Podobieństwo było na tyle bliskie, że większość starych znajomych rozpoznawała go jedynie po chwili wahania. Dla przypadkowego oka nieuchwytnie pozostały wewnętrzne różnice.

Poza szpitalem chmury zakryły zielonkawe słońce Marak. Było przedpołudnie. Chłodny, wiosenny wiatr poruszał trawnikiem i uderzał w grządki egzotycznych kwiatów wokół szpitalnego lądowiska.

Orne zatrzymał się na skraju lądowiska, zaczerpnął w płuca chłodnego powietrza.

– Piękny dzień – powiedział. Jego nowa rzepka, o dziwo, pracowała lepiej niż stara. Wiedział dokładnie o wszystkich swoich nowych organach, o syndromie odrastania, któremu wszyscy byli lokatorzy kokonów ochronnych zawdzięczali miano „dwukrotnie urodzonych”.

Stetson wyciągnął rękę, żeby pomóc Orne'owi na stopniach, zawahał się chwilę, potem włożył rękę do kieszeni. Pod maską nudy i pewności siebie szef sekcji ukrywał niepokój. Cały czas robił marsową minę. Przymknięte powieki nie mogły ukryć ostrego, badawczego spojrzenia.

Orne popatrzył na niebo na południowym zachodzie.

– Latacz powinien wkrótce tu być – odezwał się Stetson.

Podmuch wiatru szarpnął peleryną Orne'a. Zatoczył się, ale szybko odzyskał równowagę.

– Czuję się dobrze – powiedział.

– Wyglądasz jak coś, co zostało po pogrzebie – mruknął Stetson.

– Po moim pogrzebie – dodał Orne. Skrzywił się. – W każdym razie zmęczyłem się już tym chodzącym cmentarzem, jak nazywam szpital. Wszystkie moje pielęgniarki były mężatkami albo miały narzeczonych.

– Dałbym głowę, że można ci ufać – mruknął Stetson.

Orne spojrzał na niego zaintrygowany tą uwagą.

– Co?

– Dałbym głowę – powiedział Stetson.

– Nie, nie, Stet. Daj moją głowę. Ja jestem przyzwyczajony.

Stetson potrząsnął głową jak niedźwiedź.

– Wolne żarty! Ufam tobie, ale zasługujesz na spokojną rekonwalescencję.

– No, wykrztuś to wreszcie – nalegał Orne. – Co tam wisi w powietrzu?

– Nie możemy obciążać cię zadaniem w takiej chwili – upierał się Stetson.

Orne zniżył głos i rozbawionym tonem mruknął:

– Stet?

Stetson spojrzał na niego.

– He?

– Zachowaj tę szlachetną pozę dla kogoś, kto cię nie zna – powiedział Orne. – Masz dla mnie robotę. W porządku. Już zrobiłeś gest dla uspokojenia sumienia.

Stetson skrzywił się.

– Problem polega na tym, że jesteśmy zdesperowani i nie mamy wiele czasu.

– To brzmi swojsko. Ale nie jestem pewien, czy chcę grać według starych reguł. Co masz na myśli?

Stetson wzruszył ramionami.

– Cóż... skoro i tak masz zagościć w domu Bullone'ów, pomyśleliśmy... cóż, podejrzewamy, że Ipscott Bullone stoi na czele spisku, który ma na celu przejęcie władzy, a gdybyśmy...

– Co rozumiesz przez pojęcie władzy? – spytał Orne. – Wysoki

Komisarz Galaktyki jest władzą – podległą Konstytucji i Członkom Zgromadzenia, którzy go wybrali.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Orne, być może mamy taką sytuację wewnętrzną, która doprowadzi do wybuchu kolejnej Wojny Kresowej. Myślimy, że Bullone jest sercem spisku – powiedział Stetson. – Znaleźliśmy osiemdziesiąt jeden niebezpiecznych planet, wszystkie były Członkami Ligi Galaktycznej przez wieki. Na każdej z nich mieliśmy podstawy podejrzewać istnienie bandy zdrajców, którzy sprzysięgli się, by obalić Ligę. Nawet na twojej ojczystej planecie Chargon.

– Na Chargon? – spytał Orne z niedowierzaniem.

– Przecież powiedziałem.

Orne potrząsnął głową.

– Czego ode mnie chcesz? Chcesz żebym pojechał do domu na rekonwalescencję? Ostatnio byłem tam jak miałem siedemnaście lat, Stet. Nie jestem pewien, czy...

– Nie, do diabła! Chcemy, żebyś był gościem w domu Bullo-
ne'ów. I jeśli już o tym mowa, dlaczego oni właśnie mieli się tobą zajmować jako rodzina?

– To dziwne, wiesz – powiedział Orne, po chwili zastanowienia.

– Wszystkie te banalne żarciki w B-D o starym Ipscotcie... a potem odkryłem, że jego żona chodziła do szkoły z moją matką – mieszkały w jednym pokoju, na wszystkie świętości!

– Twoja matka nie wspominała o tym?

– Nie mogę sobie przypomnieć.

– Czy spotkałeś jego samego?

– Odwiózł żonę do szpitala parę razy. Wyglądał na dosyć miłego gościa, choć trochę sztywny i zamknięty w sobie.

Stetson zagryzł wargi w zamyśleniu, popatrzył na południowy zachód, potem na Orne'a. Odezwał się:

– Każde dziecko wie, jak Liga Nathiańska i Marakiańska walczyły w Wojnach Kresowych i jak upadły stare cywilizacje. Fakt, że

Liga Marakiańska stała się Ligą Galaktyczną i że zszywamy ją na nowo, wydaje się dzisiaj nieco odległy.

– Pozwolę sobie stwierdzić oczywistość, że pięć stuleci to dużo czasu – zauważył Orne.

– Być może to nie dalej niż wczoraj – odparł Stetson. Zakaszlał i badawczo przyjrzał się Orne'owi.

Orne zastanawiał się, dlaczego Stetson zachowuje się tak ostrożnie. Co miało znaczyć to odniesienie do Nathian i Marakian? Coś go mocno niepokoi. Dlaczego mówił o zaufaniu?

Stetson westchnął, rozejrzał się.

Orne spytał:

– Mówiłeś o zaufaniu do mnie. Dlaczego? Czy ten rzekomy spisek sięga B-D?

– Tak myślimy – potwierdził Stetson.

– Dlaczego?

– Jakiś rok temu pewien zespół archeologiczny POR szperał w ruinach na Dabih. Miejsce było stopione na szkło w czasie Wojen Kresowych, jednak cały bank danych z posterunku nathiańskiego ocalał – wyjaśnił, omiółszy Orne'a spojrzeniem.

– No i? – spytał Orne, kiedy milczenie przeciągało się.

Stetson kiwnął głową jakby do siebie i ciągnął:

– Chłopcy z POR nie zrozumieli nic ze swego odkrycia. Nic dziwnego. Wezwali kryptoanalizyka z B-D. On złamał skomplikowany szyfr, w jakim utajniono materiały. Kiedy zaczął coś rozumiesz tego, co badał, nacisnął guzik alarmowy, nie pytając się o nic POR.

– Z powodu czegoś, co Nathianie zapisali pięćset lat temu?

Przymknięte powieki Stetsona podniosły się, oczy spoglądały chłodnym, przenikliwym spojrzeniem. Powiedział:

– Dabih był stacją przerzutową dla wybranych członków najpotężniejszych rodzin nathiańskich.

– Stacją przerzutową? – spytał zaintrygowany Orne.

– Dla wyszkolonych uchodźców. – Stara sztuczka. Stosowana przez nich do końca – ciągnął Stetson.

– Ale pięćset lat, Stet!

– Niechby nawet pięć tysięcy lat – zachnął się Stetson. – W zeszłym miesiącu przechwyciliśmy urywki wiadomości zapisanych tym samym kodem. Tak samo grzecznie i poufnie! Czy ciebie by to nie rozdrażniło? – potrząsnął głową. – A każdy strzęp, jaki przechwyciliśmy, dotyczył zbliżających się wyborów!

Orne poczuł, że zagadka Stetsona wciąga go i podnieca; wszystko interpretował zgodnie z pierwszą dyrektywą B-D – za wszelką cenę zapobiec nowym Wojnom Kresowym.

– Zbliżające się wybory mają decydujące znaczenie – stwierdził Stetson.

– Ale zostały do nich tylko dwa dni! – zaprotestował Orne.

Stetson dotknął miernika czasu na skroni, przerwał, by otrzymać synchronizację, potem odezwał się:

– Czterdzieści dwie godziny i pięćdziesiąt minut, dokładnie. Nieprzekraczalny termin.

– Czy były jakieś nazwiska w zapisach z Dabih? – spytał Orne.

Stetson pokręcił głową.

– Nazwy planet, tak. I nazwiska rodzin, ale te przełożono na nowy system kodowania, którego my nie złamaliśmy i chyba nie złamiemy. Zbyt prosty.

– Co masz na myśli mówiąc: zbyt prosty?

– Są to z pewnością kryptonimy odnoszące się do spraw społecznych, zrozumiałych dla Nathian. Możemy przetłumaczyć zapisy z Dabih na słowa, ale jak te słowa przełożono na kryptonimy, nie wiemy. Na przykład, kodowa nazwa Chargon brzmi „Zwycięzca”. Coś ci to mówi?

– Nie. – Orne pokręcił głową.

– Tego się spodziewałem – stwierdził Stetson.

– Jaka jest nazwa kodowa Marak? – spytał Orne.

– „Głowa” – powiedział Stetson. – Możesz to powiązać z Bullo-

ne?
– Rozumiem, o co ci chodzi. Ale jak ty...

– I tak z pewnością zmienią teraz nazwy – przerwał Stetson.

– Może nie – zauważył Orne. – Nie zmienili swego systemu szyfowania. – Potrząsnął głową, próbując uchwycić jakąś myśl przyczajoną tuż na granicy świadomości. Myśl nie pojawiła się. Poczł się nagle wyczerpany wysiłkiem włożonym w zrozumienie ostrożnych rewelacji Stetsona.

– Masz rację – mruknął Stetson. – Będziemy się tego trzymać. Może coś się okaże.

– Jakimi wskazówkami się kierujecie? – spytał Orne. Wiedział, że Stetson ukrywa jeszcze coś ważnego.

– Wskazówki? Wróciliśmy do podręczników historii. Mówią one, że Nathianie byli mistrzami mechaniki politycznej. Nagrania z Dabih przedstawiły nam kilka faktów, które przyprawiły nas o ból głowy.

– Na przykład?

– Nathianie wybierali kryjówki dla swych wyszkolonych uchodźców z diaboliczną starannością. Każda z nich była planetą tak sponiewieraną przez wojnę, że mieszkańcy chcieli tylko odbudować się i zapomnieć o przemocy. Instrukcje dla rodzin nathiańskich były proste: ukryj się, wzrastaj w przyjętej kulturze, opanuj politycznie słabe punkty, buduj podziemną siłę, szkól następców, żeby mogli przejąć pracę.

– Wygląda na to, że Nathianom brakuje już cierpliwości – zauważył Orne.

– Wszystko na to wskazuje. Oni rozproszyli się, by działać od środka i klęskę zmienić w zwycięstwo.

– Odśwież moją znajomość historii – poprosił Orne.

– Ta rasa ludzka pochodzi z Nathii II. Ich mitologia nazywa ich Arabami czy Ayrbami. Szczególne obyczaje – włóczęgi kosmiczne, ale z silnymi więzami rodzinnymi i lojalnością wobec swego ludu. Zmienni, bardzo weseli. Przypomnij sobie historię z siódmej klasy. Będiesz wiedział tyle co ja.

– Nasze teksty historyczne na Chargon mówiły o Nathianach ja-

ko „Jednej ze stron Wojen Kresowych”. Miałem wrażenie, że dzielili winę mniej więcej po równo i Ligę Marakiańską – powiedział Orne.

– Są miejsca, w których zabrzmiałoby to wywrotowo – zauważył Stetson.

– A jak to brzmi dla ciebie?

– Historię zawsze piszą zwycięzcy – stwierdził Stetson.

– Z wyjątkiem Chargon, jak się zdaje. A co ma do rzeczy Wysocki Komisarz Ipscott? I skoro już przy tym jesteśmy, dlaczego wydzielasz mi informacje jak sknera pieniądze rozrzutnemu zięciowi? – spytał Orne.

Stetson zwilżył usta końcem języka i powiedział:

– Jedna z siedmiu córek Ipscotta jest obecnie w domu. Na imię ma Diana. Jest dowódcą terenowym w służbie kobiecej B-D.

– Zdaje się, że o niej słyszałem... Zdaje się, iż pani Bullone wspomniała o tym, że córka jest w domu – powiedział Orne.

– Tak, hm... jedna z przechwyconych nathiańskich depesz była adresowana do niej.

– Oho ho! – wykrzyknął zaskoczony Orne. – Kto wysłał przekaz? Jaka była zawartość?

Stetson kaszlnął.

– Wiesz, Lew, my sprawdzamy wszystko na wylot.

– No i co nowego?

– Przesłanie było napisane ręcznie i podpisane MOS.

Ponieważ Stetson zamilkł. Orne sam zapytał:

– I ty wiesz kto to jest MOS, czyż nie?

– Nasza kontrola podała skrót MOS normalnemu dochodzeniu według stopni pokrewieństwa. Doszliśmy do oryginału. Charakter pisma zgadza się. Nazwisko – Maderna Orne Standish.

Orne’a zmroziło.

– Maddie? – odwrócił się powoli do Stetsona. – Zatem to cię gryzło.

– Wiemy z pewnością, że nie byłeś w domu od siedemnastego roku życia – powiedział Stetson. – Mogliśmy sprawdzić wszystkie

ważne okresy w twoim życiu. Twoje konto jest czyste. Pozostaje pytanie...

– Pozwól mi dokończyć – wtrącił Orne. – Pytanie brzmi: Czy nie zmienię się w swoją własną siostrę, jeśli się nie uda?

Stetson przyglądał mu się w milczeniu. Orne widział, jak z wolna kryje się za maską wyższego oficera B-D, trzymając jedną rękę w kieszeni. Co w niej było? Nadajnik? Broń?

– Rozumiem cię – odezwał się Orne. – Pamiętam przysięgę, którą złożyłem, i znam swoją robotę: pilnować, żeby nie było kolejnego wybuchu takiego jak Wojny Kresowe. Ale Maddie w tym wszystkim?

– Nie ma co do tego wątpliwości – zapewnił Stetson.

Orne wrócił myślą w dzieciństwo. Maddie? Pamiętał rudowłosego trzpiota, chętnego towarzysza jego przygód, współkonspiratorkę, gdy dorośli zbyt natrętnie zgłębiali tajemniczy świat dzieci.

– No i co? – naciskał Stetson.

– Moja rodzina nie należy do jednego z tych zdradzieckich rodów, o których mówiłeś – stwierdził Orne. – Jak Maddie mogłaby się w to zamieszać?

– Cała ta sprawa wplątana jest w politykę – tłumaczył Stetson. – Sądzymy, że to przez jej męża.

– Ach, Członek Zgromadzenia Chargon – powiedział Orne. – Nigdy go nie spotkałem, ale śledziłem jego karierę z zainteresowaniem... Maddie napisała do mnie i przysłała zdjęcie, kiedy się pobrali.

– Bardzo lubisz tę właśnie siostrę – powiedział Stetson. To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Mam... miłe wspomnienia – wyjaśnił Orne. – Pomogła mi, kiedy uciekałem.

– Dlaczego opuściłeś dom? – spytał Stetson.

Orne, wyczuwając wagę tego pytania, usiłował mówić swym normalnym głosem:

– To była sprawa rodzinna. Wiedziałem, co chcę robić. Rodzina się sprzeciwiała.

– Chciałeś wstąpić do komandosów?

– Nie, to była tylko droga do POR. Nie lubię przemocy. I nie lubię, kiedy kobiety kierują moim życiem.

Stetson spojrział na południowy zachód, skąd widać było zbliżający się latacz. Poblaskiwały na nim zielonkawe promienie słońca. Spytał:

– Czy chcesz... infiltrować rodzinę Bullone dla...

– Infiltrować!

– Żeby wykryć, co tylko się da na temat spisku związanego ze zbliżającymi się wyborami.

– W ciągu czterdziestu dwóch godzin!

– Albo krócej.

– Kto będzie moim kontaktem? – spytał Orne. – Tam, w Rezydencji, będę jak w pułapce.

– Ten mininadajnik, który wszczepiliśmy ci w szyję do roboty na Gienah – powiedział Stetson. – Lekarze na moją prośbę umieścili go z powrotem, kiedy składali cię do kupy.

– Miło z ich strony.

– Działa – zapewnił Stetson. – Będziemy słyszeli wszystko, co dzieje się wokół ciebie.

– To zapewni moją lojalność – zauważył Orne. Kiedy to mówił, poczuł, że gdyby tylko zechciał, aby nadajnik opuścił jego ciało, ten wyskoczyłby z jego skóry jak nasienie wyciśnięte ze świeżego owocu. Potrząsnął głową. To była szalona myśl!

– To nie dlatego tam jest – sprzeciwił się Stetson.

Przestraszony krnąbrnością własnych myśli Orne dotknął przycisku ukrytego na szyi i zaczął mówić podgłosem. Znał ten pogwizdujący dźwięk, który przechwytywały gdzieś tam monitory B-D umieszczone w zasięgu promienia.

– Hej, kapusiu! Uważaj, kiedy będę prowadził rozgrywkę z Dianą Bullone, słyszysz? Możesz dowiedzieć się czegoś o metodzie pracy fachowca.

Było to zaskakujące, ale odpowiedział mu Stetson.

– Nie bądź na tyle zainteresowany swą pracą, żeby zapomnieć,

po co tam jesteś.

Zatem Stet także nosił jedno z tych cholernych urządzeń. Czy B-D nikomu już nie ufało?

Rozdział 12.

W kategoriach systemów ludzkich sprzężenie zwrotne pociąga za sobą skomplikowany, nieświadomy proces zarówno w sensie indywidualnym, jak i zbiorowym czy społecznym. Wiadomo od dawna, że jednostki mogą znajdować się pod wpływem takich nieświadomych sił. Procesy wielkoskalowe i ich wpływ są jednak słabiej znane. Skłonni jesteśmy dostrzegać je w stanie uśpionym – w wykresach liczebności populacji, w ewolucji historycznej, w przemianach, które ciągną się przez stulecia. Często przypisujemy takie procesy siłom religijnym i skłonni jesteśmy unikać analitycznego ich badania.

Wykłady ABBODA
(w obiegu prywatnym)

Pani Bullone, mała, tłusta, myszowata kobieta, stała na środku pokoju gościnnego w swoim domu, złożywszy ręce na brzuchu. Ubrana była w długą suknię barwy matowego srebra.

Orne pomyślał: Muszę pamiętać, żeby mówić do niej Polly, jak prosiła.

Miała poważne, szare oczy, siwe jak u staruszki włosy, upięte z tyłu w kosztowną siatkę, i ten dziwny, ochryply baryton, wydobywający się z drobnych ust. Zarys jej sylwetki znaczył się kolejnymi podbródkami, zstępując na pierś matrony, a dalej opadał prosto niczym beczka. Czubek głowy sięgał epoletów Orne'a.

Powiedziała:

– Chcemy, żebyś czuł się w naszym domu doskonale, Lewis. Powinieneś uważać się za członka rodziny.

Orne rozejrzył się po pokoju gościnnym Bullone'ów: niskie meble ze staromodnym selektakolem, służącym do zmian schematu barw. Spolaryzowane okna, wychodzące na owalny basen. Szkło (z pewnością było to szkło, a nie bardziej wymyślna technicznie sub-

stancja) przytłumiono ciemnoniebieską barwą, co sprawiało, że widok za oknem robił wrażenie oglądanego w świetle księżyca. Warstwowe łóżko stało po prawej stronie, pod ścianą; piętrzyła się na nim pościel. Uchylone drzwi po lewej ukazywały kafelki łazienki. Wszystko w tym miejscu sprawiało wrażenie tradycji i wygody. Rzeczywiście czuł się jak w domu.

– Ja już czuję się jak w domu. Wiesz, wasz dom jest bardzo podobny do naszego, na Chargon. Na tyle, na ile go pamiętam. Byłem naprawdę zaszokowany, kiedy zobaczyłem wasz dom z powietrza, gdy się zbliżaliśmy. Poza położeniem wszystko jest identyczne – powiedział Orne.

– Twoja matka i ja podzielałyśmy szereg poglądów, kiedy razem byliśmy w szkole – stwierdziła Polly. – Byłyśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami. Ciągłe jesteśmy.

– Musisz być jej przyjaciółką, skoro zrobiłaś to wszystko dla mnie. – Własny głos wydał się Orne’owi dziwnie obcy, kiedy to mówił. Taki banał! Taka hipokryzja! Jednak słowa leciały dalej:

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się odwdzięczyć za...

– Ach, tu jesteście! – dał się słyszeć głęboki męski głos zza drzwi za plecami Orne’a. Odwrócił się i zobaczył Ipscotta Bullone’a, Wysokiego Komisarza Ligi, podejrzanego o spisek.

Bullone był wysoki, miał kanciastą twarz w głębokich bruzdach. Jego ciemne oczy spoglądały spod ciężkich brwi, a czarne włosy ułożone były w zstępujące fale. Wyglądał niezgrabnie, ale była to chyba polityczna sztuczność.

Nie wygląda mi na typ dyktatora czy konspiratora, pomyślał Orne.

Bullone wszedł do pokoju; jego głos wypełnił pomieszczenie:

– Jestem rad, żeś z tego wyszedł, synu. Mam nadzieję, że wszystko ci tu odpowiada. Jeśli tak nie jest, powiedz tylko.

– Jest... ładnie – powiedział Orne.

– Lewis właśnie mówił mi, że nasz dom podobny jest do jego na Chargon – poinformowała Polly.

– Staromodny, my to lubimy – oświadczył Bullone. – Nie podobają mi się te nowoczesne kierunki w architekturze. Zbyt mechaniczne. Wolę tradycyjny czworobok na osi centralnej.

– Mówisz dokładnie tak, jak w mojej rodzinie – zauważył Orne.

– Dobrze! Dobrze! Zwykle trzymamy główny salon zwrócony na północny wschód. Widok na stolicę, rozumiesz. Ale jeśli chcesz słońca, cienia czy powiewu w swoim pokoju, obracaj domem wedle własnego uznania.

– To bardzo miło z waszej strony – powiedział Orne. – Na Chargon mamy morską bryzę i zwykle główny salon kierujemy na nią. Lubimy to powietrze.

– My też. Musisz mi opowiedzieć o Chargon, kiedy usiądziemy sobie razem, jak mężczyzna z mężczyzną. Chętnie poznam twoje poglądy na temat tamtejszej sytuacji.

– Jestem pewna, że Lewis zechciałby teraz na chwilę zostać sam – wtrąciła się Polly. – To jego pierwszy dzień poza szpitalem i pewnie go męczymy.

Ona chce się go pozbyć, pomyślał Orne. Nie powiedziała mu jeszcze, że nie byłem w domu od siedemnastego roku życia.

Polly podeszła do spolaryzowanego okna, nastawiła je na neutralną szarość, przekręciła selektakol tak, że dominującym kolorytem pokoju stała się zieleń.

– O, tak, to będzie sprzyjać odpoczynkowi – stwierdziła. – Gdybyś czegoś potrzebował, użyj dzwonka przy łóżku. Autolokaj będzie wiedział, co robić albo gdzie nas znaleźć.

– Zobaczymy się przy obiedzie – powiedział Bullone.

Wyszli.

Orne podszedł, spojrzał na basen. Młoda kobieta jeszcze nie wróciła. Kiedy prowadzona przez szofera limuzyna-latacz opadła na lądowisko obok domu, Orne zauważył kłaniające się sobie nawzajem parasol i kapelusz przeciwsłoneczny na niebieskich płytach za basenem. Parasol osłaniał Polly Bullone. Kapelusz należał do kształtnej, młodej kobiety w kostiumie kąpielowym. Na widok latacza pośpie-

szyla do domu.

Orne myślał o młodej kobiecie. Nie była wyższa od Polly, ale smukła i miała złocistorude włosy związane w koczek pod kapeluszem. Nie była piękna – wąska twarz o podobnych do ojca, ostrych rysach. Za duże oczy, usta o pełnych wargach, wyraźnie zarysowany podbródek. Robiła wrażenie niezwykle pewnej siebie. Ogólnie można było powiedzieć, że jest niezwykle wytworna – i bardzo kobieca.

A zatem, to był jego cel – Diana Bullone. Gdzież to oddaliła się w takim pośpiechu?

Orne przeniósł spojrzenie na krajobraz za basenem: lesiste wzgórze, a na zamglonym horyzoncie poszarpana linia gór. Bullo-
ne'owie żyli w kosztownej izolacji pomimo upodobania tradycyjnej prostoty... a może właśnie dlatego. Ośrodki miejskie nie sprzyjają takiej staroświeckiej elegancji. Ale tu, wśród dziczy, w surowym, celowo zaniedbanym pejzażu, mogli być tym, kim być chcieli.

Mogli także odizolować się od wścibskich spojrzeń.

Czas złożyć raport, pomyślał Orne. Nacisnął nadajnik na szyi, połączył się ze Stetsonem i zrelacjonował wszystko, co zobaczył.

– W porządku – powiedział Stetson. – Znajdź córkę. Pasuje do opisu kobiety, którą widziałeś przy basenie.

– Wiem – potwierdził Orne. Rozłączył się, dziwiąc się samemu sobie. Czuł, że staje się kilkoma osobami – jedna z nich grała zaplanowaną przez Stetsona rolę, druga miała tu własny interes, jeszcze inna obserwowała tylko i wyrażała niezadowolenie. Wśród tego wszystkiego uświadomił sobie, że jakiś zasadniczy rdzeń jego istoty powrócił ze śmierci i pograżył się w życiu – w ciepłym, obfitującym w piękno i ruch życiu. Jego ciało grało pewną rolę, ale zasadnicza część jego osobowości pełna była życia i unosiła się gdzieś na płaszczyźnie, na której śmierć interpretowana bywa jedynie jako część procesu dojrzewania.

Było to uczucie zwijania się i rozwijania. Uciekł przed nim, przebijając się w niebieski mundur i wychodząc z pokoju na zakręcony, żółty korytarz. Dotknął umieszczonego na skroni chronometru:

dowiedział się, że dochodzi południe lokalnego czasu. Mógł przeprowadzić rekonesans przed tym, co nazywano tu obiadem. Pobieżna znajomość domu i podobieństwo, jakie ów zdradzał z domem jego dzieciństwa, podpowiedziały mu, że korytarz prowadzi do głównego salonu. Pokoje do przyjmowania gości i pomieszczenia mężczyzn będą w zewnętrznym pierścieniu. Pokoje przeznaczone wyłącznie dla rodziny i mieszkania kobiet, powinny zajmować obwód wewnętrzny.

Znalazł drogę do salonu.

Był to długi pokój, zbudowany na planie czworokąta. Przy oknach stały niskie otomany, jedne zwrócone do wnętrza salonu, inne na zewnątrz. Grube, wełniane dywaniki tworzyły w całym pomieszczeniu zwariowaną mozaikę czerwieni i brązu.

Na przeciwległym końcu salonu spostrzegł zgiętą nad metalowym stolikiem postać w niebieskim mundurze takim, jak jego własny. Postać wyprostowała się i pokój wypełniła brzęcząca muzyka.

Orne stał zahipnotyzowany znajomymi dźwiękami. Przenosiły go one w świat wspomnień dzieciństwa. Instrumentem, który wydawał dźwięki, była gitara. Jego siostry grywały na niej w otoczeniu podobnym do tego. Rozpoznał kobietę przy gitarze – te same złocistorude włosy, ta sama sylwetka. To była młoda kobieta, którą widział przy basenie. W obydwu rękach trzymała młoteczki, za pomocą których grała na instrumencie leżącym na długiej podstawie z wygiętego czarnego drewna, na metalowym stoliku. Struny instrumentu rozmieszczone były w sześciu grupach, po pięć.

Pograżony we wspomnieniach i rozmarzony Orne zbliżył się do niej od tyłu, gruby dywan stłumił odgłos kroków. Muzyka miała dziwny rytm, jakby opowiadała o postaciach dziko tańczących wokół ognia, podnoszących się, opadających, przytupujących. Wzięła ostatni akord, przytłumiła struny.

– To napętnia mnie tęsknotą za domem – odezwał się Orne.

– Och! – Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego. – Przestraszyłeś mnie, myślałam, że jestem sama.

– Przepraszam. Ja tylko zachwycałem się muzyką.

Uśmiechnęła się.

– Ja jestem Diana Bullone. A ty to Lewis Orne.

– Lew dla was wszystkich, mam nadzieję – powiedział Orne. Cieszył się ciepłem jej uśmiechu.

– Oczywiście... Lew. – Odłożyła młoteczki na struny gitary. – To bardzo stary instrument. Większość ludzi uważa jego muzykę... cóż, za bardzo dziwną. Umiejętność gry na nim była przekazywana przez wiele pokoleń w rodzinie mojej matki.

– Gitara – powiedział Orne. – Moje siostry na niej grały, od dawna nie słyszałem już tego instrumentu.

– Oczywiście. Twoja matka... – Przerwała, wyglądała na zmieszaną. – Muszę oswoić się z faktem, że jesteś... To znaczy, że mamy w domu obcego mężczyznę, który nie jest zupełnie obcy.

Orne poczuł, że się uśmiecha, ale jego wewnętrzny obserwator powiedział mu, że zaczyna czuć do siebie samego odrazę.

Pomijając surowo skojony mundur B-D i włosy związane w kokczek, Diana była piękną kobietą. Miała podniecającą powierzchowność. Orne przypomniał sobie, że jest ona pierwszą podejrzaną w nathiańskim spisku. Diana i Maddie? Sytuacja była zbyt trudna do zaakceptowania. Nie mógł sobie pozwolić na sympatię do tej kobiety, a jednak podobała mu się. Była córką rodziny uprzejmej dla niego, która podejmowała go jako honorowego gościa. A on jak odwdzieczył się za gościnność? Szpiegostwem i wścibskością.

Przypomniał sobie, że przede wszystkim winien jest lojalność B-D i sprawie pokoju, którą reprezentowało. Druga strona jego osobowości skwitowała to jednak prześmiewczo – sprawie pokoju takiego, jaki panuje teraz na Hamal i Sheleb.

Odezwał się niepewnym głosem:

– Mam nadzieję, że przezwyciężysz uczucie, iż jestem obcy.

– Już przezwyciężyłam – powiedziała. Zrobiła krok naprzód, objęła go ramieniem i zaproponowała: – Jeśli chcesz, proponuję ci wspaniałą wycieczkę z przewodnikiem. To jest naprawdę niesamowity dom, ale ja go kocham.

Rozdział 13.

Muzyka odpowiada zasadniczej części wielu doświadczeń Psi, które opatruje się etykietką religii. W ekstatycznej sile rytmicznych dźwięków dostrzegamy zew skierowany ku siłom poza czasem, pozabawionym długości i szerokości, ujmującym formy materii w naszym zakątku nieskończonych wymiarów.

NOAH ARK WRIGHT,
Formy Psi

Zmrok pogрузił Orne'a w stan zakłopotania. Diana wydawała mu się podniecającym, fascynującym i przy tym najdogodniejszym towarzyszem rodzaju żeńskiego, jakiego znał. Lubiła pływanie, bezkrwawe łowy na paloika, smak owoców dítar. Ujawniła swój lekceważący stosunek do starszych i do biurokracji B-D, mówiła mu, że przedtem nikomu tego nie zdradziła.

Śmiali się jak wariaci z zupełnych głupstw.

Orne wrócił do swego pokoju, by przebrać się przed obiadem; stanął przy oknie i wyregulował jego polaryzację na bezbarwną. Szybki na tych szerokościach zmrok pokrywał krajobraz hebanowym kocem. Odległe światła miasta barwiły na żółto fragment horyzontu po lewej. Pomarańczowa aureola utrzymywała się nad szczytami, zza których miały ukazać się trzy księżycy Marak.

Czy ja się zakochuję w tej kobiecie? – spytał samego siebie Orne.

Znowu odczuł wewnętrzne rozdarcie – tym razem do sił toczących wojnę w jego duszy doszła tęsknota za czasem dziecięcego szkolenia. Rytualne szkolenie na Chargon przypomniało mu się i nawiedziło go w całej swej tajemniczości.

Myślał: Jestem tym. Jestem samoświadomością, która wyczuwa Absolut i zna najwyższą Mądrość. Jestem jedynym bezosobowym Ja,

które jest bogiem.

Myśl ta pochodziła ze starożytnych obrzędów, odwzorowujących królewską potęgę w kategoriach religijnych, jednak on czuł, że stare pojęcia przybrały nowe znaczenia.

– Jestem bogiem – szepnął i rozpoznał siły drgające spazmatycznie w jego wnętrzu. Mówiąc to zdawał sobie sprawę, że słowa nie odnoszą się do ego – tożsamości – jaźni. To Ja jego świadomości było poza zwykłymi, ludzkimi sprawami.

Uświadomił sobie, że doświadczył wydarzenia religijnego, nie rozumiał jednak jego znaczenia. Znał definicje Psi, których nauczonego w B-D; pomimo to doświadczenie wstrząsnęło nim.

Chciał wezwać Stetsona, nie w celu złożenia raportu, ale żeby zwierzyć się z zakłopotania związanego z jego rolą w tym domu. Ta myśl uświadomiła mu dotkliwie, że Stetson albo jakiś jego pomocnik szpiegowali jego popołudnie z Dianą.

Lokaj automatyczny wezwał na obiad, wrywając Orne'a z uczucia, że wypada ze stanu łaski. Przebrał się szybko w świetny mundur wyjściowy i udał się do małego salonu po drugiej stronie domu. Bullone'owie siedzieli już wokół staromodnego stołu ozdobionego prawdziwymi świecami (pachniały kadzidłem) i złotym serwisem *shardi*. Przez okno można było zobaczyć, wznoszące się szybko ponad szczytami dwa z trzech księżyców Marak.

– Witaj i obyś znalazł zdrowie w naszym domu – powiedział Bullone, czekając na stojąco, aż Orne usiądzie.

– Obróciliście dom – zauważył Lewis.

– Lubimy wschód księżyców – rzekła Polly. – To romantyczne, nie sądzisz? – Rzuciła spojrzenie w stronę Diany.

Diana patrzyła w talerz. Miała na sobie krótką sukienkę z „płonącego muślinu”, która pasowała do jej rudych włosów. Pojedynczy sznur pereł *Reinach* połyskiwał na szyi.

Orne, który usiadł naprzeciw, pomyślał: Panie, cóż to za piękna kobieta.

Polly, siedząca po prawej stronie Orne'a, wyglądała młodziej w

zielonym szalu, zacierającym jej beczkowate kształty. Bullone nosił czarne szorty i sięgającą kolan marynarkę *kubi* ze złoto perłowego materiału. Wszystko w tych ludziach i ich otoczeniu świadczyło o bogactwie i potędze.

Przez chwilę Orne pomyślał, że podejrzenia Stetsona potwierdzają się. Bullone pójdzie na wszystko, byle zachować ten luksus.

Wejście Orne'a przerwało sprzeczkę pomiędzy Polly i jej mężem. Kiedy tylko Orne usiadł, zaczęli się sprzeczać od nowa. Ten brak opanowania nie krępował go, wprost przeciwnie, czuł się bardziej po domowemu, bardziej akceptowany.

Zauważył, że Diana spogląda na rodziców z grymasem na twarzy.

– Tym razem nie kandyduję na urząd – mówił Bullone, a w jego głosie brzmiała ledwo wymuszona cierpliwość. – Dlaczego mamy poświęcać wieczór tym wszystkim ludziom tylko po to...

– Nasze wieczorne przyjęcia przedwyborcze są tradycją – upierała się Polly.

– Chciałbym raz odprężyć się w domu – narzekał Bullone. – Chciałbym rozerwać się z rodziną i nie musieć...

– To nie będzie duże przyjęcie – przerwała Polly. – Ograniczyłam listę zaproszonych do pięćdziesięciu osób.

Bullone jęknął.

Odezwała się Diana:

– Tatusiu, to ważne wybory. Jak mógłbyś się odprężyć? Chodzi o siedemdziesiąt trzy miejsca, o całą równowagę. Jeśli sprawy pójdą źle na przykład w okręgu Aikes... możesz wylądować na obu łopatkach. Straciłbyś stanowisko... To znaczy, że kto inny mógłby wygrać i...

– Znowu to cholerne stanowisko – zżymał się Bullone. – To jeden wielki ból głowy. – Uśmiechnął się do Orne'a. – Przepraszam, że męczymy cię tą ciągłą kłótnią, mój chłopcze, ale kobiety z tej rodziny wchodzą mi na kark, kiedy im na to pozwalam. Z tego co słyszałem, miałeś dziś bardzo wypełniony dzień. Mam nadzieję, że nie męczysz

się z nami. To twój pierwszy dzień po szpitalu i w ogóle. – Uśmiechnął się po ojcowsku do Diany.

– Diana narzuciła niezłe tempo, ale to mi się podoba – odpowiedział Orne.

– Jutro weźmiemy mały latacz na wycieczkę po dzikich obszarach – oznajmiła Diana. – Ja będę kierować, a Lew może się odprężyć.

– Tylko żebyście zdążyli przed przyjęciem – zaniepokoiła się Polly.

Bullone zwrócił się do Orne'a:

– Widzisz?

– Teraz, Scottie, nie możesz mieć... – zaczęła Polly. Przerwała na dźwięk dzwonka dobiegający z sypialni za jej plecami. – To do mnie. Przepraszam bardzo. Nie, nie wstawaj.

Diana pochyliła się w stronę Orne'a.

– Jeśli chcesz, możemy podać specjalne danie dla ciebie. Informowałam się w szpitalu i powiedzieli mi, że nie musisz przestrzegać diety. – Wskazała nietknięte jedzenie Orne'a.

– Och, wszystko jest w zupełnym porządku – oświadczył.

Nie słyszał, co mówi Polly w sypialni. Z pewnością użyła tłumika bezpieczeństwa. Pochylił się nad talerzem: mięso było w egzotycznym sosie, którego nie mógł rozpoznać, szampan *Sirik, ataloka au semil...* zbytek goni zbytek.

Polly wróciła na miejsce.

– Coś ważnego? – spytał Bullone.

– Tylko odwołanie jutrzejszej wizyty. Profesor Wingard jest chory.

– Ja odwołałbym wszystkich poza naszą czwórką – sarknął Bullone. – Chciałbym przez chwilę pogawędzić z Lewisem.

Nie wygląda na człowieka, który rwie się do władzy, chyba że to zręczna poza, myślał Orne.

Po raz pierwszy Orne zastanowił się, czy Stetson nie kłamie, czy nie była to część jakiejś wyrefinowanej rozgrywki politycznej, którą kierowali Stetson i jego przyjaciele. Co by to było, gdyby jakaś kote-

ria w B-D planowała pucz? Nie! Wiedział, że musi porzucić przywidzenia i od jednej informacji do następnej podążać śladem tego, czego się dowiedział.

Polly popatrzyła na męża, mówiąc:

– Scottie, powinieneś być bardziej dumny ze swego urzędu, przysięgam. Jesteś ważnym człowiekiem i nie zaszkodzi, jeśli czasem o tym pomyślisz.

– Gdyby nie ty, moja droga, byłbym nikim i czułbym się z tym dobrze – powiedział Bullone, uśmiechając się czule do żony.

– Och, Scottie – w jej głosie brzmiało zażenowanie.

Bullone zrobił kwaśną minę.

– W porównaniu z moją żoną, Lewis, jestem politycznym idiotą. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak potrafił kierować biegiem wypadków jak ona. To dziedziczne w jej rodzinie. Jej matka to miała i jej babka! Teraz mamy prawdziwego geniusza politycznego.

Orne wpatrywał się w niego, jego widelec zawisł nieruchomo w powietrzu. Nagle nowy pomysł jakby eksplodował w jego umyśle. To niemożliwe! – myślał. To po prostu niemożliwe!

– Powinieneś coś wiedzieć o życiu politycznym, Lew – odezwała się Diana. – Czyż twój ojciec nie był Członkiem Zgromadzenia Chargon?

– Tak – odpowiedział półgłosem Orne. Potrząsnął głową i nadal trwał w bólach porodowych swego rewelacyjnego pomysłu. To niemożliwe, ale... schemat jest prawie identyczny.

– Czy dobrze się czujesz, Lewis? – spytała Polly.

– Zbladłeś tak nagle.

– To tylko zmęczenie – uspokoił ją Orne. – Zdaje się, że nie jestem przyzwyczajony do aktywnego trybu życia.

Diana odłożyła widelec, na jej twarzy malował się wstrząs.

– Och, Lew! Byłam okrutna narzucając ci tyle zajęć pierwszego dnia po wyjściu ze szpitala.

– W tym domu nie musisz się krępować, Lewis – powiedział Bullone.

– Byłeś bardzo chory i rozumiemy to. Jeśli jesteś zmęczony, Lewis, idź prosto do łóżka. Przyniesiemy ci potem ciepły bulion – zaproponowała Polly.

Orne rozejrzał się wokół, widział niepokój i uwagę na twarzach gospodarzy. Naprawdę martwili się o niego i nie mylili się. Czuł wewnętrzne rozdarcie między poczuciem obowiązku i wymaganiami zwyczajnej przyzwoitości. W pewnym sensie byli to mili i uczciwi ludzie, ale jeśli oni... Zmieszany, odsunął swoje krzesło, mówiąc:

– Pani Bullone... – przypomniał sobie, że prosiła o zwracanie się po imieniu.

– Polly, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Przeciwno! – obruszyła się. – Zmykaj.

– Może ci coś przynieść? – spytał Bullone.

– Nie, naprawdę nie. – Wstał, łamało go w kościach; odrośnięta rzepka naprawdę pracowała lepiej.

– Do zobaczenia rano, Lew – powiedziała Diana. W słowach tych próbowała zawrzeć zarówno troskę gospodyni, jak i osobiste, ciepłe przesłanie. Orne nie był pewien, czy pragnął tej osobistej nuty.

– Rano – zgodził się.

Odwrócił się, myśląc: Panie, ta kobieta jest naprawdę godna pożądania.

Kiedy ruszył wzdłuż korytarza, słyszał, jak Bullone mówi swym ojcowskim głosem:

– Di, może lepiej nie bierz tego chłopaka na wycieczkę. Ostatecznie jest tutaj na rekonwalescencji.

Zamknął za sobą drzwi i nie dosłyszał odpowiedzi.

W zaciszu swego pokoju, Orne nacisnął przekaźnik na szyi.

– Stet?

W uszach zasyczał mu głos na fali nośnej:

– Tu zmiennik pana Stetsona. Orne, czyż nie tak?

– Tak, tu Orne. Chcę, żebyście szybko sprowadzili te nathiańskie zapisy, które archeolodzy znaleźli na Dabih. Zobaczcie, czy Sheleb była jedną z planet, jakie opanowali.

– Rozumiem. Nie rozłączaj się.

Cisza trwała długo, potem odezwał się głos:

– Lew, tu Stet. O co się pytałeś w związku z Sheleb?

– Czy była na tej nathiańskiej liście?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Jesteś pewien? To by wiele tłumaczyło.

– Sheleb nie ma na listach... ale, poczekaj.

Cisza, a po chwili:

– Sheleb jest dokładnie w stożku trajektorii do Aurigi, a Auriga była na ich liście. Mamy powody wątpić, czy wysadzili kogoś na Auridze. Ale jeśli ich statek miał kłopoty...

– O to chodzi – wyrwało się na głos Orne'owi.

– Nie używaj otwartego głosu! – rozkazał Stetson. – Mów tylko podgłosem. Nie mogą podsłuchiwać tego systemu, ale wiedzą, że istnieje. Nie chcemy, żeby stali się podejrzliwi z powodu tego, co mówisz sam do siebie.

– Przepraszam – odpowiedział Orne. – Po prostu wiedziałem, że Sheleb musiała być...

– Dlaczego? Co odkryłeś?

– Mam pewien pomysł, który mnie przeraża – wyjaśnił Orne. – Pamiętasz, że te kobiety, które rządziły Sheleb, powieleły potomstwo męskie lub żeńskie, kontrolując płęć u poczęcia. W gruncie rzeczy to ten brak równowagi...

– Nie musisz przypominać czegoś, o czym powinniśmy raczej zapomnieć – przerwał mu Stetson. – Dlaczego to ma być teraz takie ważne?

– Stet, a gdyby tak nathiańskie podziemie składało się wyłącznie z kobiet płodzonych w ten sposób? I gdyby ich mężczyźni nawet o tym nie wiedzieli? A gdyby Sheleb było po prostu miejscem, które wymknęło się spod kontroli, ponieważ te kobiety straciły kontakt z głównym elementem podziemia? Dopiero POR je odnalazła.

– Święta Matko Marak! – zawołał Stetson. – Czy masz dowody, aby...

– Nic poza przeczuciem – przerwał mu Orne. – Czy mógłbyś zdobyć listę gości zaproszonych jutro na przyjęcie przedwyborcze?

– Tak, możemy to zrobić. Dlaczego?

– Sprawdź, czy są na niej kobiety, które górują umysłowo nad swoimi mężami w dziedzinie polityki. Poinformuj mnie, ile i kto to jest.

– Lew, to nie wystarczy, żeby...

– To wszystko, co możemy w tej chwili zrobić – przerwał Orne. Zamilkł na chwilę, porażony nową koncepcją. – Może to być jeszcze coś innego. Nie zapominaj, że Nathianie wywodzą się od nomadów. Ślady tego mogły przetrwać.

Rozdział 14.

Istnieje starodawne powiedzenie: Im więcej boga, tym więcej diabła; im więcej mięsa, tym więcej robaków; im więcej dóbr, tym więcej obaw; im więcej kontroli, tym większa potrzeba kontroli.

ABBODOWIE z AMEL,
Komentarze Psi

Dla Bullone'ów dzień zaczął się wcześniej.

Pomimo że był to dzień wyborów, Wysoki Komisarz wyjechał do swego biura godzinę po świcie, minawszy na korytarzu zaspanego Ome'a i rzuciwszy mu wesołe:

– Dzień dobry, synu. Czy dobrze spałeś?

Orne odpowiedział, że spał dobrze. Spozrzegł Dianę i Polly stojące w drzwiach głównego salonu.

– Muszę już iść – powiedział Bullone. – Rozumiesz teraz, dlaczego narzekałem na tę posadę?

Podeszła Diana, za nią zbliżyła się Polly i obie zapytały go o zdrowie. Wyszli razem na dwór, żeby odprowadzić Bullone'a do jego limuzyny-latacza. Niebo było bezchmurne, a w powietrzu unosił się zapach bujnej roślinności i delikatne wonie kwiatów.

– Dzisiaj nie będziemy się przemęczać, Lew – zapewniła Diana.
– Takie mam rozkazy.

Wzięła go delikatnie za rękę po odjeździe ojca i weszli razem po schodach. Orne poczuł, że sprawia mu przyjemność trzymanie jej dłoni w swojej. Ten dotyk sprawiał mu zbyt dużą przyjemność, by mógł zachować spokój umysłu. Przy drzwiach cofnął dłoń, odsunął się i powiedział:

– Prowadź.

– Najpierw śniadanie – zdecydowała. – Musisz znowu nabrać sił.

Muszę na siebie uważać, pomyślał Orne. Cała ta rodzina jest zbyt otwarta i czarująca.

Pomyślał nagle o czarujących kobietach na Sheleb – były takie, nim zwróciły się przeciw niemu. Jego ciało pamiętało ból.

– Myślę, że piknik to właśnie to, co ci lekarz zalecił na dzisiaj – oznajmiła Diana. – Jest tu małe jezioro o trawiastych brzegach. Weźmiemy pisma albo parę dobrych powieści lub cokolwiek, co chciałbyś poczytać. To będzie dzień leniwego próżnowania.

– A co z waszym wielkim przyjęciem? – zawahał się Orne.

– Mama panuje nad sytuacją.

Rozejrzał się. Weszła Polly z okrzykiem:

– Pośpieszcie się. Śniadanie będzie za kilka minut.

Orne myślał o rzeczach, które mogły zdarzyć się tego dnia, w tym samym domu, o rzeczach i sprawach, które powinien obserwować. Ale nie... Jeśli poprawnie zanalizował sytuację, Diana stanowiła słabe ogniwo. Czas również dobiegał końca. Jutro Nathianie mogą mieć rząd pod swą wyłączną kontrolą.

Wiedział, że musi natychmiast wybrać. Powiedział:

– Życzliwy przewodniku domowy, moje życie jest w twoich rękach.

I pomyślał: Mam nadzieję, że nie jestem prorokiem.

Rozdział 15.

Ci, którzy szukają wiedzy dla nagrody, nawet wiedzy Psi, powtarzają błędy religii prymitywnych. Wiedza zdobyta ze strachu albo w nadziei na nagrodę zamyka w klatce ignorancji. W ten sposób starożytni nauczyli się fałszować własną egzystencję.

Porzekadło ABBODÓW,
Droga do Psi

Orne'owi było ciepło nad jeziorem. Purpurowe i pomarańczowe kwiaty znaczyły jego trawiasty brzeg. W wodzie odbijał się porośnięty krzewami drugi brzeg. Małe stworzonka ćwierkały i popiskiwały wśród drzew i krzewów. W trzcinach, w dole jeziora siedział *groomis*. Co jakiś czas pokrzykiwał niczym chrząkający staruszek.

Diana leżała na macie, którą rozłożyli na czas pikniku. Założyła ręce pod głowę i zamknęła oczy. Rudozłote włosy leżały rozrzucone wokół twarzy.

– Kiedy my, wszystkie dziewczyny, byłyśmy w domu, urządziłyśmy tu pikniki prawie co Ósmek – mówiła. – Oczywiście w czasie pogody, bo czasami leje tu za dużo jak na mój gust.

Orne usiadł przy niej, twarzą zwrócony w stronę jeziora. Czuł się bardzo niezręcznie. Schemat był tak jasny. Jak na Sheleb, jak w domu, jak tutaj, myślał.

– My, dziewczęta, robiłyśmy tratwę po drugiej stronie jeziora – powiedziała Diana. Usiadła, zagapiła się na drugą stronę. – Wiesz, myślę, że są tam jeszcze jej szczątki. Widzisz? – Wskazała stertę pni. Kiedy wykonała ten gest, jej ręka musnęła Orne'a.

Coś jakby iskra elektryczna przeskoczyło między nimi.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, spostrzegł, że jego ramiona obejmują Dianę, a ich usta złączone są w przeciągłym pocałunku. Omal nie ogarnęła go panika. Wyrwał się.

– Nie myślałam, że to się stanie – szepnęła Diana.

– Ani ja – mruknął Orne. Potrząsnął głową. – Panie! Czasem można narobić straszego bałaganu w swoich sprawach!

Diana zmrużyła oczy.

– Lew... czy ty mnie nie... lubisz?

Zignorował monitorujący wszystko przekaźnik, powiedział, co czuł. Przyjmą to za fragment gry, pomyślał. To była gorzka myśl.

– Czy cię lubię? – powiedział. – Ja cię kocham.

Westchnęła i oparła się na jego ramieniu.

– W takim razie co jest nie w porządku? Jesteśmy oboje wolni. Matka sprawdziła twój zapis służbowy. – Uśmiechnęła się figlarnie, odsuwając się, żeby na niego popatrzeć. – Matka ma do nich dostęp.

Gorycz pozostała niczym cierpki smak w ustach Orne'a. Zbyt dobrze pojmował ten schemat. Powiedział:

– Di, ja uciekłem z domu, kiedy miałem siedemnaście lat.

– Wiem, kochanie. Matka opowiedziała mi o tym wszystko.

– Nie rozumiesz – kontynuował. – Mój ojciec zmarł na krótko przed moim urodzeniem. On był...

– Twojej matce musiało być ciężko – sama z rodziną... i nowe dziecko w drodze – zauważyła.

– Wiedzieli od dawna – opowiadał Orne. – Mój ojciec cierpiał na chorobę Brochoa. Wykryli to zbyt późno. Zaatakowała już centralny układ nerwowy.

– To straszne – szepnęła Diana. – W związku z tym zaplanowali ciebie, to znaczy chcieli mieć syna.

Orne poczuł się nagle jak ryba wyjęta z wody. Usiłował uchwycić myśl, która trzepotała się jakby tuż poza jego zasięgiem, potem była już jego myślą, a jednak ciągle stawiała opór.

– Tata był Członkiem Zgromadzenia Chargon – szepnął. Czuł się, jakby przebywał we śnie. Jego głos był niski, jakby pozostawał w szoku. – Odkąd zacząłem mówić, matka przygotowywała mnie, bym mógł zająć jego miejsce w życiu publicznym.

– A ty sprzeciwiłeś się tej całej krzątaninie i przygotowaniom? –

zapytała Diana.

– Nienawidziłem tego! Przy pierwszej okazji uciekłem. Jedna z moich sióstr wyszła za faceta, który jest teraz Członkiem Zgromadzenia Chargon. Mam nadzieję, że sprawia mu to przyjemność!

– To chyba Maddie – zauważyła Diana.

Orne przypomniał sobie, co Stetson powiedział o zaszyfrowanej korespondencji między Dianą i Maddie. Ta myśl zmroziła go.

– Czy dobrze znasz Maddie? – spytał.

– Znam ją bardzo dobrze. Lew, co z tobą?

– Polityka – powiedział. – Oczekujesz, że zagram w tę samą grę, nazywacie ją strzały. Trafiaj w szczyt, tnij i gramol się wzwyż, drap i podkopuj.

– Jutro o tej porze to wszystko może już być niepotrzebne – zauważyła.

Orne poczuł nagły gwizd na fali nośnej w przekaźniku, nie towarzyszył mu jednak głos monitorującego.

– Co ma się zdarzyć... jutro? – spytał.

– Wybory, głuptasie. Lew, zachowujesz się bardzo dziwnie. Dobrze się czujesz? – Położyła mu rękę na czole. – Może lepiej...

– Chwileczkę. – Zdjął jej rękę z czoła i trzymał ją. – A co do nas...

Ścisnęła jego dłoń. Orne przełknął ślinę.

Diana cofnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Myślę, że moi rodzice już coś podejrzewają. W naszej rodzinie notorycznie zakochujemy się od pierwszego wejrzenia. – Przyjrzała mu się czule. – Nie masz gorączki, ale może lepiej...

– Cóż za głupek ze mnie – mruknął Orne. – Właśnie uświadomiłem sobie, że jestem Nathianinem!

Wlepiała w niego wzrok.

– Właśnie sobie to uświadomiłeś?

– Wiedziałem to... Wiedziałem to i nie chciałem wiedzieć. Kiedy coś sobie uświadamiasz... wtedy musisz się z tym pogodzić.

– Lew, nie rozumiem cię – powiedziała.

W przekaźniku dało się słyszeć świszczące sapnięcia, które urwało się szybko.

– Identyczne schematy w naszych rodzinach – mówił. – Nawet domy, na miłość nieba! Tu leży prawdziwy klucz. Jakim byłem głupkiem! – Trzasnął palcami. – Głowa! Polly! Twoja matka jest wielką szefową całej tej historii!

– Ależ kochanie... oczywiście. Ona... myślałam, że ty...

– Lepiej zabierz mnie do niej i to szybko – polecił Orne. Dotknął przekaźnika na szyi, ale wcześniej rozległ się głos Stetsona.

– Dobra robota, Lew! Przybywamy ze specjalnymi siłami uderzeniowymi. Nie mają szans...

Orne, w panice, odezwał się na głos:

– Stet! Żadnych wojsk! Ty przyjeżdżaj do Bullone'ów i to przyjeżdżaj tu sam.

Diana zerwała się na równe nogi i odsunęła się od niego.

– O co ci chodzi? – dopytywał się Stetson.

– Ratuję nasze głupie głowy – warknął Orne. – Sam! Słyszysz? Albo będziemy mieli bałagan gorszy niż jakakolwiek Wojna Kresowa!

Diana spytała:

– Lew, do kogo ty mówisz?

Zignorował ją i znów zapytał:

– Stet, słyszysz mnie?

– Czy ta dziewczyna wie, że do mnie mówisz? – zainteresował się Stet.

– Oczywiście, wie, że do ciebie mówię! Teraz, przybywaj tu sam i żadnych wojsk!

– W porządku, Lew. Nie wiem, jaka jest sytuacja, ale ciągle ci ufam, pomimo że przyznałeś... cóż, wiesz, że podsłuchiwałem. Siły O wchodzą w stan gotowości. Będę w rezydencji Bullone'ów za dziesięć minut, ale nie będę sam. Dowódca będzie ze mną. – Pauza. – On mówi, że ty sam wiesz, co robisz.

Rozdział 16.

We wszystkim, czego nie rozumiemy, tkwi diabeł. Tło Wszechświata wydaje się czarne oczom przysłoniętym powiekami. Dlatego dostrzegamy sataniczną kurtynę, zza której przychodzi wszelkie niebezpieczeństwo. To z tego obszaru ciągłego zagrożenia wysnuliśmy naszą wizję piekła. Żeby pokonać diabła, dążymy do iluzji wszechwiedzy. W obliczu nieskończonego Wszechświata nadciągającego zza satanicznej kurtyny, wiecznotrwale Wszystko musi pozostać iluzją – tylko iluzją i niczym więcej. Pogódź się z tym, a kurtyna opadnie.

ABBOD HALMYRACH,
Od religii do Psi

W kącie głównego salonu Bullone'ów skupiła się grupka zdenerwowanych osób. Cienie rzucane przez żaluzje i przytłumione okno biegunowe łagodziły zielonkawy blask południowego słońca. W tle unosił się szum klimatyzacji i ciche, mechaniczne odgłosy robotów-sług przygotowujących wieczorne przyjęcie.

Stetson opierał się o ścianę przy otomanie, ręce wsunął głęboko w kieszenie swego zmiętego i połatanego munduru. Głębokie zmarszczki porały jego wysokie czoło. Obok Stetsona przechadzał się Admirał Sabat Spencer, Dowódzca Operacji Galaktycznych B-D. Był łysym człowiekiem o byczym karku, niebieskich oczach i myląco miękkim głosem. Przechadzał się po mozaikowym dywanie z nerwością zwierzęcia w klatce – trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki w drugą.

Polly Bullone siedziała na otomanie, jej usta rozciągnęły się w linię prostą na znak gniewnej dezaprobaty. Ręce miała zaciśnięte na łonie tak mocno, aż pobielwały stawy palców. Diana stała przy matce ze ściśniętymi pięściami. Drżała z wściekłości. Wzrok utkwiała nieruchomo w Orne'a.

– Zatem to moja głupota doprowadziła do tej małej konferencji – zaczął Orne. Stał jakieś pięć kroków od Polly, ręce trzymał na biodrach. Admirał, który przechadzał się po jego prawej stronie, zaczynał już tracić cierpliwość. – Wysłuchajcie mnie lepiej do końca. – Spojrzał na dowódcę. – Wszyscy.

Admirał Spencer zatrzymał się i groźnie popatrzył na Orne'a.

– Chciałbym teraz poznać powód, dla którego nie rozwalimy tego miejsca na kawałki i nie dobierzemy się do sedna sprawy.

– Lewis, ty... ty zdrajco – ochryplym głosem rzuciła Polly.

– Jestem skłonny się z panią zgodzić – oznajmił Spencer. – Tyle, że z innego punktu widzenia. – Nie wiadomo nic o Scottie'em Bullo-
ne? – Spojrzał na Stetsona.

– Połączą się ze mną, gdy tylko go znajdą – odparł Stetson za-
myślonym, ostrożnym tonem.

– Był pan zaproszony na dzisiejsze przyjęcie, czyż nie tak, admira-
le? – spytał Orne.

– A co to ma do rzeczy? – zdenerwował się Stetson.

– Jest pan gotów uwięzić swoją żonę i córki za spisek? – zadał
pytanie Orne.

Wąty uśmiech pojawił się na wargach Polly. Spencer otworzył
usta, po czym zamknął je niczego nie powiedziawszy.

– Nathianie to przeważnie kobiety – powiedział Orne. – Pańskie
domowniczkę są wśród nich.

Admirał wyglądał, jakby go ktoś kopnął w żołądek.

– Jakie... dowody? – szepnął.

– Mam dowód. Za chwilę do tego przejdę – zapewnił Orne.

– Nonsens – wyrwało się admirałowi. – Nie możesz przeprowa-
dzić...

– Lepiej niech go pan posłucha, admirał – wtrącił Stetson.

– Jedno co można powiedzieć o Orne'ie to, że warto go posłu-
chać.

– Niech lepiej mówi do rzeczy – warknął Spencer.

– Właśnie tak mówię – ciągnął Orne. – Nathianie to w większo-

ści kobiety. Było tylko kilku przypadkowych mężczyzn i kilku zaplanowanych, jak ja. Oto dlaczego nie ma żadnych nazwisk, które mogłyby posłużyć za ślad – po prostu małe żeńskie towarzystwo, działające na rzecz zdobycia władzy za pośrednictwem mężów.

Spencer chrząknął, przełknął ślinę. Nie mógł oderwać uwagi od ust Orne'a.

– Z mojej analizy wynika, że trzydzieści czy czterdzieści lat temu spiskowcy zaczęli płodzić nielicznych mężczyzn przygotowując ich do objęcia kluczowych pozycji na szczycie. Inni nathiańscy mężczyźni – urodzeni w sytuacji, kiedy determinacja płci zawodziła – nie byli wtajemniczeni w spisek. Ci nowi jednak stali się pełnowartościowymi jego uczestnikami, kiedy osiągnęli dojrzałość. Tę drogę planowano dla mnie, jak sądzę.

Polly zerknęła na niego, a potem na swoje ręce.

Diana odwracała wzrok, kiedy Orne próbował spojrzeć jej w oczy.

– Ta część planu zakładała – kontynuował Orne – że dojdą do władzy w tych wyborach. Jeśliby je wygrali, mogliby działać śmielej.

– To przerasta twój rozumek, chłopcze – warknęła Polly. – Za późno już, żebyście mogli nam coś zrobić. Cokolwiek!

– To się zobaczy! – burknął Spencer. Wyglądało na to, że odyskuje samokontrolę. – Aresztowanie paru kluczowych postaci, zwrócenie na siebie uwagi opinii publicznej...

– Nie – sprzeciwił się Orne. – Źle pan myśli, admirale. Ona ma rację. Jest zbyt późno na tego rodzaju działanie. Już sto lat temu było prawdopodobnie za późno. Te kobiety były już wtedy zbyt dobrze okopane.

Spencer wyprostował się i spojrzał na Orne'a.

– Młody człowieku, wystarczy że powiem słowo, a w tym miejscu będzie jatka.

– Wiem. Kolejna Hamal, kolejna Sheleb – szydził Orne.

– Nie możemy tego po prostu zignorować! – warknął Spencer.

– Zapewne nie zignorujemy, ale zrobimy coś zbliżonego – zgo-

dził się Orne. – Nie mamy wyboru. Uczyliśmy się kiedyś o motyce i trzonku.

– O czym? – burknął Spencer.

– Jest to w podręczniku B-D. Społeczeństwa pierwotne odkryły sposób zwalczania ciągłej pokusy śmiercionośnej przemocy. Jedna wioska może robić zęby motyki, a sąsiednia robi tylko trzonki. Żadna z nich nie zaplanuje napadu na obszar wytwórczości sąsiedniej – wyjaśnił Orne.

Polly podniosła wzrok, przyjrzała się twarzy Orne'a. Diana wyglądała na zmieszaną.

– Wiesz, co o tym myślę? Twoja próba pogmatwania tej sprawy dowodzi, że kto urodził się Nathianinem, ten będzie nim zawsze – odezwał się Spencer.

– Nie istnieje ktoś taki jak Nathianin – zaprotestował Orne. – Wpłynęło na to pięćset lat krzyżówek z innymi ludami. Teraz jest to po prostu tajne stowarzyszenie niezwykle bystrych poliglotów. – Uśmiechnął się kwaśno do Polly, po czym spojrzał na Spencera. – Niech pan pomyśli o swojej żonie. Mówiąc szczerze, czy byłby pan dzisiaj dowódcą, gdyby ona nie kierowała pańską karierą?

Twarz Spencera pociemniała. Cofnął podbródek, spróbował zmiażdżyć Orne'a wzrokiem, co mu się nie udało. W końcu zaczął głaskać się po brodzie z kwaśną miną.

– Sobie zaczyna odzyskiwać rozum, wiedziałam że tak będzie – tryumfowała Polly. – Jesteś skończony, Lewis. Będziemy zadawać się z tymi, z którymi musimy, a ty do nich nie należysz.

– Nie doceniasz przyszłego zięcia – przestrzegł Orne.

– Ha! Nienawidzę cię, Lewisie Orne! – wybuchnęła wściekłością Diana.

– Przewycięzysz to – powiedział Orne miękkim tonem.

– Och! – Diana zadrżała z gniewu.

– Myślę, że trzymam większość atutów – zwrócił się Spencer do Polly.

– Ma pan ich bardzo mało, jeśli nie rozumie pan w pełni sytuacji

– zapewnił Orne.

Spencer spojrział z zaciekawieniem na Orne'a.

– Wyjaśnij to.

– Rządzenie to wątpliwy powód do chwały – tłumaczył Orne. – Za władzę i bogactwo pławi się balansowaniem na krawędzi ostrza. Wielki, bezkształtny twór na zewnątrz – lud – zrzucił i wypluł już wiele rządów. Można tego dokonać w błysku wściekłego powstania. Zapobiega się temu tworząc dobry rząd, nie doskonały – ale dobry rząd. Inaczej prędzej czy później przyjdzie na ciebie kolej. Często podkreślała to moja matka, która była geniuszem politycznym. Zapamiętałem to doskonale.

Zmarszczył brwi.

– To co odpychało mnie od polityki, to kompromisy konieczne dla tego, by zostać wybranym... a poza tym nigdy nie chciałem, żeby kobiety kierowały moim życiem.

Stetson odsunął się od ściany.

– To całkiem jasne – powiedział, a wszyscy spojrzeli na niego. – Żeby utrzymać się u władzy, Nathianie musieli dać nam naprawdę dobry rząd. Przyznajcie sami: jest to oczywisty fakt. Z drugiej strony, jeśli zdemaskujemy ich, damy gromadzie politycznych amatorów, każdemu fanatycznemu i żadnemu władzy demagogowi po prostu broń, której potrzebuje do zdobycia pozycji.

– A potem nastąpi chaos – podsunął Orne. – Pozwólmy zatem Nathianom działać, wprowadzając dwie drobne zmiany.

– My nie zmienimy niczego – powiedział Polly.

– Nie wyciągnęłaś wniosków z lekcji o motyce i trzonku – zauważył Orne.

– A ty nie wyciągnęłaś wniosków z lekcji o rzeczywistej sile politycznej – skontrowała Polly. – Wydaje mi się, Lewis, że nie masz na czym się oprzeć. Macie mnie, ale nie będziecie mieli ze mnie pożytku. Reszta organizacji może działać beze mnie. Nie ośmielicie się nas zdemaskować. Zdyskredytowalibyście zbyt wiele ważnych osób. Trzymamy w ręku bat.

- My mamy motykę i trzonek – upierał się Orne.
- B-D mogłoby dokonać przewencyjnych aresztowań dziewięćdziesięciu procent waszej organizacji w ciągu dziesięciu dni.
- Nie znaleźlibyście ich – warknęła Polly.
- Jak, Lew? – spytał Stetson.
- Nomadowie. Ten dom to gloryfikacja namiotu. Mężczyźni na zewnątrz, kobiety w środku. Spójrz na budowę wewnętrznego podwórka. To wszystko wyraża instynkt dziedziczony wraz z nathiańską krwią – tłumaczył Orne.
- Czy to wystarczy? – powątpiewał wciąż Spencer.
- Dodaj do tego inklinację do dziwnych instrumentów muzycznych – gitara, bębenek, obój – to wszystko instrumenty nomadów. Żeńska dominacja w rodzinie, dziwne spaczenie nomadycznego dziedzictwa, ale niejeden w swoim rodzaju. Poszperaj w politycznej przeszłości kobiet, które doprowadziły swych mężów do władzy. Niewiele z nich zdoła nam się wymknąć – ciągnął Orne.
- Polly gapiła się na niego z otwartymi ustami.
- Wypadki toczą się zbyt szybko jak dla mnie – odezwał się Spencer. – Jedno tylko wiem z pewnością. Jestem zdecydowany zapobiec kolejnej Wojnie Kresowej. Taka była moja przysięga. Jeśli będę musiał uwięzić wszystkie bez wyjątku...
- Godzinę potem, jak spisek wyjdzie na jaw, nie będzie pan w stanie uwięzić nikogo – przerwał mu Orne. – Mężu Nathianki! Sam będziesz w więzieniu albo, co bardziej prawdopodobne, zginiesz rozszarpany przez tłuszczę.
- Spencer zbladł.
- Stetson pokiwał głową na znak, że zgadza się z Orne'iem.
- Powiedz nam o tej motyce i trzonku. Jaki kompromis sugerujesz? – nalegała Polly.
- Po pierwsze: prawo weta każdego kandydata, którego wysuniecie. Po drugie: nie możecie nigdy obsadzać więcej niż połowy wysokich stanowisk – odpowiedział Orne.
- Kto miałby wetować naszych kandydatów? – spytała Polly.

– Admirał Spencer, Stet, ja... każdy, kogo uznamy za godnego zaufania – wyjaśnił Orne.

– Myślisz, że jesteś bogiem, czy co? – obruszyła się Polly.

– Nie bardziej niż ty. Dobrze pamiętam lekcje mojej matki. To system kontroli i równowagi. Ty kroisz placek, ja pierwszy wybieram kawałek. Jedna grupa robi końcówkę motyki, a druga robi trzonek. Składamy ją razem.

Zapanowała przedłużająca się cisza, którą przerwał Spencer:

– Nie wydaje mi się słuszne, żeby...

– Żaden polityczny kompromis nie jest słuszny – nie pozwolił mu dokończyć Orne.

– Cały czas łatasz tę tkaninę i ciągle są w niej dziury – powiedziała Polly. – Oto czym jest rząd. – Zakaszła, spojrzała na Orne'a.

– W porządku, Lewis, przyjmujemy twoje warunki – powiedziała i spojrzała na Spencera, który wzruszył ramionami.

Polly znów zwróciła się do Orne'a.

– Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie, Lewis: Skąd wiedziałeś, że jestem szefową?

– To proste – tłumaczył Orne. – Zapisy, które znaleźliśmy mówią, że... nathiańską – o mało nie wymknęło mu się „zdradziecka” – rodzina na Mark nosi nazwę kodową „Głowa”. Twoje imię, Polly, zawiera starożytne słowo *Poll*, oznaczające „głowę”.

Polly posłała pytające spojrzenie Stetsonowi.

– Czy on zawsze jest taki bystry?

– Zawsze – potwierdził Stetson.

– Jeśli chciałbyś zaangażować się w politykę, Lewis, byłabym zachwycona, gdybym... – powiedziała Polly.

– Już zaangażowałem się w politykę – burknął Orne. – To, czego chcę teraz, to osiedlić się z Di i złapać z życia coś, co mnie, jak dotąd, omijało.

Diana zeszywniała i odwróciwszy się do ściany wyrzuciła z siebie:

– Nie chcę widzieć Lewisa Orne'a, nie chcę go słyszeć, ani słu-

chać o nim! To koniec, podkreślam; koniec!

Orne'owi ręce opadły. Odwrócił się, potknął i zniecka runął jak długi na gruby dywan. Z trudem łapał oddech.

Stetson wrzasnął:

– Wezwać lekarza! W szpitalu ostrzegli mnie, że jest jeszcze bardzo słaby.

Rozległ się odgłos ciężkich kroków Polly, biegnącej do urządzeń łącznościowych w korytarzu.

– Lew! – To był głos Diany. Rzuciła się na kolana przy nim, miękkimi dłońmi obejmowała jego głowę i szyję.

– Odwróć go i rozepnij mu kołnierzyk – powiedział Stetson. – Daj mu powietrza.

Delikatnie odwrócili Orne'a na plecy. Wyglądał na bardzo blado.

Diana rozpięła mu kołnierzyk, złożyła swoją twarz na jego szyi.

– Och, Lew, przepraszam – zaszło chała. – Nie chciałam. Proszę, Lew... proszę, nie umieraj. Proszę!

Orne otworzył oczy, spojrzał przez złocistorudą mgiełkę włosów na Spencera i Stetsona. Słyszał głos Polly wydającej pośpiesznie instrukcje w centrum łączności. Orne poczuł ciepły policzek Diany na swojej szyi i wilgoć jej łez. Powoli, z namysłem, Orne mrugnął w stronę dwóch mężczyzn.

Diana trzęsła się konwulsyjnie, jej ruchy włączyły przekaźnik. Orne usłyszał syk fali nośnej. Dźwięk ten nappełnił go gniewem, pomyślał: To świństwo musi zniknąć! Szkoda, że nie znajduje się na dnie najgłębszego morza na Mark!

Zaledwie o tym pomyślał, poczuł nagle pustkę w swoim ciele, w miejscu, gdzie przedtem był przekaźnik. Syk fali nośnej urwał się nagle. Z uczuciem głębokiego szoku Orne uświadomił sobie, że niewielkie urządzenie zniknęło.

Jego umysł objęło z wolna odczucie świadomości. Pomyślał: Psi! Na miłość wszystkiego, co święte! Jestem Psi!

Delikatnie odsunął się od Diany, pozwolił jej pomóc sobie w

zmianie pozycji na siedzącą.

– Och, Lew – szepnęła, głaszcząc go po policzku.

Polly pojawiła się za ich plecami.

– Doktor jest w drodze. Powiedział, żeby położyć go w ciepłe i żeby się nie ruszał. Dlaczego on siedzi?

Orne słuchał tylko jednym uchem. Myślał: Muszę udać się na Amel. Nie ma rady. Nie wiedział, jak ma to zrobić, ale był pewien, że to nastąpi.

Na Amel.

Rozdział 17.

Śmierć ma wiele aspektów: Nirwana, nieskończone koło Życia, równowaga między organizmem a myśleniem jako działalnością czystą, napięcie/rozluźnienie, ból i przyjemność, dążenie do celu i abnegacja. To nie jest, bynajmniej, kompletna lista.

NOAH ARK WRIGHT,
Aspekty religii

Gdy tylko wyszedł z za pokrywy transportowca w ciepło amelskiego słońca na rampie wyjściowej, wyczuł, że w miejscu tym działają siły Psi. Było to tak, jakby chwyciły go w swe sieci współzawodniczące pola magnetyczne. Orne chwycił za poręcz rampy, bo doznał zawrotów głowy. Uczucie to minęło mógł spojrzeć jakieś dwieście metrów w dół na szklisty trikret portu kosmicznego. Fale żaru odbijały się od połyskującej powierzchni i docierały z powrotem w górę do wysokości, na której się znajdował. Żaden powiew nie poruszył powietrzem, ale ukryte porywy sił Psi były w jego pobudzonych niedawno zmysłach.

Kiedy tylko poruszył temat Amel, jego sprawy potoczyły się szybko i z tajemniczą płynnością w tym właśnie kierunku. Dostarczono mu i ukryto w jego ciele sprzęt do wykrywania i wzmacniania Psi. Nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie przekaźnika z jego szyi, a on nie poprosił o nowy.

Znaleziono technika z Sekcji Psi B-D, który szkolił Orne'a w posługiwaniu się nowym sprzętem, uczył go wybierania pierwszych ostrych sygnałów z pierwotnej detekcji Psi, ogniskowania na dyskretnych elementach tego nowego widma.

Wydano odpowiednie rozkazy, podpisane przez Stetsona i Spencera – nawet Scottie'ego Bullone'a, choć Orne był świadom, że takie rozkazy są po prostu formalnością.

To był pracowity okres – Orne spełniał swe obowiązki związane z selekcją polityczną, przygotowywał się do ślubu z Dianą, poznawał od środka działanie B-D, które poprzednio znał tylko z jego zewnętrznych przejawów, brał się za bary z nowym, szczególnym rodzajem strachu, który wyrastał ze świadomości Psi.

Stojąc na rampie lądowania ponad portem kosmicznym Amelu Orne przypomniał sobie dokładnie ten strach. Wzdrygnął się. Amel roiła się doznaniem, od których cierpła skóra. Niesamowite bodźce przelatywały przez jego umysł jak błyskawice. W jednej chwili chciało mu się chrząkać niczym tarzająca się w błocie *kiriffa*; w następnej czuł, że wybucha śmiechem, a jednocześnie łkania wstrząsają jego krtanią.

Myślał: Ostrzegali mnie, że na początku będzie źle.

Szkolenie Psi nie zmniejszyło strachu, a sprawiło jedynie, że był bardziej świadomy. Bez szkolenia jego umysł mógł pogmatwać utajone odczucia, złączyć je w mieszankę grozy i przerażenia. Uczucia te wydawały się doskonale logicznie uzasadnione każdemu akolicie lądującemu na planecie kapłanów.

Wokół niego rozpościerała się ziemia święta, sanktuarium wszystkich religii poznanej Wszechświata (a, jak niektórzy mówili, także religii nieznanego Wszechświata).

Orne skupił uwagę na wewnętrznym ognisku, tak jak go uczono. Powoli przygniatający świadomość lęk zmniejszył się do rozmiarów utrzymującej się na dnie duszy przykrości. Orne zaczerpnął głęboki łyk gorącego, suchego powietrza. Nie sprawiło mu to przyjemności; brakowało najistotniejszego elementu, do którego były przyzwyczajone jego płuca.

Trzymając się poręczy czekał, aby się upewnić, czy widmowe bodźce zostaną stłumione. Któż mógł wiedzieć, co może nań sprowadzić jedno z tych współzawodniczących odczuć? Połyskująca wewnątrz powierzchnia otwartego iluminatora odbijała jego postać, zniekształcając ją lekko, w sposób, który różnił ją od smukłego pierwowzoru. Odbity obraz dawał mu wygląd półboga odrodzonego z od-

ległej przeszłości Amel: Kanciasty i krzepki z węzłami mięśni na szyi. Drobną blizną znaczyła linię czoła pod krótko przyciętą rudą czupryną. Inne drobne blizny na jego buldogowatym obliczu były dostrzegalne jedynie dla tego, kto wiedział, gdzie ich szukać. Wspomnienia nasunęły myśl o innych bliznach na jego ciężkim ciele, chociaż czuł, że w pełni doszedł do siebie po Sheleb. Wiedział też, że Sheleb nie doszła do siebie po nim. W B-D kursowało humorystyczne powiedzenie, że starszych agentów terenowych można rozpoznać po jakości blizn i medycznych łąt. Nikt nigdy nie poczynił podobnego spostrzeżenia odnośnie licznych światów, w których interweniowało B-D.

Zastanawiał się, czy Amel będzie wymagała takiego potraktowania i czy B-D mogłoby tu interweniować. Nie istniała przekonująca odpowiedź na żadne z tych pytań.

Orne przyglądał się bacznie otoczeniu, ciągle czekając, aż odzyska kontrolę nad Psi. Z rampy transportowca rozpościerał się szeroki widok na panoramę wież, dzwonnicy, iglic, monolitów, katedr, ziguratów, pagód, stup, minaretów, dagób... Wypełniały płaską równinę, która rozciągała się po kres horyzontu, tańcząc w drapiącym żarem powietrzu. W złotym świetle słońca igrały proste kolory i rozmyte pastelowe barwy: budynki wzniesione z płyt i kamieni, triketu i plastalu oraz syntetycznych surowców niezliczonych tysięcy cywilizacji. Żółte słońce Dubhe stało w zenicie na bezchmurnym błękitnym niebie. Jego promienie atakowały togę Orne'a dokuczliwym ciepłem. Toga miała barwę bladej akwamaryny. Czuł się urażony faktem, że nie wolno było mu tu nosić innego stroju. Kolor świadczył o tym, że jest studentem, a on czuł, że nie przybył tu, by studiować w klasycznym sensie. Było to jednak warunkiem dopuszczenia do Amel. Ciężar stroju sprawiał, że ciało pokrywało się potem.

Orne przeszedł wzdłuż rampy, pole eskalatorowe zaszumiało cicho, gotowe umieścić go w centrum krzątaniny u stóp transportowca. Kapłani i pasażerowie na dole zajęci byli ceremonią inicjacji nowych studentów. Orne nie wiedział, czy będzie musiał przejść przez ten obzątek. Agent kapitanatu powiedział mu, żeby zaczekał na swoją kolej

wyładunku.

Co oni tam robią na dole?

Słyszał pulsujący dźwięk bębena i śpiewny lament, który ginął wśród mechanicznych hałasów portu.

Przysłuchując się temu, Orne doświadczył nagłego uczucia lęku przed nieznanym, które oczekiwało go w wąskich, pokręconych ulicach i stłoczonych budynkach religijnego mrowiska. Opowieści, które przenikały z Amel nosiły ślady zakazanych sił i tajemnic. Orne wiedział, że jego odczucia są przez to skażone. Ten lęk znał jednak dobrze. Zaczął się on na Marak.

Siedział wtedy w zwyczajnym otoczeniu, przy pulpicie w swojej kawalerskiej kwaterze oficera. Spoglądał przez okno na podobny do parkowego krajobraz, nie skupiał się na żadnym szczególe, znajdował się na terenach uniwersyteckich B-D. Zielonkawe słońce Marak stało nisko, wydawało się odległe i chłodne; było popołudnie. Amel też wydawał się odległy – miejsce, gdzie miał udać się po ślubie i miesiącu miodowym. Miał stały przydział do studium antywojennego B-D jako wykładowca przedmiotu „Egzotyczne Ślady Wojny”.

Nagle odwrócił się od pulpitu i popatrzył surowo na sztywno regulaminowy pokój. Coś w nim się zmieniło, a Orne nie mógł się skupić, żeby określić co. Wszystko zdawało się odpowiada oczekiwanemu schematowi: szare ściany, ostre kąty łóżka, biała kapa z niebieskim monogramem B-D przedstawiającym skrzyżowane miecz i rylec, ciężkie krzesło ustawione w nogach łóżka, między nim a szarymi drzwiami łazienki zostawał trzycentymetrowy prześwit.

Wszystko w tym miejscu było zgodne z regulaminem.

A jednak nie mógł stłumić przeczucia, że coś tu się zmieniło... i to niebezpiecznie.

W czasie gdy pochłonięty był tym rozmyślaniami, drzwi z korytarza trzasnęły i pojawił się Stetson. Szef sekcji nosił swój zwykły połatany niebieski mundur. Jedyne oznaka jego stopnia, złote emblematy B-D na kołnierzu i płaszczu, wyglądały na lekko zardzewiałe. Orne zastanawiał się, czy emblematy były kiedykolwiek polerowane, szyb-

ko jednak odepchnął tę myśl. Stetson polerował tylko swój umysł.

Za Stetsonem, jak pies na niewidocznej smyczy, do pokoju wjechał wózek mechaniczny załadowany taśmami, mikronagraniami, a nawet pewną ilością prymitywnych książek w stelapermowych okładkach. Wózek wtoczył się do pokoju, a jego koła zadudniły, kiedy hamował przy drzwiach.

Orne skupił uwagę na wózku; wiedział z pewnością, że to jest obiekt jego lęku. Zerwał się na równe nogi, spojrzał twardo na Stetsona:

– Co to jest, Stet?

Stetson odepchnął wózek od nóg łóżka, rzucił swój płaszcz na koc. Jego ciemne włosy splecione były w nieuczesaną masę. Spuścił powieki. Powiedział:

– Masz dosyć zadań, w których dowiadywałeś się o pułapkach, kiedy już je spostrzegłeś.

– Czyja nie mam tu już nic do powiedzenia? – spytał Orne.

– Cóż, teraz sytuacja trochę się zmieniła, a może okaże się, że nie zmieniła się – powiedział Stetson. – Poza tym to dotyczy czegoś, czego, jak mówiłeś, chcesz.

– Żenię się za trzy tygodnie – oświadczył Orne.

– Twój ślub został odłożony – powiedział Stetson. Podniósł otwartą dłoń, kiedy zauważył, że twarz Orne'a pociemniała. – Poczekaj chwilę. Odłożony, nic więcej.

– Na czyj rozkaz? – spytał Orne.

– No cóż, Diana zgodziła się wyruszyć dziś rano w celu wykonania zadania, które zaplanował Wielki Komisarz.

– Mieliśmy zjeść dzisiaj razem kolację! – zauważył urażonym tonem Orne.

– To też odłożono – stwierdził Stetson. – Przysłała ci przeprosiny. W tym materiale na wózku jest wideokaseta – jej przeprosiny, wyrazy miłości i tak dalej. Ona ma nadzieję, że zrozumiesz cel jej nagłego wyjazdu.

– Jaki cel? – warknął Orne.

– Taki, żebyś nie zawracał sobie nią głowy. Wyjeżdżasz na Amel za sześć dni, nie za sześć miesięcy, a jest mnóstwo rzeczy do przygotowania nim wyjedziesz.

– Wy tłumacz lepiej, o co chodzi Dianie.

– Ona wie, że traciłbyś przez nią czas, rozpraszał się, odwracałbyś uwagę, której teraz absolutnie potrzebujesz. Udała się na Franchi Primus, aby dostarczyć osobiście informację tamtejszemu podziemiemu nathiańskiemu i wyjaśnić im, dlaczego nie są już podziemiem i dlaczego wybrany przez nich kandydat musiał wycofać się nagle z wyborów. Jest zupełnie bezpieczna i możecie się pobrać, kiedy ty wrócisz z Amel.

– Pod warunkiem, że ty nie wymyślisz jakiejś nowej pilnej potrzeby – parsknął Orne.

– Należycie do tych, którzy złożyli przysięgę B-D – powiedział Stetson. – Ona wykonuje rozkazy tak jak my wszyscy.

– Och, ta B-D to świetna zabawa – mruknął Orne. – Muszę ją polecić, kiedy spotkam jakiegoś miłego faceta szukającego pracy!

– Amel, pamiętasz? – spytał Stetson.

– A dlaczego tak nagle?

– Amel... cóż, Lew, Amel nie jest miejscem na piknik, jak mogłeś sobie wyobrazić.

– Nie... ale to jest miejsce do zaawansowanego treningu Psi. Wypełniłeś za mnie zgłoszenie, czyż nie tak?

– Lew, to nie działa w ten sposób.

– Och?

– Nie zgłaszasz się na Amel, zostajesz powołany.

– A co to właściwie znaczy?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tam dostać, o ile nie jesteś na liście zatwierdzonych, absolwentem, kapłanem albo kimś takim. Możesz się tam dostać tylko jako student – powołany.

– I ja zostałem powołany?

– Tak.

– A co, jeśli odmówię udania się tam jako student?

Grube zmarszczki pojawiły się wokół ust Stetsona.

– Złożyłeś przysięgę B-D. Pamiętasz to?

– Mam zamiar zmienić rotę przysięgi – burknął Orne. Do słów: „Przysięgam na życie i na mój święty honor, że będę poszukiwał i niszczył zarodki wojny, gdziekolwiek można je znaleźć” dodajmy: „poświęcę przy tym wszystko i wszystkich”.

– Niezły dodatek – zgodził się Stetson. – Dlaczego nie miałbyś zaproponować tego, kiedy wrócisz?

– Jeśli wrócę!

– Zawsze jest tamta możliwość – zauważył Stetson. – Ale zostałeś powołany i B-D rozpocliwie pragnie, żebyś się zgodził.

– To dlatego nikt z was nie kwestionował mojej prośby.

– To część sprawy. Nasza Sekcja Psi potwierdziła, że jesteś prawdziwym talentem... i nasze nadzieje wzrosły. Potrzebujemy na Amel kogoś twojego kalibru.

– Dlaczego? Dlaczego B-D interesuje się Amel? W tej okolicy nigdy nie było wojny. Wielcy strzelcy zawsze boją się obrażać ich bogów.

– Albo ich kapłanów.

– Nie słyszałem, żeby ktoś miał kłopoty z dostaniem się na Amel.

– My zawsze mieliśmy kłopoty.

– B-D?

– Tak.

– Ale nasi technicy z sekcji Psi byli tam szkoleni.

– Zostali nam przydzieleni z Amel na nalegania Amel, nie nasze. Nigdy nie byliśmy w stanie wysłać na Amel prawdziwego agenta śledczego, godnego zaufania i oddanego.

– Myślisz, że kapłani coś knują?

– Jeśli tak, to będą kłopoty. Jak zapanujemy nad mocami Psi? Co zrobimy, żeby zamknąć kogoś takiego jak ten facet z Wessel, który skakał z planety na planetę bez statku? Jak sobie poradzimy z człowiekiem, który może usunąć ze swego ciała nasze urządzenie, nie do-

konując przy tym nacięcia?

– Zatem wiecie o tym?

– Kiedy nasz przekaźnik przestał nadawać odgłosy twego otoczenia, a zaczął wydawać z siebie rybie bulgoty, zauważyliśmy to – potwierdził Stetson. – Jak to zrobiłeś?

– Nie wiem.

– I być może mówisz prawdę – rzekł Stetson.

– Po prostu zapragnąłem, żeby to się stało – wyjaśnił Orne.

– Po prostu zapragnąłeś! Być może dlatego jedziesz na Amel.

– Może być. – Skinął głową, oszołomiony tą myślą. Jednak ciągle miał złe przeczucie; tym razem nie wiązało się ono z wózkiem, ale wybiegało dalej, na Amel. – Jesteś pewien, że to mnie powołali?

– Jesteśmy pewni i zaniepokojeni.

– Nie wytłumaczyłeś dlaczego, Stet.

Stetson westchnął:

– Lew, otrzymaliśmy potwierdzenie tego dziś rano: Na następnej sesji Zgromadzenia będzie wniosek o rozwiązanie B-D i przekazanie jego funkcji Ponownemu Odkryciu i Reeducacji.

– Ty żartujesz?

– Nie.

– Pod Tylerem Gemine i chłopcami z POR?

– Pod nikim innym.

– Dlaczego... taki polityczny faul! Połowa problemów bierze się z głupoty POR. Dziesiątki razy cholernie mało brakowało, a wpakowaliby nas w kolejną Wojnę Kresową. Myślałem, że Gemine jest naszym pierwszym kandydatem na usunięcie ze stanowiska.

– Mhm – przytaknął Stetson. – A na następnej sesji Zgromadzenie, za mniej niż pięć miesięcy, ten wniosek przejdzie przy pełnym poparciu kapłanów z Amel.

– Całego o kapłaństwa?

– Całego.

– Ale to jest idiotyczne! To znaczy, spójrz na...

– Czy masz wątpliwości, że zapał religijny przyczyni się do

przeprowadzenia wniosku? – zapytał Stetson.

Orne potrząsnął głową.

– Na Amel są tysiące... może miliony sekt religijnych, rozejm Ekumeniczny nie pozwala na...

– Rozejm nie mówi nic o zaniechaniu polowania na B-D – przewał Stetson.

– Tu coś nie gra, Stet. Jeśli kapłani są przeciwko nam, dlaczego zaprosili mnie jako studenta właśnie teraz?

– Rozumiesz więc, dlaczego jesteśmy tak zaniepokojeni – powiedział Stetson. – Nikt – powtarzam: nikt! – nie był jeszcze w stanie umieścić na Amel agenta. Ani B-D. Ani stara Marakiańska Służba Tajna. Ani nawet Nathianie. Wszystkie próby spotykały się z grzeczną odmową. Żaden agent nie dotarł nigdy dalej niż dwadzieścia metrów od miejsca lądowania.

– Co znajduje się na wózku, który przyprowadziłeś? – spytał Orne.

– Cały materiał do przestudiowania w ciągu sześciu miesięcy. Teraz masz na to sześć dni.

– Jakie będą zabezpieczenia, żeby mnie stamtąd wyciągnąć, jeśli Amel okaże się wroga?

– Żadne.

Orne gapił się na niego z niedowierzaniem.

– Żadne?

– Z naszych najlepszych informacji wynika, że twoje szkolenie na Amel – oni nazywają to „Ordalia” – potrwa około sześciu miesięcy. Jeśli nie odezwiesz się przez ten czas, wystąpimy z pytaniami.

– Na przykład: „Co zrobiliście z jego ciałem” – burknął Orne. – Do diabła! Za sześć miesięcy może już nie być B-D, żeby występowało z zapytaniami.

– Będzie przynajmniej kilku zainteresowanych obywateli, twoi przyjaciele.

– Przyjaciele, którzy wysłali mnie tam!

– Jestem pewien, że rozumiesz konieczność. Diana zrozumiała.

- Ona wie o tym wszystkim?
- Tak. Płakała, ale zrozumiała konieczność i zgodnie z rozkazem udała się na Franchi Primus.
- Jestem waszą ostatnią deską ratunku, he?
- Stetson przytaknął.
- Musimy odkryć, dlaczego centrum wszystkich religii zwróciło się przeciwko nam. Nie znamy żadnego zaklęcia, wybac mi tę metaforę, żeby się tam dostać i podporządkować ich sobie. Moglibyśmy spróbować, ale wtedy wybuchłyby powstania religijne w całej federacji. W porównaniu z nimi Wojny Kresowe przypominałyby grę w piłkę w szkole żeńskiej.
- Ale nie wykluczacie interwencji?
- Oczywiście, że nie. Nie jestem jednak pewien, czy zebralibyśmy dosyć ochotników na tę robotę. Nigdy nie kwalifikowaliśmy personelu pod kątem religii. Jestem cholernie pewien, że oni zakwalifikowaliby nas, gdybyśmy zrobili ruch przeciw Amel. To grząski grunt, Lew. Nie, nie odkryliśmy jeszcze dlaczego! Może moglibyśmy zmienić coś, co ich irytuje. To nasza jedyna nadzieja. Być może oni nie rozumieją naszej...
- A co, jeśli planują podboje wojenne, Stet? Co wtedy? Na Amel mogło dojść do władzy nowe stronnictwo. Czemu nie?
- Stetson wyglądał kiepsko.
- Gdybyś mógł to udowodnić... – Wzruszył ramionami.
- Od czego zaczynamy? – spytał Orne. Stetson pokazał kciukiem stertę na wózku.
- Zagląb się w tym materiale. Później udasz się do lekarzy po nowy, lepszy wzmacniacz Psi.
- Kiedy mam do nich pójść?
- Oni po ciebie przyjdą.
- Ktoś z a w s z e po mnie przychodzi – mruknął Orne.

Rozdział 18.

Uniwersum bez wojny zawiera przypisane ludzkiej naturze pojęcia o masie krytycznej. Każda konkretna kwestia, która może doprowadzić do wojny, jest zawsze poszerzana o sprawy wartości osób, o komplikacje technicznego współdziałania, o sprawy natury etyczno-religijnej. Rozprzestrzenia się na obszary otwarte dla przeciwdziałania, w których w sposób nieunikniony pozostają niewiadome, wszędybylskie i prawdopodobnie o zdradliwej złożoności. Kwestia postawy ludzkiej wobec wojny może być porównana z wielopoziomowym, zakłócanym systemem sprzężeń zwrotnych, w których nic nie jest pozbawione znaczenia.

„Wojna niemożliwa”,
Rozdział IV Podręcznika B-D.

Światło wieczoru wydłużało cienie w szpitalny, pokoju Orne'a w Centrum Medycznym B-D. Był spokojny czas między obiadem a godzinami przyjęć. Pseudoperspektywa pomieszczenia została zamknięta, by nadać otoczeniu charakter bezpieczeństwa sprzyjającego odpoczynkowi. Dekorakol był nastawiony na barwę bladozieloną. Bandaż indukcyjny umieszczony został w niewygodnej pozycji pod jego brodą, ale charakterystyczne świerzbiecie oznaczające proces gojenia nie zaczęło się jeszcze.

Orne czuł się mocno nieswojo w szpitalnym łóżku. Wiedział, dlaczego zapachy i dźwięki przypominały mu o miesiącach, które spędził wyczołgując się z objęć śmierci po Sheleb. Przypominał sobie, że Sheleb była kolejną planetą, na której wojna nie mogła się zacząć. Podobnie jak Amel.

Drzwi do pokoju odsunęły się, ukazując wysokiego, kościstego oficera technicznego i insygniami „Sekcji Psi” przedstawiającymi rozwidlone błyskawice na kołnierzu.

Orne przyglądał mu się bacznie – nieznaną twarz: podobna do głowy ptaka, z długim nosem, drobnym podbródkiem, wąskimi ustami. Oczy rzucały szybkie jak strzały spojrzenia. Podniósł prawą dłoń w nerwowym pozdrowieniu, przechylił się nad poprzeczką w nogach łóżka Orne’a.

– Jestem Ag Emolirido – szef Sekcji Psi – przedstawił się. – Ag to skrót od Agony.

Orne nie mógł poruszyć głową z powodu bandaża indukcyjnego, patrzył więc wzdłuż własnego nosa przez łóżko na Emolirido. A zatem to był nieśmiały i tajemniczy szef Psi w B-D. Mężczyzna roztaczał aurę zrozumienia i zaufania. Przypominał Orne’owi kapłana z przeszłości na Chargon – innego absolwenta Amel. To wspomnienie popsuło Orne’owi nastrój. Odezwał się:

– Słyszałem o tobie. Jak się masz?

– Zaraz zobaczymy, jak się mam – powiedział Emolirido. – Przejrzałem twoje zapisy. Fascynujące. Czy jesteś świadom, że możesz być siedliskiem Psi?

– Czym? – Spróbował usiąść, ale bandaże szybko ściągnęły go z powrotem.

– Siedliskiem Psi – powtórzył Emolirido. – Zaraz ci to wytłumaczę.

– Bardzo proszę – powiedział Orne. Nie podobał mu się protekcyjny, wszystkowiedzący styl bycia Emolirido.

– Możesz uznać to za początek zaawansowanego szkolenia – oświadczył tamten. – Zdecydowałem sam się tym zająć. Jeśli jesteś tym, kogo podejrzewam... cóż, to niezwykle rzadkie.

– Jakie rzadkie?

– Cóż, podobne przypadki giną w mrokach mitycznej przeszłości.

– Rozumiem. Są rzeczy – siedliska Psi, czy o to chodzi?

– To nazywamy fenomenem. Jeśli jesteś siedliskiem Psi, jesteś... no cóż, bogiem.

Orne zamrugł oczami, zamarł zaszokowany. Czuł, że obraca się

koło jego życia, jego poczucie jedności zapłonęło przerażającą żądzą istnienia. Zwycięska świadomość umysłu, przyniosła przegląd wszystkich dziwnych działań jego życia.

Pomyślał: Nic nie może być wyłącznie z życia. Ono całe stanowi jedność.

– Nie pytasz o to? – zdziwił się Emolirido.

Orne przełknął ślinę.

– Mam pytania, mnóstwo pytań.

– Pytaj.

– Dlaczego sądzisz, że jestem... siedliskiem Psi?

– Wyglądasz na wysepkę porządku w nieuporządkowanym świecie. Czterokrotnie, odkąd B-D ma z tobą do czynienia, dokonałeś rzeczy niemożliwych. Każdy z problemów, którymi się zajmowałeś, mógł doprowadzić do fermentu i ogólnej wojny. Ale pojawiłeś się ty i przyniosłeś porządek z...

– Robiłem to, w czym mnie wyszkolono, nic więcej.

– Wyszkolono? Kto cię wyszkolił?

– B-D oczywiście. Głupie pytanie.

– Naprawdę? – Emolirido znalazł krzesło i usiadł przy łóżku. – Zajmijmy się tym w sposób uporządkowany, zaczynając od naszego tłumaczenia życia.

– Tłumaczę życie, żyjąc – wtrącił Orne.

– Może powinienem powiedzieć, żebyśmy podeszli do tego z innego punktu widzenia, po prostu dla definicji. Życie, tak jak my je rozumiemy, przedstawia sobą most między Porządkiem a Chaosem. Chaos definiujemy jako surową energię nieograniczoną, dostępną dla wszystkiego, co może podporządkować ją sobie i wprowadzić w jakąś formę Porządku. W tym sensie Życie staje się zmagazynowanym Chaosem. Czy nadażasz?

– Słyszę, co mówisz – otwierdził Orne.

– Ach... – Emolirido kaszlnął. – Życie żywi się Chaosem, ale musi istnieć w Porządku. Chaos przedstawia sobą tło, na którym Życie poznaje samo siebie. To prowadzi nas do innego tła, do warunku zwa-

nego Zastójem. Ten może być porównywalny do magnesu. Zastój przyciąga do siebie swobodną energię aż do momentu, kiedy naciski bezruchu i nieprzygotowania stają się zbyt wielkie i wtedy zdarza się eksplozja. Eksplodując, formy, które przedtem były w Zastój u, wracają do Chaosu, do nie-Porządku. Pozostaje nam nieunikniona konstatacja, że Zastój zawsze prowadzi do Chaosu.

– Ślicznie – zauważył Orne.

Emolirido zmarszczył brwi.

– To prawo obowiązuje na obydwu poziomach: chemicznie-nieożywionym i chemicznie-ożywionym. Lód – stan zastoju wody, eksploduje, kiedy nagle zetknie się z żarem. Zamrożone społeczeństwo eksploduje, kiedy wystawione jest na żar wojny czy palący kontakt z nowym, obcym społeczeństwem. Natura boi się stabilności – zastoju.

– Tak samo jak boi się próżni – powiedział Orne, tylko po to, by przerwać wywody Emolirido. W co on się zagłębia? Po co mu to całe gadanie o Chaosie, Porządku, Zastoju?

– Rozumujemy w kategoriach systemów energetycznych – powiedział Emolirido. – To jest podejście Psi. Czy masz więcej pytań?

– Nie wyjaśniłeś niczego – zniecierpliwił się Orne. – Słowa, tylko słowa. Co to ma wspólnego z Amel albo z twoim przypuszczeniem, że jestem... siedliskiem Psi?

– Co do Amel – jest w stanie Zastoju, który nie eksploduje – tłumaczył Emolirido.

– Może zatem nie jest wcale statyczna.

– Bardzo wnikliwa uwaga – stwierdził Emolirido. – Jeśli chodzi o siedlisko Psi, prowadzi nas to do problemu cudów. Zostałeś powołany na Amel, ponieważ uważamy cię za sprawcę cudów.

Kiedy Orne spróbował odwrócić głowę, w jego obandażowanej szyi odezwał się ból.

– Cudów? – jęknął.

– Rozumienie Psi oznacza rozumienie cudów. – stwierdził Emolirido swym pouczającym tonem. – Diabeł tkwi we wszystkim, czego

nie rozumiemy, zatem cuda przerażają nas i wypełniają nas uczuciem niebezpieczeństwa.

– Tak jak ten facet, który rzekomo może skakać z planety na planetę bez statku – zauważył Orne.

– On naprawdę to robi – stwierdził Emolirdo. – Innym rodzajem cudu jest chcieć, żeby jakieś urządzenie opuściło twoje ciało, i osiągnąć to bez zranienia.

– Co by się stało, gdybym zechciał, żebyś ty opuścił moje towarzystwo? – spytał Orne.

Dziwny półśmiech przemknął przez usta Emolirdo. Wyglądała na to, że stoczył wewnętrzny spór – śmiać się czy płakać – i rozstrzygnął go, nie robiąc niczego. Odezwał się:

– To mogłoby być interesujące, zwłaszcza jeżeli przeciwstawiłbym się swoim własnym życzeniom.

Orne poczuł się zmieszany.

– Nie do tego zmierzałem.

Emolirdo wzruszył ramionami.

– Mówię tylko, że badanie Psi to badanie cudów. Rozważamy siły, które działają poza rozpoznanymi kanałami i pomimo przyjętych praw. Ludzie religijni nazywają te sprawy cudami. My mówimy, że napotkaliśmy fenomen Psi czy działanie siedliska Psi.

– Zmiana etykiety nie zawsze oznacza zmianę rzeczy – zauważył Orne. – Ciągle tego nie pojmuję.

– Słyszałeś kiedyś o grotach cudów na starożytnych planetach? – spytał Emolirdo.

– Słyszałem te opowieści – odparł Orne.

– To więcej niż opowieści. Wyłożę to w ten sposób: Takie miejsca zawierały ukryte kształty, konwulsje projekcji spoza świata widzialnego. Poza takimi miejscami skupienia surowa i chaotyczna energia Wszechświata opiera się pragnieniom Porządku. Ale w takich miejscach ogniskowych, sutowa energia zewnętrznego Chaosu okazuje się łatwo osiągalna i może być uregulowana. Przez sam akt życzenia urabiamy tę surową energię na dziwne nowe sposoby, które prze-

czą naszym starym prawom. – Oczy Emolirido błyszcząły. Wydawało się, że ledwie kontroluje wielkie wewnętrzne podniecenie.

Orne zwilżył wargi końcem języka.

– Kształty?

– Przekazy historyczne są jasne – potwierdził Emolirido. – Ludzie zgięli kable, połączyli je, owinęli kawałkiem plastyku, dodali dziwny zestaw pozornie niezwiązanych przedmiotów... i działały się dziwne rzeczy. Gładka powierzchnia metalu staje się lepka, jakby posmarowana klejem. Człowiek rysuje pentagram na podłodze i w środku zaczyna tańczyć promień. Dym wydobywa się z dziwnie ukształtowanej butelki i staje się nagle posłuszny woli człowieka. To wszystko są kształty, rozumiesz?

– Zatem?

– Są pewne żywe istoty, włączając w to ludzi, które zawierają takie skupiska w swoich wnętrzach. Wkraczają one do... nicości i pojawiają się z powrotem w odległości całych lat świetlnych. Wystarczy, że spojrzą na osobę cierpiącą z powodu nieuleczalnej choroby i choroba jest uleczona. Wskrzeszają zmarłych. Czytają myśli.

Orne próbował przełknąć, lecz zaschło mu w gardle. Emolirido mówił z takim przekonaniem. To było coś poza ślepą wiarą.

– Ale co to zmienia, jeśli zrozumiemy te rzeczy – Psi? – spytał Orne.

– To wyłącza te zjawiska z dziedziny ślepego strachu – odparł Emolirido. – Zgiął się nad lampką przy łóżku Orne'a, ustawił pięść między światłem i zieloną ścianą w głowach łóżka. – Spójrz na tę ścianę.

– Nie mogę odwrócić głowy – powiedział Orne.

– Przepraszam. – Emolirido cofnął rękę. – Robiłem po prostu cień. Możesz to sobie wyobrazić. Powiedzmy sobie, że istnieją myślące istoty przywiązane do płaskiej powierzchni ściany i że widzą one cień mojej pięści. Czy jakiś geniusz wśród nich mógłby wyobrazić sobie kształt, który spowodował powstanie cienia – kształt rzucony spoza ich wymiaru?

– To stara, ale interesująca kwestia – zgodził się Orne.

– A co by było, gdyby istota z powierzchni ściany stworzyła urządzenie pozwalające na projekcję do naszego wymiaru? – spytał Emolirdo. – Znalazłaby się w położeniu legendarnego ślepcą badającego słonia. Jej urządzenie dawałoby wskazania, które nie pasowałyby do jej wymiarów. Istota odgadywałaby nowe schematy, zestawiała wszelkiego rodzaju postulaty.

Skóra szyi Orne'a zaczęła wściekle świerzbieć. Z trudem opierał się chęci pomasowania jej palcami. Przez jego pamięć przemknęły strzępy folkloru chargońskiego: czarownicy w puszkach, mali ludzie, którzy spełniali życzenia w ten sposób, że ci, którzy je wyrażali, sami potem tego żałowali; groty, gdzie chorzy byli uzdrawiani.

Świerzbienie szybkiego gojenia przyciągło jego palec z nieodpartą siłą. Sięgnął po pigułkę leżącą na stoliczku, przełknął ją, czekając na ulgę.

– Myślisz – zauważył Emolirdo.

– Umieściliście nowy wzmacniacz Psi w mojej szyi – stwierdził Orne. – W jakim celu?

– To udoskonalone urządzenie do sygnalizowania obecności działania Psi – odparł Emolirdo. – Wykrywa pola Psi i obecność kształtów ogniskowych. Wzmacnia twoje uśpione możliwości. Umożliwia skuteczne opieranie się emocjom indukowanym za pomocą Psi i pozwala wykrywać motywacje innych przez odczytywanie ich uczuć. Umożliwia ci wykrywanie niebezpieczeństw grożących twojej osobie, kiedy są one jeszcze odległe w czasie – prekognicja, jeśli sobie życzysz. Przeprowadzę z tobą kilka sesji parahipnoidalnych, dzięki którym te efekty staną się dla ciebie lepiej zrozumiałe.

Orne poczuł mrowienie w szyi i próżnię w żołądku, co jednak nie miało nic wspólnego z głodem. Niebezpieczeństwo?

– Rozpoznasz wrażenia prekognicji – ciągnął Emolirdo. – Spłyń to na ciebie jako szczególny rodzaj lęku, być może trochę podobny do głodu. Wyczujesz brak czegoś, zapewne w twoim wnętrzu albo w powietrzu, którym oddychasz. To niezwykle godny zaufania sygnał

zagrożenia.

Orne wyczuwał próżnię w żołądku. Jego skóra była lepka od potu. Powietrze pokoju miało stęchły smak. Chciał odrzucić te odczucia i sugestywną rozmowę z Emolirdo, pozostawał jednak fakt nazwiskiem Stetson. Nikt w B-D nie był większym od niego sceptykiem, a jednak to Stet polecił mu przez to przejść.

Była jeszcze sprawa przekaźnika, który on sam zechciał usunąć ze swego ciała.

– Jesteś trochę blady – zauważył Emolirdo. Orne zmusił się do słabego uśmiechu.

– Myślę, że w tej chwili czuję to twoje prekognicyjne ostrzeżenie.

– Ach, opisz swoje odczucia.

Orne zrobił to.

– Dziwne, że nastąpiło to tak prędko – zastanawiał się Emolirdo.

– Czy możesz zidentyfikować źródło zagrożenia?

– Ty i Amel – odparł Orne.

Emolirdo zagryzł wargi.

– Chyba samo ćwiczenie Psi jest dla ciebie niebezpieczne. To dziwne. Szczególnie, jeśli okaże się, że jesteś siedliskiem Psi.

Rozdział 19.

Kiedy mądry człowiek czegoś nie rozumie, mówi: „Nie rozumiem”. Głupiec i człowiek niekulturalny wstydzi się swojej ignorancji. Zachowuje milczenie, podczas gdy pytanie mogłoby przynieść mu mądrość.

Powiedzenia ABBODÓW

Orne powiedział sobie, że nie ma żadnego rozsądnego powodu by dłużej czekać na rampie. Przewycięzył już pierwsze oszłamiające uderzenie sił Psi na Amel. Jednak prekognicyjna świadomość zagrożenia pozostała w nim jak bolący ząb. Czuł gorąco i ciężar togi. Ociekał potem.

A żołądek mówił mu: Czekaj.

Zrobił pół kroku w stronę pola eskalatorowego i wewnętrzna próżnia powiększyła się. Nozdrza pochwyliły cierpką woń kadzidła, zapach był na tyle silny, że przebił się nawet przez dominujące w porcie kosmicznym zapachy smaru i ozonu.

Mimo treningu i starannie wykształconego agnostycyzmu doświadczał uczucia strachu. Amel roztaczał aurę, która przewycięzała niewiarę.

To tylko Psi, powiedział sobie Orne.

Śpiewne i zawodzące głosy unosiły się nad religijnym mrowiskiem jak mglista poświata. Poczul przemykające w świadomości fragmenty z dzieciństwa na Chargon: procesje religijne w dniach świąt... wyobrażenie Mahmuda błyszczące na *kiblah*... *azan* dzwoniący na wielkim placu w Dniu Bajramu.

– *Niech nie pojawia się bluźnierstwo ani nie pozwólcie żyć bluźniercy...*

Orne potrząsnął głową i pomyślał: teraz byłaby odpowiednia chwila, aby stać się religijnym i pokłonić się Ullua, gwiazdnemu wę-

drowcowi Ayrbów.

Strach zapuszczał korzenie głębiej. Zacisnął pasa i ruszył na pole eskalatorowe. Poczucie zagrożenia pozostało, ale nie przybierało na sile.

Pole eskalatorowe delikatnie znosiło go na ziemię i oswobodziło przy krytym wejściu. Na powierzchni było goręcej niż na rampie. Orne otarł pot z czoła. Gromadka biało ubranych kapłanów i studentów w togach barwy akwamaryny tłoczyło się w wąskim cieniu przejścia. Kiedy Orne zbliżył się, zaczęli się dzielić, odchodzili w parach – kapłan ze studentem.

Jeden kapłan pozostał – wysoki, mocno zbudowany; robił wrażenie, że kiedy kroczy, ziemia się pod nim trzęsie. Czy on też jest z Chargon? – zastanawiał się Orne. Głowę miał ogoloną. Głębokie gruzdy znaczyły jego twarz. Ciemne oczy błyszczały pod obwisłymi siwymi brwiami.

– Orne? – zagrzemiał głos kapłana.

Orne wszedł na przejście.

– Tak.

W cieniu skóra kapłana okazała się barwy żółtooliwkowej.

– Jestem Bakrish – powiedział. Oparł potężne dłonie na biodrach, wpatrywał się w Orne'a. – Przepuściłeś ceremonię oczyszczenia.

– Powiedziano mi, że mogę tu zjechać w swoim czasie – odparł Orne.

– Jeden z tych, he? – zagadnął go Bakrish. Coś w tej ciężkiej figurze i błyszczącej twarzy przypominało Orne'owi sierżanta z ośrodka szkoleniowego B-D na Marak. Wspomnienie przywróciło poczucie równowagi, wzbudziło uśmiech na twarzy.

– Coś cię tu bawi? – zapytał Bakrish.

– Ta skromna twarz odbija szczęście, jakim jest przebywanie na Amel w twojej obecności – odparł Orne.

– Tak?

– Co miałeś na myśli mówiąc „jeden z tych”? – spytał Orne.

– Jesteś jednym z tych talentów, które muszą uzyskać swoją równowagę Amel – rzekł Bakrish. – To wszystko. Chodź. – Odwrócił się i ruszył krytym przejściem, nie oglądając się na Orne’a.

Równowaga Amel? – zastanawiał się Orne.

Ruszył za Bakrishem; zauważył, że musi iść półtruchtem, żeby nadażyć.

Nie ma ruchomych chodników, nie ma przeskakowaczy, myślał Orne. To prymitywna planeta:

Kryty chodnik wystawał jak długi dziób z pozbawionego okien niskiego budynku z szarego plastretu. Podwójne drzwi otworzyły się na mroczny korytarz, który odświeżył go powiewem chłodnego powietrza. Zauważył jednak, że drzwi otwierane były ręcznie, a jedno ich skrzydło skrzypiało. Korytarz rozbrzmiewał echem ich kroków.

Bakrish prowadził wzdłuż rzędu wąskich cel bez drzwi, część z nich zajęta była przez mruczące postacie, niektóre wypełniały dziwne sprzęty, inne stały puste. Na końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi, które prowadziły do pokoju na tyle dużego aby pomieścić mały pulpit i dwa krzesła. Pachniało tam grzybem. Bakrish wcisnął swe ciało w krzesło za biurkiem, kazawszy Orne’owi, by usiadł na drugim siedzeniu.

Orne posłuchał i poczuł, że żołądkowe bóle ostrzegawcze stają się coraz ostrzejsze.

Bakrish odezwał się:

– Jak wiesz, na Amel żyjemy w warunkach rozejmu ekumenicznego. Wywiad B-D objaśnił ci znaczenie tego faktu.

Orne ukrył zaskoczenie takim obrotem rozmowy.

Bakrish tłumaczył dalej:

– Musisz zrozumieć, że nie ma nic niezwykłego w tym, iż wyznaczono mnie na twojego guru.

– Dlaczego miałyby to być niezwykłe? – zdziwił się Orne.

– Jesteś wyznawcą Mahmuda, a ja jestem Hyndem i *Walim* pod bożą ochroną. Zgodnie z Rozejmem wszyscy służymy jednemu Bogu, który ma wiele imion. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem.

– Hyndowie i Ayrbowie mają długą tradycję wrogości – powiedział Bakrish. – Wiedziałaś o tym?

– Zdaje mi się, że gdzieś zetknąłem się z taką informacją – przyznał Orne. – Moim zdaniem wrogość prowadzi do przemocy, a przemoc do wojny. Złożyłem przysięgę, że będę zapobiegał takiemu rozwojowi wypadków.

– Chwalebne, bardzo chwalebne – zgodził się Bakrish. – Kiedy Emolirdo powiedział nam o tobie, musieliśmy cię oczywiście sprawdzić. I dlatego tu jesteś.

Zatem Stet miał rację, pomyślał Orne. Sekcja Psi szpieguje dla Amel.

– Przedstawiasz sobą fascynujący problem – stwierdził Bakrish.

Twarz Orne'a przybrała wyraz nieruchomej maski; szukał swą świeżo pobudzoną świadomością Psi uczucia, słabości, jakiegokolwiek śladu niebezpieczeństwa, które tu wyczuwał. Odezwał się:

– Myślałem, że jest to oczywiste, iż po prostu tu przybyłem w charakterze studenta.

– Nic nie jest naprawdę oczywiste – stwierdził Bakrish.

Gdy to mówił, Orne wyczuł, że jego poczucie bezpieczeństwa rozprasza się; dostrzegł, że kapłan spojrział ku drzwiom. Odwrócił się błyskawicznie i zauważył trzepoczącą szatę i obiekt na kołach, który właśnie się oddalał.

– Tak będzie lepiej – wytłumaczył Bakrish – oto namierzyliśmy fazę tensorową twojego urządzenia detonującego. Możemy go unicestwić, jeśli zechcemy, albo zniszczyć cię wraz z nim.

Orne z trudem opanowując wstrząs, zastanawiał się: Jakiego rodzaju bombę Emolirdo polecił lekarzom mi wszczepić? Zastanawiał się nad próbą usunięcia urządzenia z ciała siłą woli, ale wątpił, czy na Amel potrafi tego dokonać. Myśl o porażce wydała mu się groźniejsza niż czasowe pogodzenie się z sytuacją.

– Cieszę się – powiedział – że znaleźliście sobie jakieś zajęcie.

– Nie drwij – upomniał go Bakrish. – Nie chcemy cię zniszczyć.

Chcemy abyś korzystał z przymiotów, które ci dano. Dlatego je otrzymałeś i dlatego nauczono cię posługiwać się nimi.

Orne dwa razy głęboko odetchnął. Wyszkolenie Psi zatryumfowało w nim bez świadomego wysiłku woli. Skoncentrował się na wewnętrznym ognisku, by odzyskać spokój i spłynęło to na niego jak chłodny prysznic. Stał się zimny, baczny, spokojny i wyczulony na siły Psi. W jednej chwili różne myśli przemykały przez jego umysł. To nie był schemat wypadków, jakiego oczekiwał. Czy odosobniono go?

– Masz jakieś pytania? – zagadnął Bakrish.

Orne chrząknął.

– Tak. Czy pomożesz mi spotkać się z Abbodem Halmyrachim? Muszę się dowiedzieć, dlaczego Amel próbuje zniszczyć...

– Wszystko w swoim czasie – przerwał mu Bakrish.

– Gdzie mogę znaleźć Abboda?

– Kiedy przyjdzie czas, wasze spotkanie zostanie umówione. Jest on w pobliżu i śledzi bieg zdarzeń z wielkim zaciekawieniem, zapewniam cię.

– Jakich zdarzeń?

– Twoich ordaliów, oczywiście.

– Oczywiście. Kiedy spróbujecie mnie zniszczyć.

Bakrish wyglądał na zaintrygowanego.

– Wierz mi, młody przyjacielu, nie pragniemy spowodować twego zniszczenia. My po prostu podejmujemy konieczne środki ostrożności. Naszą uwagę przyciągają sprawy niebezpieczne.

– Powiedziałeś, że możecie mnie zniszczyć.

– Tylko w ostateczności. Musisz zrozumieć dwa podstawowe fakty: Ty chcesz dowiedzieć się czegoś o nas i my chcemy dowiedzieć się czegoś o tobie. Najlepszym sposobem osiągnięcia tego jest poddać się ordaliom. Naprawdę nie masz wyboru.

– Tak ty uważasz!

– Zapewniam cię.

– Mam więc dać się wam poprowadzić jak *grifka* na rzeź. Ina-

czej mnie zniszczycie.

– Krwawe myśli są tu naprawdę niestosowne – odparł Bakrish. – Spójrz na to jak ja. Interesująca próba.

– Ale tylko jeden z nas jest w niebezpieczeństwie.

– Byłbym innego zdania – stwierdził Bakrish.

Orne poczuł, że wypełnia go gniew. Dlatego wycierpiał odłożenie ślubu, zabiegi medyków, którzy, co bardzo prawdopodobne, działali pod kierunkiem zdrajcy B-D, dlatego przeszedł intensywny kurs Psi. Dlatego!

– Mam zamiar odkryć wasz słaby punkt – zazgrzytał zębami, spoglądając ponuro na Bakrishę. – A kiedy to zrobię, mam zamiar was zmiażdżyć.

Bakrish zbladł. Jego żółta skóra wyglądała niezdrowo. Przełknął ślinę, potrząsnął głową.

– To jedyny sposób, jaki znamy.

Orne poczuł zażenowanie z powodu swego wybuchu zuchwałości. Czego obawia się ten błazen? – pomyślał. On jest tu na miejscu kierowcy, a jednak moja groźba go przestraszyła. Dlaczego?

– Czy poddasz się ordaliom? – ośmielił się powtórnie zapytać Bakrish.

Orne odsunął się w krześle.

Powiedziałeś, że nie mam wyboru.

– To prawda, nie masz.

– Zatem poddam się. Ale ceną jest rozmowa z Abbodem!

– Oczywiście... jeśli przeżyjesz.

Rozdział 20.

Przychodzimy od Wszech-Jednego i wracamy do Wszech-Jednego. Jak moglibyśmy zachować coś przed Źródłem, które było, i Końcem, który jest?

Powiedzenia ABBODÓW

– On przybył, Wielebny Abbodzie – powiedział kapłan. – Jest teraz z nim Bakrish.

Abbod Halmyrach stał przy pulpicie do pisania, jego bose stopy opierały się na pomarańczowym dywaniku, który pasował kolorem do długiej szaty. Pokój, którego okno osłonięto żaluzjami przed pięknym słońcem Amel, wyglądał na ciemny i archaiczny. Słabe światło wydobywało się ze starożytnych kul jarzeniowych unoszących się w rogach pokoju. Ściany były drewniane, za plecami Abboda znajdował się kominek z pomarańczowymi węgielkami. Wąska twarz o długim nosie i cienkich wargach wyglądała spokojnie, ale Abbod był wyraźnie świadom, że znajduje się w swoim pokoju z oliwkowymi cieniami na ścianach; słyszał szuranie sandałów kapłana na podłodze poza dywanikiem, ciche trzaskanie ognia dogorywającego na kominku.

Kapłan zwany Macrithy, który składał doniesienie, należał do najbardziej zaufanych wyznawców Abboda, ale jego wygląd – długie czarne włosy z głębokimi bokobrodami otaczającymi okrągłą twarz, ciemne ubranie z wywróconym białym kołnierzem – niepokoił Abboda. Macrithy był zbyt podobny do historycznej ilustracji ze sprawozdań dotyczących Drugiej Inkwizycji. Nie można było jednak kwestionować religijnego stroju, który pojawił się w warunkach swobód Rوزهjmu Ekumenicznego.

– Wyczułem jego przybycie – powiedział Abbod. Odwrócił się do pulpitu; pisał piórem na papierze, gdyż kultywowanie obyczajów sprawiało mu przyjemność. – Zdaje się, że nie ma żadnych wątpliwo-

ści, że to on.

– Wykonał trzy kroki transcendencji – stwierdził Macrithy – ale nie ma pewności, że przeżyje ordalia i odkryje ciebie, który go powołałeś.

– Słowo „odkryć” ma wiele znaczeń – zauważył Abbod. – Czytałeś raport mojego brata?

– Czytałem Wielebny Abbodzie.

Abbod podniósł głowę znad swego pisanania.

– Widziałem małe zielone pudełko, wiesz. Widziałem je w wizji na chwilę przed pojawieniem się Shriggara. Widziałem też mojego brata i czułem transcendentalny wpływ na jego emocje, jaki wywarła ta chwila. Fascynuje mnie, jak dokładnie spełnia się przepowiednia, zgodnie ze słowami Shriggara. Ona idzie tropem jego słów, można by powiedzieć. – Wrócił do swego pisanania.

– Wielebny Abbodzie, gra wojenna, miasto ze szkła i czas polityków już minęły. Przystudiowałem twoje sprawozdanie z tworzenia boga. Teraz nastał dla nas czas strachu przed konsekwencjami naszego zuchwalstwa – oświadczył Macrithy.

– Ja się boję – powiedział Abbod, nie podnosząc wzroku.

– Wszyscy się boimy – powiedział Macrithy.

– Pomyśl tylko. – Abbod zamaszystym gestem postawił w piśmie znak przestankowy. – To nasza pierwsza istota ludzka! Z czym stykaliśmy się do tej pory – góra na Talies, Mówiący Kamień na Krinth, Mysi Bóg na Starej Ziemi, ożywione i nieożywione obiekty tego rodzaju. Teraz mamy naszego pierwszego ludzkiego boga.

– Byli też inni – zauważył Macrithy.

– Ale nie przez nas stworzeni!

– Możemy tego pożałować – mruknął Macrithy.

– Och, ja już żałuję – powiedział Abbod. – Ale teraz nie da się już tego zmienić, prawda?

Rozdział 21.

– Dzień jest krótki, praca wielka, a robotnicy leniwi, ale nagroda jest ogromna i nasz Mistrz przynagla nas do pośpiechu.

Pisma ABBODA HALMYRACHA

– To nazywa się „cela medytacji nad wiarą”, powiedział Bakrish wskazując pokój, którego drzwi otwierały się przed Orne’em. – Musisz wyciągnąć się na podłodze, płasko na plecach. Nie siadaj ani nie wstawaj, dopóki nie dam ci pozwolenia. To bardzo niebezpieczne.

– Dlaczego? – Orne pochylił się, przyglądając się bacznie pomieszczeniu.

Był to wysoki i wąski pokój. Ściany, podłoga i sufit wyglądały niczym biały kamień pokryty żyłami cienkich brązowych linii przypominających szlaki owadów. Jasnobiałe światło wydobywało się z nieokreślonego źródła; było jednostajne jak mleko i wypełniało pomieszczenie. W pokoju unosił się zapach grzyba i wilgotnego kamienia.

– To jest maszyna Psi wielkiej mocy – tłumaczył Bakrish. – Wyciągnięty na plecach jesteś stosunkowo bezpieczny. Daję ci na to moje słowo; widziałem rezultaty niedowiarstwa. – Wzruszył ramionami.

Orne chrząknął. Czuł chłód. Pustka w jego żołądka była jak rozdęta torba, ostrzegająca go o potwornym zagrożeniu. Odezwał się:

– A gdybym tak odmówił poddania się temu?

– Proszę – powiedział Bakrish. – Jestem tu, żeby ci pomóc. Bardziej niebezpieczne jest cofnąć się, niż iść naprzód. O wiele bardziej niebezpieczne.

Orne wyczuł szczerłość tych słów. Odwrócił się i napotkał błagalne spojrzenie ciemnych oczu kapłana.

– Proszę – powtórzył Bakrish.

Orne zaczerpnął tchu i wszedł do celi. Poczuł lekkie osłabienie

sygnału zagrożenia, który jednak pozostał silny i natrętny.

Wyciągnął się na podłodze. Kamień mroził jego plecy przez grubą togę.

– Kiedy już zacząłeś swoje ordalium – mówił dalej Bakrish – pozostaje ci przez nie przejść. Pamiętaj o tym.

– Czy ty przez to przeszedłeś? – spytał Orne. Czuł się dziwnie głupio, tak wyciągnięty na podłodze. Stojący w drzwiach Bakrish, widziany pod kątem, wydawał się wysoki i potężny.

– Ależ oczywiście – potwierdził.

Jeśli Orne mógł mieć zaufanie do świadomości Psi, to wykrył, jak mu się zdawało, głęboką sympatię w postawie emocjonalnej kapłana.

– Jaki będzie koniec tego ordalium? – spytał.

– To każdy musi odkryć sam.

– Czy naprawdę większe niebezpieczeństwo stanowi wycofanie się teraz? – zapytał się Orne. Uniósł się na łokciu. – Myślę, że po prostu używacie mnie do jakiegoś eksperymentu.

Od Bakrish napłynęło poczucie żalu.

– Kiedy uczony widzi – powiedział – że eksperyment się nie udał, nic nie przeszkadza mu kontynuować próby... przy użyciu nowego sprzętu. Ty naprawdę nie masz wyboru. Teraz ułóż się płasko na plecach; tak będzie najbezpieczniej.

Orne wykonał polecenie.

– No to miejmy to za sobą – powiedział.

– Jak rozkażesz – odparł Bakrish. Cofnął się, a drzwi zniknęły. Nie pozostał po nich ślad.

Orne poczuł, że zaschło mu w gardle; uważnie przyjrzał się celi. Miała około czterech metrów długości, dwóch szerokości i jakieś dziesięć wysokości. Upstrzony sufit rozmywał się, sprawiając wrażenie wyższego, niż był. Białe oświetlenie mogło mieć na celu oszołomienie zmysłów.

Prekognicyjne ostrzeżenie trwało w nim niczym pełne napięcia przypomnienie groźby.

Nagle pokój wypełnił się głosem Bakrisha, grzmiącym z nieokreślonego źródła. Głos był wszędzie, wokół i wewnątrz Orne'a.

– Jesteśmy w maszynie Psi – mówił Bakrish. – Otacza cię ona. Ordalium, któremu się poddajesz, jest starożytne, a także surowe. Ma ono sprawdzić jakość twojej wiary. Porażka *oznacza* utratę życia, utratę duszy... albo jedno i drugie.

Orne zacisnął pięści. Dłonie miał lepkie od potu. Poczul gwałtowny wzrost aktywności Psi. *Wiara?*

Przypomniał sobie swoje ordalium w kokonie ochronnym i sen, który go kiedyś dręczył. „Bogowie nie rodzą się, bogów się tworzy.” W kokonie ochronnym odbudował swoje istnienie, wracając ze śmierci, odrzucając stare nawyki i stare senne koszmary.

Próba wiary?

W cóż on mógł wierzyć? W siebie? Przypomniał sobie czas w kokonie i swoje zwątpienie. Wątpił w B-D, a wtedy burzyła się świadomość. Gdzieś we wnętrzu wyczuwał starożytną funkcję, istnienie archaicznych skłonności.

Pamiętał swoją jednoznaczną definicję egzystencji: „Jestem bytem. Istnieję. To wystarczy. Sam sobie daję życie.”

To było coś, co trzeba przyjąć na wiarę.

Głos Bakrisha znowu zagrzmiął w celi:

– Zanurz swoją tożsamość w mistycznym strumieniu, Orne. Czego miałbyś się bać?

Orne wyczuł ogniskujące się w nim naciski Psi; wszystkie dowodziły głębokiego i ukrytego zamiaru. Odezwał się:

– Wolę wiedzieć, dokąd idę, Bakrish.

– Czasami idziemy po to, żeby iść – odparł Bakrish.

– Wariactwo!

– Kiedy naciskasz kontakt, który włącza światło w pokoju, działasz zgodnie z wiarą – powiedział Bakrish. – Masz wiarę, że zapali się światło.

– Ja wierzę w doświadczenia przeszłości – powiedział Orne.

– A co z pierwszym razem, kiedy nie było poprzednich doświadczeń?

czeń?

– Pewnie byłem zaskoczony.

– Czy posiadasz świadomość każdego doświadczenia dostępnego ludzkości? – spytał Bakrish.

– Chyba nie.

– Przygotuj się zatem na niespodzianki. Muszę ci teraz powiedzieć, że w twojej celi nie istnieje żaden mechanizm oświetlający. Światło, które widzisz, istnieje dlatego, że ty tego pragniesz i tylko dlatego.

– Co...

Ciemności zalały pokój, ciemności otchłani, obezwładniające zmysły. Prekognicyjna świadomość zagrożenia uderzyła na alarm.

W ciemnościach rozległ się ochrypły szept Bakrisha:

– Miej wiarę, mój uczniu.

Orne zdławił w sobie niecierpliwe pragnienie, by zerwać się, rzucić w stronę drzwi i zaatakować je. Musiały tu być drzwi! Wyczuł jednak, że ostrzeżenie kapłana było trzeźwe i stanowcze. Ucieczka groziła śmiercią. Nie było odwrotu.

Przyćmiony blask pojawił się wysoko pod sufitem i sphywał spiralnym ruchem na Orne'a. Światło? To nie spełniało definicji światła, ale zdawało się żyć własnym życiem dzięki istnieniu wewnętrznego źródła blasku.

Orne podniósł rękę do oczu. Widział tylko jej zarys na tle blasku. Promieniowanie nie oświetliło celi. Poczucie nacisku rosło z każdym uderzeniem serca.

Pomyślał: Zrobiło się ciemno, kiedy zwątpiłem.

Czy mleczne światło, które było poprzednio w celi, wyobrażało przeciwieństwo ciemności, lęk przed ciemnością?

Nierzucający cienia blask rozprzestrzenił się po całej celi, był jednak ciemniejszy niż na początku, a w miejscu źródła mglistego światła pod sufitem, kotłował się ciemny obłok. Obłok przyzywał niczym zewnętrzna ciemność najgłębszej otchłani.

Orne, przerażony, wpatrywał się w obłok.

Wróciła obezwładniająca zmysły ciemność.

I znowu pod sufitem rozbłysło przyćmione promieniowanie.

Prekognicyjny strach wył w jego wnętrzu. Orne zamknął oczy, chcąc odsunąć strach i skoncentrować się. Strach ustąpił. Orne gwałtownie otworzył oczy.

Strach!

Widmowy blask zbliżył się. Zamknąć oczy!

Poczucie nadciągającego niebezpieczeństwa ustąpiło.

Pomyślał: Strach równa się ciemności. Ciemność przyzywa nawet, gdy jest światło. Uspokoił rytm oddechu i skoncentrował się na wewnętrznym ognisku. Wiara? Czy to oznacza ślełą wiarę?

Strach sprowadzał ciemność. Czego oni od niego chcieli?

Istnieją. To wystarczy.

Zmusił się do otwarcia oczu i wbił wzrok w pozbawioną światła próżnię celi. Niebezpieczny błysk podpełzał. Nawet w zupełnej ciemności było fałszywe światło. Nie to światło prawdziwe, ponieważ nie mógł przy nim widzieć. To było antyświatło. Mógł wykryć jego obecność wszędzie, nawet w ciemności.

Orne przypomniał sobie czasy odległego dzieciństwa na Char-gon, nocne ciemności w jego własnej sypialni. Księżycowe cienie zmieniały się w potwory. Szczelnie zaciskał powieki, bojąc się, że mógłby zobaczyć rzeczy zbyt straszne, aby się im przypatrywać.

Fałszywe światło.

Spojrzał w górę, na spływające spiralnie promieniowanie. Czy fałszywe światło równa się fałszywej wierze? Promieniowanie zwijało się z powrotem ku swemu źródłu. Czy zupełna ciemność równa się pełnemu brakowi wiary?

Promieniowanie zniknęło.

Czy wystarczy, że mam wiarę w swoje własne istnienie? – zastanawiał się Orne.

Cela pozostawała w ciemna i niebezpieczna. Czuł wilgoć kamienia. W ciemności zagościły ukradkowe dźwięki – szurania pazurów, gwizdy i zgrzyty, szmery i piski. Orne oblekał te dźwięki we wszyst-

kie przerażające kształty, jakie podsuwała mu wyobraźnia: jadowite jaszczurki, bestie z koszmarów, śmiercionośne węże, pełzające istoty o zagiętych zębach. Obejmowało go ponure zagrożenie. Leżał przytłoczony.

W ciemności odezwał się ochryply głos Bakrisha:

– Czy masz otwarte oczy, Orne?

Wargi Orne'a drżały, gdy odpowiadał:

– Tak.

– Co widzisz?

Pytanie przywołało obraz, który igrał przed nim na czarnym poiu. Widział Bakrisha w niesamowitym świetle, jego twarz wykrzywiona była bólem, ciało wiło się i wykręcało...

– Co widzisz? – nalegał Bakrish.

– Widzę ciebie. Widzę ciebie w piekle Saduna.

– W piekle Mahmuda?

– Tak. Dlaczego to widzę?

– Czy nie wolisz światła, Orne? – W głosie Bakrisha brzmiało przerażenie.

– Dlaczego widzę ciebie w piekle, Bakrish?

– Błagam cię Orne! Wybierz światło. Miej wiarę!

– Ale dlaczego ja ciebie widzę w...

Orne przerwał, porwany odczuciem, że coś wpatruje się w jego wnętrze z niezwykłą rozważą. To kontrolowało jego myśli, badało procesy życiowe i każde niewypowiedziane pragnienie, analizowało jego duszę i opisywało ją.

Utrzymał się nowy rodzaj świadomości. Orne wiedział, że gdyby tego zechciał, Bakrish znalazłby się w piekle najgłębszych tortur z sennych widzeń Mahmuda.

Wystarczyłoby tego zechcieć.

Czemu nie? – spytał samego siebie.

I znowu: Dlaczego?

Kim był, żeby podejmować taką decyzję? Czy Bakrish zasłużył na wieczną nienawiść Mahmuda? Czy to Bakrish postanowił znisz-

czyć B-D? Bakrish był narzędziem, zwykłym kapłanem. Abbod Halmyrach jednak...

Jęki i zgrzytanie wypełniły celę. Z ciemności nad Orne'em wystrzeliły język ognia, ognista lanca rzucająca diabelski blask na ściany celi.

Prekognicyjne ostrzeżenie dało o sobie znać pustką w żołądku.

Kto był właściwym celem fanatycznej przemocy Mahmuda? Czy gdyby zdecydował się na to żądanie, uderzyłoby ono tylko jeden cel? A co by się stało z tym, który wyraził żądanie? Czy możliwy był podmuch powrotny?

Czy dołączę do Abboda w piekle?

Orne był pewien, że w tej chwili może zrobić rzecz groźną i diabelską. Mógł skazać bliźniego na wieczną agonię.

Którego człowieka i dlaczego?

Czy posiadanie jakiejś zdolności upoważnia do posługiwania się nią? Poczuł wzburzenie chwilową pokusę, żeby to zrobić. Żaden człowiek na to nie zasłużył. Nikt na to nie zasłużył.

Istnieję, pomyślał. To wystarczy. Czy boję się siebie samego?

Tańczący płomień zniknął. Porzucił ciemność z jej gwiazdami, szmerami, zgrzytami.

Orne poczuł, że jego paznokcie drżąc uderzają o podłogę. Nagle zdał sobie z tego sprawę. Kły! Unieruchomił dłonie i roześmiał się głośno, kiedy szczęk się skończył. Poczuł, że jego stopy drżą w bezwolnym pragnieniu ucieczki. Unieruchomił stopy. Groźne szmery ucichły.

Pozostało tylko pogwizdywanie.

Uświadomił sobie, że jego własny oddech toruje sobie drogę przez zaciśnięte zęby.

Wstrząsnął nim śmiech.

Światło!

Jaskrawe światło rozbłysło w celi.

Z nagłą przewrotnością Orne odrzucił światło i wróciła ciemność – ciepła i cicha ciemność.

Rozumiał, że otaczająca go maszyna Psi reaguje na jego najgłębsze życzenia, na życzenia nieograniczone przez wątpiącą świadomość, na życzenie, w które wierzył.

Istnieją.

Mógł mieć światło na życzenie, ale wybrał ciemność. W chwili nagłego spadku napięcia Orne, ignorując ostrzeżenie Bakrisha, powstał. Leżenie na plecach ułatwiło mu rozumienie własnej najbardziej wewnętrznej bierności, założeń i aksjomatów, które jak chmura spowijały jego istnienie. Te chmury ulotniły się teraz. Orne uśmiechnął się w ciemność, zawołał:

– Bakrish, otwórz drzwi.

Impuls Psi przeniknął we wnętrze Orne'a powoli i niezgrabnie. Rozpoznał w nim Bakrisha.

– Widzisz, że mam wiarę – powiedział Orne. – Otwieraj.

– Sam otwórz – odpowiedział Bakrish.

Celę wypełnił jakby szmer piasku. Światło wlało się do wnętrza z boku, kiedy otworzyła się cała ściana. Orne spojrzał na Bakrisha, na jego okolony światłem cień niczym odziana w szatę statua.

Hynd ruszył naprzód; zatrzymał się nagle, gdy zobaczył, że Orne stoi w ciemności.

– Czy nie wołałeś światła, Orne?

– Nie.

– Ty stoisz niepomny na moje ostrzeżenie. Musiałeś zrozumieć próbę.

– Zrozumiałem – powiedział Orne. – Maszyna Psi posłuszna jest mojej nieograniczonej woli. To jest wiara, nieograniczona wola.

– Rozumiesz i mimo to wybierasz ciemność?

– Niepokoi cię to, Bakrish?

– Tak.

– W pewnej chwili uznałem to za użyteczne – rzekł Orne.

– Rozumiem. – Bakrish pochylił ogoloną głowę. – Dziękuję ci za to, żeś mnie oszczędził.

– Wiesz o tym? – Orne był zaskoczony.

– Czuję płomienie i żar. Wąchałem swąd. Wyczuwałem wrzaski własnej agonii. – Bakrish potrząsnął głową. – Życie guru na Amel nie jest łatwe. Istnieje zbyt wiele możliwości.

– Byłeś bezpieczny – powiedział Orne. – Ograniczałem swoją wolę.

– W tym leży najbardziej oświecony poziom wiary – mruknął Bakrish. Podniósł ręce, złożył dłonie i jeszcze raz pokłonił się przed Orne'em.

Orne wyszedł z ciemnej celi.

– Czy to już koniec moich ordaliów?

– Och to był tylko wstępny krok – powiedział Bakrish. – Jest siedem stopni: próba wiary, próba cudu i jego dwóch twarzy, próba dogmatu i ceremonii, próba etyki, próba religijnego ideału, próba służby życiu i próba osobistej mistyki. Nie zawsze następują w tym porządku, a czasami nie są wyraźnie rozdzielone.

Orne poczuł ożywienie, prekognitywna świadomość zagrożenia ustąpiła.

– No to zabierajmy się do tego – powiedział.

Bakrish westchnął i rzekł:

– Niech mnie broni Święty Rama. Bardzo dobrze, dwie twarze cudu, to będzie następne.

Poczucie zagrożenia znowu odżyło. Usiłował zignorować je, myśląc: Mam wiarę w siebie. Mogę pokonać strach.

Rzucił gniewnie:

– Im szybciej przez to przebrniemy, tym szybciej zobaczę Ab-boda. Oto, dlaczego tu jestem.

– Czy to jedyny powód? – spytał Bakrish.

Orne zawahał się.

– Oczywiście, że nie. Ale to on naciska na B-D. Kiedy rozwiązę wszystkie nasze zagadki, będę musiał jeszcze rozwiązać tę ostatnią.

– On jest tym, który ciebie powołał, to prawda – stwierdził Bakrish.

– Myślałem o posłaniu go do piekła – wyznał Orne.

Bakrish zbladł.

– Abboda?

– Tak.

– Niech nas broni Rama!

– Niech cię broni Lewis Orne – odparł. – Idźmy dalej.

Rozdział 22.

Schemat masowej śmiertelnej nienawiści, zjawisko, które nazywamy wojną, opiera się na syndromie winy-strachu-nienawiści, który podobnie jak choroba przekazywany jest przez uwarunkowania społeczne. Chociaż brak odporności na tę chorobę to rzecz bardzo ludzka, jednak sama choroba nie jest koniecznym ani naturalnym warunkiem ludzkiego istnienia. Wśród uwarunkowanych wzorów, które przekazują wirusa wojny, znajdują się następujące: usprawiedliwianie błędów przeszłości, przeświadczenie o własnej prawości i potrzeba utrzymania tych uczuć...

UMBO STETSON,

Wykłady w Kolegium Antywojennym

Bakrish zatrzymał się na końcu długiego korytarza, którym przyprowadził Orne'a, przy ciężkich drzwiach z brązu. Kapłan przekręcił zdobioną gałkę w kształcie słońca z długimi promieniami. Pchnął drzwi barkiem, a one otwały się, skrzypiąc.

– Zwykle nie chodzimy tędy. Te dwie próby rzadko następują po sobie w jednym ordalium – wyjaśnił.

Orne przeszedł przez drzwi za Bakrishem i znalazł się w gigantycznym pomieszczeniu. Kamienne i plastretowe ściany zbiegały się w sklepienie wysoko nad ich głowami. Wąskie okna na wysokim zagłębieniu sklepienia przepuszczały wąskie snopy światła, które u dołu połyskiwały złotym pyłem. Wzrok Orne'a prześledził drogę promieni do miejsca, w którym skupiały się na prostej barierze ściany, wysokiej na dwadzieścia i długiej na czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów. Ściana była odcięta i jakby niedokończona pośród ogromnego pomieszczenia, którego rozległość sprawiała, że wyglądała niepozornie.

Bakrish zamknął ciężkie drzwi. Skinął głową w stronę ściany działowej.

– Chodźmy tam. – Poprowadził. Orne szedł za nim.

Stukot ich sandałów odbijał się dziwnie opóźnionym echem. Zapach wilgotnego kamienia wypełniał goryczą nozdrza Orne'a. Spojrzał na lewo i zobaczył drzwi rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż krawędzi sali. Drzwi z brązu wyglądały identycznie jak te, którymi weszli. Popatrzył przez ramię, usiłując odnaleźć ich drzwi. Zgubiły się w kręgu im podobnych.

Bakrish zatrzymał się w odległości około dziesięciu metrów od środka dziwnej przegrody. Orne stanął przy nim. Powierzchnia ściany wyglądała na zrobioną z gładkiego szarego plastretu – była czysta, ale groźna. Orne poczuł, że prekognicyjny lęk rośnie w miarę wpatrywania się w ścianę. Strach pulsował, następując i cofając się jak fale na plaży. Emolirido interpretował to jako „Nieskończone możliwości w sytuacji zasadniczo groźnej”.

Co w tej nagiej ścianie wywoływało takie ostrzeżenie?

Bakrish spojrzał na Orne'a.

– Czyż nie jest prawdą, mój uczniu, że należy słuchać rozkazów przełożonych? – Głos kapłana rozbrzmiał pustym echem w bezmiarze sali.

Orne zakaszłał przez zaschnięte gardło.

– Jeśli rozkazy są sensowne, a ci, co je wydają, są naprawdę zwierzchnikami, myślę że tak. Dlaczego pytasz?

– Orne, przybyłeś tu jako szpieg, jako agent B-D. Zgodnie z tym wszystko, co stanie się tutaj z tobą, jest sprawą twoich przełożonych, nie naszą.

– Do czego zmierzasz?

Na czole Bakrisha połyskiwał pot. Spojrzał na Orne'a; jego ciemne oczy lśniły.

– Te maszyny przerażają nas czasami, Orne. W sensie absolutnym są one nieobliczalne. Każdy, kto znajdzie się w obrębie ich pola, może stać się obiektem podporządkowania ich mocy.

– Podobnie jak tam, gdzie zawiśliśmy na krawędzi piekła?

– Tak. – Bakrish wzdrygnął się.

– Ale ciągle chcesz, żebym przez to przeszedł?

– Musisz. To jedyny sposób, w jaki możesz wypełnić to, po co zostałeś tu przysłany. Nie mógłbyś się zatrzymać, nie chcesz się zatrzymać. Koło Wielkiej Mandali obraca się.

– Nie zostałem tu przysłany – odrzekł Orne. – To Abbod mnie powołał. Ja was interesuję, Bakrish. Inaczej nie byłbyś tu razem ze mną. Gdzie twoja wiara?

Bakrish złożył dłonie, ustawił je przed nosem i pokłonił się.

– Uczeń poucza guru.

– Dlaczego dajesz wyraz tym obawom? – spytał Orne.

Bakrish opuścił ręce.

– Dlatego, że ciągle podejrzewasz i boisz się nas. Jestem odbiciem twoich własnych obaw. To uczucie prowadzi do nienawiści. Zobaczyłeś to przy swojej pierwszej próbie. Ale w próbie, której masz poddać się teraz, nienawiść stanowi najwyższe niebezpieczeństwo.

– Dla kogo, Bakrish?

– Dla ciebie, dla wszystkich, na których możesz wpływać. Z tej próby wynosi się rzadkiego rodzaju zrozumienie, ponieważ jest to...

Przerwał, gdy za ich plecami rozległ się odgłos przesuwania. Orne odwrócił się i zobaczył dwóch akolitów ustawiających naprzeciw ściany ciężkie krzesło o prostokątnych oparciach. Rzucili zaleknione spojrzenia na Orne'a i oddalili się w stronę drzwi.

– Boją się mnie – zauważył Orne, wskazując drzwi, w których zniknęli akolici. – Czy to znaczy, że mnie nienawidzą?

– Trwają w bojaźni przed tobą – wyjaśnił Bakrish. – Są gotowi złożyć ci hołd. Ciężko byłoby mi wyrazić, ile bojaźni i hołdu zawiera się w stłumionej nienawiści.

– Rozumiem.

– Ja tu po prostu wykonuję rozkazy, Orne – powiedział Bakrish. – Błagam cię, żebyś nie czuł do mnie ani do nikogo innego nienawiści w czasie tej próby.

– Dlaczego ci dwaj trwają w bojaźni przede mną i gotowi są składać mi hołd? – zapytał Orne, ciągle wpatrując się w drzwi, gdzie

zniknęli okolicy.

– Rozeszły się wieści o tobie – mówił Bakrish. – Oni znają tę próbę. Jest w nią wpleciona materia naszego wszechświata. Wiele rzeczy waży się, kiedy wchodzi w grę potencjalne siedlisko Psi. Możliwości są nieskończone.

Orne próbował wysondować motywy Bakrish'a. Kapłan widocznie to wyczuł.

– Jestem przerażony. Czy to chciałeś usłyszeć? – zapytał.

– Dlaczego?

– Podczas moich ordaliów, ta próba omal nie okazała się śmiertelna. Oddzieliłem rdzeń nienawiści. To miejsce nawet teraz przyprawia mnie o drżenie serca. – Wzdrygnął się.

Orne zauważył, że lęk kapłana jest niepewny.

– Uznałbym to za zaszczyt, gdybyś zechciał pomodlić się teraz ze mną – poprosił Bakrish.

– Do kogo? – spytał Orne.

– Do jakiegokolwiek siły, w którą wierzymy – odparł Bakrish. – Do nas samych, do Jedynego Boga, do siebie nawzajem. To nie ma znaczenia, pomaga tylko w modlitwie.

Bakrish złożył dłonie, pochylił głowę. Po chwili wahania Orne zrobił to samo.

Rozdział 23.

Co jest najlepszego: dobry przyjaciel, dobre serce, dobre oko, dobry sąsiad, dobra żona czy rozumienie skutków? Nic z tych rzeczy. Ciepła i wyczulona dusza, która zna wartość wspólnoty i cenę osobistej godności – to jest najlepsze.

BAKRISH, jako student do swego guru.

– Dlaczego wybrałeś Bakrisha na jego przewodnika w ordaliach? – spytał Abboda Macrithy.

Znajdowali się w pracowni Abboda; Macrithy właśnie wrócił, by donieść o tym, że Orne przeszedł pierwszą próbę. W pokoju unosił się zapach siarki. Macrithy odczuwał uciążliwe gorąco, choć płomień na kominku zgasł.

Abbod pochylił głowę nad pulpitem do pisania; mówił nie odwróciwszy się i nie licząc się z tym, że Macrithy pragnął tego zaszczytu.

– Wybrałem Bakrisha ze względu na coś, co powiedział mi jako mój student – mruknął Abbod. – Wiesz, że są chwile, kiedy nawet bóg potrzebuje przyjaciela.

– Co to za zapach? – spytał Macrithy. – Czy paliłeś czymś niezwykłym w kominku, wielbny Abbodzie?

– Próbowałem własną duszę w ogniu piekielnym – odparł Abbod tonem świadomie zdradzającym niezadowolenie. – Módl się za mnie, mój drogi przyjacielu, módl się za mnie – dodał, aby złagodzić wrażeńie niezadowolenia.

Rozdział 24.

Nauczyciel, który nie uczy się od swoich studentów, nie naucza. Student, który drwi z prawdziwej wiedzy swego nauczyciela, jest podobny wybierającemu niedojrzałe winogrona i gardzącemu słodkimi gronami, którym dane było dojrzeć w swoim czasie.

Porzekadła ABBODÓW

– Musisz usiąść na tym krześle – powiedział Bakrish, kiedy skończyli się modlić.

Wskazał krępy, brzydki kształt naprzeciwko ściany.

Orne spojrział na krzesło, zauważył odwróconą, metaliczną czaszę zawieszoną nad siedzeniem. W krześle tym kryły się napięcia przedwiedzy. Poczuł, że serce bije mu mocniej.

– Czasami idziemy po to, żeby iść. – Słowa te rozbrzmiewały w jego pamięci; zastanawiał się, kto je wypowiedział. Wielkie koło obracało się.

Orne podszedł do krzesła i usiadł.

Natychmiast wyczuł, że sygnał niebezpieczeństwa wzrasta do maksimum. Z ukrytych w krześle otworów wyskoczyły metaliczne taśmy, opięły jego ramiona, otoczyły pierś i nogi. Napiął mięśnie, szarpnął się.

– Nie walcz – ostrzegł Bakrish. – Nie możesz uciec.

– Dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że zostanę przymocowany? – zażądał wyjaśnień Orne.

– Nie wiedziałem. Naprawdę. Krzesło jest częścią maszyny Psi i poprzez ciebie żyje swym własnym życiem. Proszę, Orne, błagam cię jak przyjaciela: nie walcz, nie żyw do nas nienawiści. Nienawiść wielokrotnie zwiększa niebezpieczeństwo. Mogłoby spowodować twoją klęskę.

– Pociągając w otchłań ciebie wraz ze mną?

– Bardzo prawdopodobne – zgodził się Bakrish. – Nikt nie może uciec przed konsekwencjami swej nienawiści. – Rozejrzał się po wielkim pomieszczeniu. – Ja kiedyś nienawidziłem w tym miejscu. – Westchnął, stanął za krzesłem i przesunął odwróconą czaszę, tak że znalazła się nad głową Orne’a. – Nie ruszaj się gwałtownie i nie próbuj się wyrwać. Mikrowłókniste sondy tej czaszy sprawią ci wielki ból, jeśli to zrobisz.

Bakrish opuścił czaszę.

Orne poczuł, że coś dotyka jego skóry na głowie i wielu miejscach; było to uczucie łaskotania i mrowienia.

– Co to jest? – spytał, a własne słowa odbiły się w uszach dziwnym echem. Nagle zastanowił się: Dlaczego przez to wszystko idę? Dlaczego ufam im na słowo?

– To jedna z wielkich maszyn Psi – powiedział Bakrish. Poprawił coś z tyłu krzesła. Metal szczęknął. – Czy widzisz tę ścianę przed sobą?

Orne wpatrywał się przed siebie spod krawędzi czaszy.

– Tak.

– Obserwuj ścianę – rozkazał Bakrish. – Ona może przedstawiać twoje najbardziej utajone pragnienia. Za pomocą tej maszyny możesz sprawdzić cuda. Przywoływać zmarłych, czynić wiele dziwów. Możesz znaleźć się na krawędzi głębokiego doświadczenia mistycznego.

Orne spróbował przełknąć ślinę przez zaschnięte gardło.

– Gdybym zechciał, aby pojawił się mój ojciec, czy to by się stało?

– Czy on nie żyje?

– Tak.

– Zatem to może się zdarzyć.

– Czy byłby to naprawdę mój ojciec, żywy... we własnej osobie?

– Tak. Ale pozwól się przestrzec. To co zobaczysz, to nie będą halucynacje. Jeśli uda ci się przywołać zmarłego, przywołasz osobę nieżyjącą i... coś więcej.

Orne poczuł swędzenie i łaskotanie pod prawym ramieniem. Miał wielką ochotę podrapać się.

– Co masz na myśli, mówiąc: więcej?

– To frapujący paradoks – wyjaśnił Bakrish. – Każde stworzenie przedstawione dzięki twojej woli będzie obdarzone twoją psychiką na równi z własną. Jego substancja zderzy się z twoją w sposób, którego nie da się przewidzieć. Wszystkie twoje wspomnienia dostępne będą również każdej żywej istocie, którą przywołasz.

– Moje wspomnienia? Ale...

– Posłuchaj mnie, Orne. To ważne. W niektórych wypadkach twój twór może w pełni rozumieć swoją dwoistość. W innych z miejsca odrzuci twoją połowę swego jestestwa. Może być niezdolny do pogodzenia się z tą zależnością. Niekiedy może nawet utracić czucie.

Orne czuł lęk w słowach Bakrishy; wyczuwał, że tamten mówi szczerze, i pomyślał: On w to wierzy. Nie oznaczało to, że wszystko jest prawdą w słowach kapłana, ale dodawało im szczególnej wagi.

– Dlaczego muszę być przymocowany do tego krzesła? – spytał Orne.

– Nie jestem pewien. Zapewne chodzi o to, żebyś nie uciekł przed samym sobą. – Bakrish położył mu rękę na ramieniu, delikatnie je ściskając. – Teraz muszę wyjść, ale będę się za ciebie modlił. Niech cię prowadzą łaska i wiara.

Orne usłyszał szelest szaty, kiedy kapłan się oddalał. Drzwi zamknęły się z hukiem, który rozpląnął się po gigantycznej sali. Uczucie nieskończonej samotności przeniknęło Orne'a.

Dało się słyszeć ciche brzęczenie, niczym daleki szum pszczoły. Wzmacniacz Psi w szyi Orne'a szarpnął boleśnie; poczuł wokół siebie wybuch sił Psi. Ściana ożyła nagle, stała się szklista i ciemnozielona. Zaroiła się od opalizujących, purpurowych linii. Wiły się i skręcały jak niezliczone błyszczące robaki uwięzione w lepkim, zielonym akwarium.

Orne oddychał nierówno. Poraził go strach. Pełzające czerwone linie wzbudzały hipnotyczną fascynację. Wydawało się, że niektóre z

nich odrywają się od ściany i płyną w jego kierunku. Na chwilę wśród linii rozblysnął obraz twarzy Diany. Orne próbował utrzymać ten obraz, zobaczył jednak, że się roztopia.

Nie chcę, żeby była w tym niebezpiecznym miejscu, pomyślał.

Szpetne kształty wiły się po ścianie. Nagle ułożyły się w zarys Shriggara, piłozębego jaszczura, którym chargońskie matki straszyły swoje dzieci. Obraz stawał się coraz bardziej cielesny. Widać już było żółte płytki i oczy na słupkach.

Czas włókł się powoli i uciążliwie. Orne wrócił myślą do dzieciństwa na Chargon, do wspomnień lęków, ale powiedział sobie: Przecież już wówczas Shriggary były wytępione. Mój prapradziadek widział ostatniego przedstawiciela gatunku.

Wspomnienia trwały uparcie, wciągając go w długi korytarz pełen pustych odgłosów, które tworzyły atmosferę szaleństwa i narkotycznych szmerów. Dalej... dalej... dalej... Przypomniawszy sobie dziecięcy śmiech, kuchnię, matkę jako młodą kobietę. Miał trzy lata i wpadł właśnie do domu, jękając się z przerażenia, że zobaczył Shriggara w głębokim cieniu skalistego wąwozu.

Śmiejące się dziewczyny! Znienawidzone małe dziewczyny!

– On myśli, że zobaczył Shriggara!

– Cicho bądźcie.

Rozbawienie było nawet w głosie matki. Teraz to rozumiał.

Ciało Shriggara wybrzuszyło się na zielonej ścianie. Jedna z pazurzystych łap stanęła na podłodze. Wyszedł cały ze ściany. Był dwukrotnie większy od człowieka, umieszczone na słupkach oczy przesuwają się na prawo i lewo...

Orne oderwał się od wspomnień, poczuł pulsujący ból, gdyż ruchem głowy pobudził sondy mikrowłókniste.

Pazury zastukały po podłodze: to Shriggar zrobił trzy badawcze kroki w jego kierunku.

Orne poczuł w ustach cierpki smak przerażenia. Pomyślał: Takie stworzenie polowało na moich przodków. Panika została zapisana w genach. Zrozumiał to, kiedy skupił wszystkie zmysły na koszmarnym

jaszczurze.

Żółte łuski zgrzytały przy każdym oddechu zwierzaka. Wąska, ptasia głowa kręciła się na boki, zniżala. Podobna do dzioba paszcza otwarła się, ukazując rozdwojony język i piłopodobne zęby.

Pierwotny instynkt wcisnął Orne'a w krzesło. Wyczuwał smrodliwą woń stworzenia – mdławo-słodkawą, z domieszką zapachu kwaśnej śmietany i bagna.

Shriggar podrzucił głowę i kaszlnął:

– Czark! – Słupkowate ślepia poruszyły się i skierowały na Orne'a. Opatrzona pazurami łapa podniosła się i ruszyła w stronę uwięzionego na krześle człowieka. Jednym susem zwierzę przesunęło się o cztery metry. Jaszczur przechylił łeb na bok, przyglądając się Orne'owi.

Zwierzęcy odór zjawy omal nie zagłuszył jego zmysłów. Wpatrywał się w nią, czując jednocześnie bolesny ucisk w piersi pod badawczym spojrzeniem bestii.

Zielona ściana za Shriggarem ciągle roiła się opalizujących purpurowych linii. Ich ruch stanowił rozmyte tło wizji. Orne nie mógł oderwać uwagi od jaszczura. Shriggar ośmielił się podejść bliżej i Orne poczuł zapach bagna i szlamu w jego oddechu.

To musi być halucynacja, powiedział sobie. Nie dbam o to, co mówi Bakrish: To jest halucynacja. Shriggary wyginęły. Gdy jaszczur poruszał dziobem, przemknęła mu przez głowę inna myśl: Kapłani z Amal mogli hodować okazy zoologiczne. Kto wie, co robiono tutaj w imię religii?

Shriggar przechylił głowę w drugą stronę; słupkowate oczy znalazły się w odległości metra od twarzy Orne'a.

Na zielonej ścianie pojawiły się inne kształty. Przyjrzał się nowemu obrazowi.

Dwójka dzieci w kusych fartuszkach wyskoczyła z kamiennej ściany. Ich głosy odbijały się echem, a dziecięcy chichot rozbrzmiewał w pustce sklepionej sali. Jedno dziecko wyglądało na pięć lat, drugie było nieco starsze – zapewne osiem lat. Solidna budowa ciała

zdradzała ich chargońskie pochodzenie. Starsze dziecko miało wiaderko i łopatkę. Zrobiły kilka kroków, rozglądając się i nagle umilkły zmieszane.

Młodsze odezwało się:

– Maddie, gdzie my jesteśmy?

Na ten dźwięk Shriggar odwrócił głowę i skierował słupki oczu w stronę dzieci.

Starsze dziecko zapiszczało.

Shriggar odwrócił się błyskawicznie, ruszył swymi potężnymi susami, aż zastukały pazury.

Z przeraźliwym wstrząsem Orne rozpoznał dzieci: były to jego dwie siostry, te same, które śmiały się z jego przeraźliwych krzyków owego odległego dnia. Wyglądało na to, że powołał tę scenkę z przeszłości do istnienia tylko po to, aby dać wyraz nienawiści, ściągając na dzieci coś, z czego się wyśmiewały.

– Uciekajcie! – wrzasnął. – Uciekajcie!

Ale dzieci nie mogły się poruszyć, zmrożone strachem.

Shriggar runął na dziewczynki, zasłaniając je przed oczyma Orne'a. Rozległ się dziecinny pisk, który nagle się urwał. Jaszczur, jakby nie mogąc się zatrzymać, rozpedzony uderzył w ścianę, zlał się z nią i rozplątał w pełzające linie.

Starsze dziecko leżało rozciągnięte na podłodze, ciągle ściskając wiaderko i łopatkę. Czerwona plama znaczyła podłogę obok. Dziewczynka patrzyła przez pokój na Orne'a powoli się podnosząc.

To nie może być rzeczywiste, pomyślał. Nieważne, co mówił Bakrish.

Wpatrywał się w ścianę, oczekując ponownego pojawienia się Shriggara i będąc świadom, że bestia służy jego woli. Przemawiał doń bez słów. Zrozumiał, że to rzeczywiście była część jego samego. Zrozumiał, co miał na myśli Bakrish. To była moja bestia.

Dziewczynka ruszyła w stronę Orne'a wymachując wiaderkiem. W prawej ręce ściskała łopatkę. Wpatrywała się nieruchomo w Orne'a.

To Maddie, pomyślał. To Maddie taka, jaką była. Ale teraz to dorosła kobieta, mężatka i sama ma dzieci. Co ja stworzyłem?

Ziarenka piasku przykleiły się do nóg i policzków dziecka. Jeden z rudych warkoczy zwisał rozpleciony. Wyglądała na rozgniewaną, dygotała z dziecinniej furii. Zatrzymała się w odległości około dwu metrów od Orne'a.

– Ty to zrobiłeś! – krzyknęła oskarżycielskim tonem.

Wzdrygnął się słysząc wściekłość w jej głosie.

– Ty zabiłeś Laurie! – oskarżała. – To ty.

– Nie, Maddie, nie – wyszeptał Orne.

Podniosła wiaderko i wysypała nań jego zawartość. Zamknął oczy, poczuł jak piasek sypie się mu po twarzy, czuł czaszę na głowie. Piasek spływał po policzkach, ramionach, piersi, brzuchu. Potrząsnął głową, żeby usunąć go z policzków, poczuł ból w chwili, gdy ruch ten podrażnił sondy mikrowłókniste podłączone do jego głowy.

Spod przymrużonych powiek widział, jak linie na zielonej ścianie wiją się w dzikich ruchach – zginają się, skręcają, falują. Wpatrywał się w ten zielono-purpurowy szal przez czerwoną mgiełkę bólu. Pamiętał ostrzeżenie kapłana, że każda żywa istota, jaką przywoła, zawierać będzie jego psychikę na równi z własną.

– Maddie, proszę, spróbuj zro... – wyszeptał.

– Próbowałeś dostać się do mojej głowy! – wrzasnęła. – Odepchnęłam cię, więc nie możesz wrócić!

To Bakrish mówił:

– *Inne mogą z miejsca odrzucić twoją połowę swego jestestwa.* – Maddie jako dziecko odrzuciła go, ponieważ jej ośmioletni umysł nie mógł zaakceptować takiego doświadczenia.

Uświadamiając to sobie, Orne pojął zarazem, że uznał zjawisko za rzeczywistość, a nie halucynację. Pomyślał: *Co mogą jej powiedzieć? Jak mogą to unieważnić?*

– Zabiję cię! – wrzeszczała Maddie.

Rzuciła się na niego wymachując łopatką. Światło odbijało się od blaszanej powierzchni. Łopatka opadła na jego prawe ramię, po-

czuł silny ból. Krew zabarwiła rękaw togi.

Orne czuł się schwytany przez senny koszmar. Na usta cisnęły mu się słowa:

– Maddie! Przestań albo Bóg cię ukarze!

Cofnęła się, szykując nowy atak.

Zmiana konfiguracji na ścianie powtórnie przyciągnęła uwagę Orne'a. Odziana na biało postać w czerwonym turbanie wyłoniła się z tła. Był to wysoki człowiek o błyszczących oczach i umęczonej twarzy ascety – długa broda rozdwajała się na modłę Sufich.

Orne wyszeptał imię:

– Mahmud!

Gigantyczny hologram tej twarzy i postaci dominował nad tylną ścianą wewnętrznego meczetu, do którego Orne uczęszczał na Chargon.

Bóg cię ukarze!

Orne pamiętał, że stał obok wuja, wpatrywał się w obraz na meczecie, oddając mu pokłon.

Mahmud podszedł z tyłu do Maddie i złapał ją za ramiona w chwili, gdy zamierzała się łopatką do kolejnego ciosu. Odwróciła się, próbując się oswobodzić, ale on trzymał nadal, przekręcając ją powoli i metodycznie. Rozległ się trzask kości. Dziecko wrzeszczało i wrzeszczało i...

– Nie! – zaprotestował Orne.

Mahmud miał niski, grzmiący głos. Powiedział:

– Nie rozkazuje się posłannikowi Boga, by wstrzymał swe sprawiedliwe kary. – Podniósł dziecko za włosy, złapał porzuconą łopatkę i wymierzył cios w szyję.

Krzyk umilkł. Krew trysnęła na jego szatę. Upuścił bezwładne ciało na podłogę, odrzucił łopatkę i stanął naprzeciw Orne'a.

Senny koszmar! – pomyślał Orne. To musi być senny koszmar!

– Myślisz, że to senny koszmar – zagrzmiał głos Mahmuda.

Przypomniał sobie, co powiedział Bakrish: Jeśli to stworzenie było rzeczywiste, mogło myśleć jego własnymi wspomnieniami. Od-

rzucił tę myśl.

– Ty jesteś sennym koszmarem.

– Twój twór dokonał tego wszystkiego – oznajmił Mahmud. – To musiało być usunięte, rozumiesz. To było wcielenie nienawiści, a nie miłości. Ostrzegano cię przed tym.

Orne czuł się winny, ogłupiały i wściekły. Przypomniawszy sobie, że ta próba wiązała się ze zrozumieniem cudów.

– Czy to miał być cud? – spytał. – To było głębokie doświadczenie mistyczne?

– Trzeba było mówić do Shriggara – powiedział Mahmud. – To byłaby dyskusja o miastach ze szkła, znaczeniu wojny, polityce itp. Ja będę bardziej wymagający. Po pierwsze chcę wiedzieć, czym według ciebie jest cud.

Orne'a ogarnął nastrój nieokreślonego zawieszenia. Prekognicyjny lęk wysysał wnętrzności.

– Co to jest cud? – dopytywał się Mahmud.

Czuł, że serce wali mu młotem. Z trudem skoncentrował się na pytaniu, zająknął się.

– Czy rzeczywiście jesteś wysłannikiem Boga?

– Wykręty i etykiety – warknął Mahmud. – Nie uczyłeś się jeszcze o etykietkach? Wszechświat jest jednością! Nie możemy poćwiczyć go na kawałki ze względu na naszą małosłowną wygodę. Wszechświat istnieje poza etykietkami!

Doznał piekącego uczucia popadania w szaleństwo. Balansował na krawędzi chaosu. Co to jest cud? – zastanawiał się. Przypomniawszy sobie pouczające słowa Emolirido: *chaos... porządek... energia. Psi równa się cudom.*

Słowa, ciągle słowa.

Gdzie się podziała jego wiara?

Istnieję, pomyślał. To wystarczy.

– Ja jestem cudem – powiedział.

– Och, bardzo dobrze – zdziwił się Mahmud. – Siedlisko Psi, he? Trwale ukształtowana energia wyłoniona z chaosu. Ale czy cud jest

dobry czy zły?

Drżąc, Orne zaczerpnął powietrza. – Zawsze słyszałem, że cuda są dobre, ale w rzeczywistości nie muszą być ani dobre, ani złe. Pojęcia dobra i zła odnoszą się do motywów. Cuda po prostu są.

– Ludzie kierują się motywami – powiedział Mahmud.

– Ludzie mogą być dobrzy albo źli według dowolnie obranej definicji – rzekł Orne. – Gdzie w tym cud?

Mahmud przyjrzał się mu od stóp do głów.

– Czy ty jesteś dobry czy zły?

Orne odwzajemnił spojrzenie. Zwycięstwo w tej próbie w jego ordaliach nabrało najgłębszego znaczenia. Pogodził się teraz z rzeczywistym istnieniem Mahmuda. Co prorok chciał od niego usłyszeć?

– Jak mógłbym być dobry czy zły dla siebie samego? – spytał.

– Czy to jest twoja odpowiedź?

Orne wyczuł groźbę w tym pytaniu.

– Chcesz sprawić, bym powiedział, że to ludzie tworzą bogów, aby narzucić własne definicje dobra i zła!

– Och? Czy to jest źródło boskości? No, jazda, przyjacielu. Znam twój umysł: nosisz w nim tę odpowiedź.

Czy jestem dobry czy zły? – spytał samego siebie. Chciał się skupić nad tą kwestią, ale było to niczym posuwanie się pod prąd w bystro płynącej rzece. Jego myśli kręciły się i zawracały, skłonne do rozproszenia. Powiedział:

– Jestem... jeśli jestem sam wobec całego wszechświata, to jestem Bogiem. Jestem tworzeniem. Jestem tym cudem. Jak to może być dobre czy złe?

– Co to znaczy: tworzenie? – wypytywał Mahmud. – Odpowiedz mi! Przestań się wykręcać!

Orne przypomniał sobie kolejne zmory tej próby. Tworzenie? Zastanawiał się, czy wielka maszyna Psi wzmocniła tę energię, którą ludzie nazywają religią.

Myślał: Bakrish powiedział, że mogę obecnie przywołać do życia martwego. Wydaje się, że religia ma na to monopol. Ale jak od-

dzielić Psi od religii i od tworzenia? Prawdziwy Mahmud nie żyje od wieków. Jeśli otworzyłem go, w jaki sposób jego pytania odnoszą się do mnie?

I zawsze istniała możliwość, że wszystko to, pomimo szczególnego poczucia rzeczywistości, jest jakąś formą halucynacji.

– Ty znasz odpowiedź – nalegał Mahmud.

Przyparty do granic wytrzymałości Orne powiedział:

– Zgodnie z definicją stworzenie może działać niezależnie od swego stwórcy. Ty jesteś niezależny ode mnie, nawet jeśli dzielisz coś ze mną. Puściłem cię wolno, dałem ci swobodę. Jak mógłbym zatem cię sądzić? Możesz być dobry lub zły tylko we własnych oczach. To samo ze mną! – Tryumfalnym tonem zapytał: – Czy jestem dobry czy zły, Mahmudzie?

– Rzekłeś to samemu sobie i skutkiem tego jesteś odrodzony i niewinny – powiedział Mahmud. – Opanowałeś dobrze swoją lekcję i błogosławię cię za to.

Odziana w suknię postać schyliła się, podniosła martwe dziecko. W ruchach Mahmuda była dziwna czułość. Odwrócił się, podszedł do mrowiącej się ściany. W sali zapanowała cisza. Igrające purpurowe linie prawie się zatrzymały, pełzając w kleistym odrętwieniu.

Orne poczuł, że jest mokry od potu. Bolała go głowa, a rozcięte ramię pulsowało dokuczliwie. Oddech był łapczywym sapaniem, jak po skończonym dopiero co biegu.

Gdzieś za nim odbił się echem szczęk brązu. Zielona ściana odzyskała swą gładką szarość. Rozległ się odgłos kroków. Jakieś ręce poruszyły się przy czaszy, delikatnie podnosząc ją znad głowy Orne'a. Zniknęły krępujące go pasy.

Bakrish obszedł krzesło i stanął przed Orne'em.

– Mówiłeś, że to było ordalium – powiedział Orne, dysząc.

– I przestrzegałem cię przed nienawiścią – dodał Bakrish. Popatrzył na zranione ramię Orne'a. – Trzeba je zabandażować. Teraz jest noc i czas na następny stopień.

– Noc?

Orne spojrział na wąskie okna w sklepieniu. Ujrzał nakrapianą gwiazdami ciemność. Rozejrzał się po sali, uświadomił sobie, że pozbawione cienia światło kul świętojańskich zastąpiło światło dnia.

– Czas upływa tu szybko – powiedział.

– Dla niektórych tak – westchnął Bakrish. – Dla innych nie. Gestem polecił mu podnieść się. Chodź.

– Pozwól mi chwilę odpocząć. Jestem wycieńczony.

– Damy ci tabletkę energetyczną, kiedy będziemy bandażować ramię. Teraz pośpiesz się!

– Dlaczego ten pośpiech? Co mam teraz robić?

– Widać, że rozumiesz dwie twarze cudu. Zauważyłem, że masz osobistą mistykę, etykę w służbie życia, ale jest jeszcze wiele spraw, przez które musisz przejść w ordaliach, a czasu jest mało – rzekł Bakrish.

– Co teraz? – spytał Orne.

– Musisz przejść przez cień dogmatu i ceremonii. Napisano, że motyw jest ojcem etyki, a ostrożność siostrą strachu... – Bakrish przerwał na moment – ...a strach synem bólu.

Rozdział 25.

Milczenie jest strażnikiem mądrości, a głośne dowcipkowanie i lekkomyślność prowadzą człowieka do ignorancji. Tam gdzie jest ignorancja, nie ma zrozumienia Boga.

Porzekadła ABBODÓW

– Okazuje piękną powściągliwość – powiedział Abbod. – To w nim dostrzegłem – piękną powściągliwość. On nie igra ze swoimi mocami.

Abbod siedział na niskim taborecie przed kominkiem; Macrithy stał za nim z ostatnim raportem w sprawie Orne’a. Pomimo pełnych nadziei słów w głosie Abboda czaił się smutek.

Macrithy dosłyszał ten ton i zauważył:

– Ja też spostrzegłem, że nie przywołał swojej kobiety ani nie robił innych eksperymentów z Wielką Maszyną. Powiedz mi, wielbny Abbodzie, dlaczego w twoim głosie nie ma szczęścia z powodu tych spostrzeżeń?

– Za jakiś czas Orne zastanowi się nad sobą. Zobaczy, że nie potrzebuje maszyny, aby robić to, co chce. A co wtedy, drogi przyjacielu?

– Nie masz wątpliwości, że on jest tym bogiem, którego powołałeś?

– Żadnych wątpliwości. A kiedy odkryje swe nadzwyczajne moce...

– Przybędzie w poszukiwaniu ciebie, Wielbny Abbodzie.

– Oczywiście, nic go nie zatrzyma. Nawet nie chcę próbować. Istnieje tylko jedno wyzwanie i modłę się, by stawił mu czoła.

– Zatrzymaliśmy Mówiący Kamień – odważył się Macrithy.

– My? A może odwrócił się z rozbawieniem, dostrzegając inny cel istnienia?

Macrithy ukrył twarz w dłoniach.

– Wielebny Abbodzie, kiedy położymy kres tym straszliwym badaniom obszarów, na które nie mamy prawa wstępu?

– Nie mamy prawa?

– Kiedy położymy kres? – Macrithy opuścił dłonie, odsłaniając łzy na policzkach.

– Nigdy, aż do naszej totalnej zagłady – powiedział Abbod.

– Dlaczego? Dlaczego?

– Ponieważ rozpoczęliśmy tę drogę, drogi przyjacielu. Ona zaczęła się, miała początek. To jest inne znaczenie odkrycia. To znaczy otworzyć się na widok, który zawsze był, który jest bez początku i bez końca. Oszukujemy samych siebie, rozumiesz? Odcinamy kawałek wiecznego i mówimy: Patrzcie! Tu się zaczęło i tu się kończy! – Ale to tylko nasz ograniczony punkt widzenia.

Rozdział 26.

Z porządku wynika prawo. Mamy tu na myśli tę formę, która pomaga nam rozumieć porządek, umożliwiając przewidywanie i inne sposoby obcowania z ładem. Dalej można powiedzieć, że prawo wymaga zamiaru, jest to jednak inna sprawa. To nie wynika wcale z faktu istnienia prawa. W istocie, świadomość wieczności daje nam całkowicie przeciwny pogląd. Zamiar wymaga początku: najpierw zamiar, potem prawo. Istotą wieczności jest brak początku i końca. Bez początku nie ma zamiaru, nie ma wiecznego motywu. Bez końca nie ma ostatecznego celu, nie ma sądu. Na podstawie tych spostrzeżeń wnosimy, że grzech i wina, wytwory zamiaru, nie są ustalonymi pochodnymi wieczności. W ostateczności takie pojęcia jak grzech – wina – sąd wymagają początków, a zatem pojawiają się jako segmenty wieczności. Takie pojęcia dotyczą praw skończonych, a tylko wyjątkowo spraw wiecznych. Oto dlaczego rozumiemy, jak ograniczone i ograniczające są nasze wyobrażenia o Myślach Boga.

ABBOD HALMYRACH
Wyzwanie dla wieczności

Nocne powietrze przyniosło lodowaty przymrozek i sprawiło, że Orne docenił solidność swojej togi. Bakrish poprowadził go przez rozległy teren parkowy otoczony religijnym mrowiskiem. Pachniało tu świeżo skoszoną trawą. W pobliżu nie było sztucznego oświetlenia, ale Bakrish szedł po ścieżce, tak jakby ją widział, a Orne podążał za niewyraźnym zarysem szaty kapłana.

Przed nimi wznosiło się wzgórze zasłaniające część rozgwieżdżonego nieba. Po stoku przesuwiał się wąż ruchomych świateł.

Zranione ramię Orne'a ciągle bolało, ale tabletki energetyczne pokonały zmęczenie.

Bakrish rzucił przez ramię:

– Te światła niosą studenci, a każdemu z nich towarzyszy kapłan. Każdy student ma dwumetrową żerdź ze świecą puszką na szczycie. Puszka ma cztery przezroczyste ściany, każdą innego koloru, tak jak widzisz – czerwony, niebieski, żółty i zielony.

Orne obserwował światła połyskujące jak fosforyzujące owady na ciemnym stoku.

– Jaki jest cel tego wszystkiego?

– Oni okazują pobożność.

– Dlaczego cztery kolory?

– Ach, czerwień oznacza krew, którą poświęcasz, niebieski prawdę, żółty bogactwo religijnego doświadczenia, zielony wzrastanie życia.

– W jaki sposób wchodząc na górę okazują pobożność?

– Ponieważ robią to!

Bakrish narzucił tempo marszu, opuścił ścieżkę i ruszył przez trawnik. Orne potykał się, musiał przyśpieszać, aby nadążyć. Znowu zaczął się zastanawiać, dlaczego przystał na udział w tym ordalium. Dlatego, że mogło go to doprowadzić do Abboda? Dlatego, że Stetson rozkazał mu wykonać to zadanie? Dlatego, że złożył przysięgę B-D? Żaden z tych powodów nie wydawał się wystarczający. Czuł, że idzie wąską ścieżką, którą może opuścić równie łatwo, jak Bakrish opuścił pozostawioną z tyłu parkową ścieżkę.

Kapłan zatrzymał się przy otwartej wąskiej furcie w kamiennym murze i Orne uświadomił sobie, że szeregi milczących ludzi przechodzą przez tę właśnie furkę. Światła zapalały się za murem. Czuł zapach ludzkiego potu, słyszał szuranie i szelest szat. Co jakiś czas rozlegało się kaszlnięcie, ale nie było słyhać żadnych rozmów.

Bakrish wziął żerdź ze stojaka, przekręcił dolną część. Światło rozbłysło z umieszczonej na szczycie puszką. Puszka była zwrócona czerwona stroną w kierunku procesji mijającej furkę. Rzuciła czerwony blask na ludzi. Szli na przemian – student i kapłan, student i kapłan, ze wzrokiem spuszczonego, z wyrazem powagi i napięcia na twarzach.

– Tu. – Bakrish wcisnął żerdź w dłonie Orne’a.

Wydała mu się śliska niczym naoliwiona. Chciał spytać, co ma z nią robić... jeśli cokolwiek miał robić, ale zniechęciło go milczenie uczestników procesji. Czuł się głupio, trzymając tę rzecz. Co oni tu naprawdę robią? I na co teraz czekają?

Bakrish wziął go za ramię i szepnął:

– Tu jest koniec procesji. Przyłącz się. Ja będę szedł za tobą. Nieś wysoko swoje światło.

Ktoś w szeregu uciszył ich:

– Tsss!

Orne dostrzegł rozmazany kształt na końcu procesji i wszedł do szeregu. Natychmiast ostrzegawcza przedwiedza wyczerpała jego energię. Potknął się, zachwiał.

Bakrish szepnął:

– Trzymaj się! Trzymaj się!

Orne wyrównał krok, ale ciągle czuł ostrzegawczą pustkę we wnętrzościach. Jego lampka rzucała bladozielony odbłask na kapłana z przodu.

Gdzieś z odległego czoła procesji dobiegał mruczący dźwięk, stawał się coraz głośniejszy w miarę przesuwania się wzdłuż szeregu, zagłuszał szuranie i szelest szat, zagłuszał cykanie owadów w wysokich trawach obok ścieżki. Był to dźwięk bez słów: Ahhh – ach – huh! Ahhh – ach – huh!

Droga stała się bardziej stroma, skręcała, by wznieść się zakosami pod górę. Wzdłuż ścieżki widać było migocące światła, rozmyte kształty, słychać było pomruk, odgłosy potknięć o korzenie, pośli-zgnięć. Powietrze było zimne.

Bakrish szepnął Orne’owi na ucho:

– Nie śpiewasz!

Poczucie zagrożenia i przekonanie, że znajduje się nie na miejscu sprawiły, że Orne się zbuntował. Szepnął:

– Głos mi nie dopisuje dziś wieczorem!

Ahhh – ach – huh! Toż to kompletny nonsens. Chciał rzucić la-

tarnię i uciec w noc.

Szereg i śpiew zatrzymały się tak nagle, że Orne omal nie wpadł na poprzedzającego go kapłana. Potknął się, odzyskał równowagę, podniósł żerdź, żeby nikogo nią nie uderzyć. Ludzie gromadzili się, schodząc ze ścieżki. Zrobił to samo, torując sobie drogę przez zarośla. Za nimi znajdował się płytki amfiteatr z kamienną stupą w środku wysokości dwóch ludzi. Kapłani zaczęli oddzielać się od studentów, którzy uformowali półkole pod stupą. Światła rzucały różnokolorowe refleksy na kamienie.

Gdzie jest Bakrish? Orne rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że odłączył się od Bakrisha. Co miał tutaj robić? Jak okazywać pobożność?

Brodaty kapłan wyszedł zza stupy, stanął przed nią. Nosił czarną szatę i trójgraniasty, czerwony kapelusz. Jego oczy błyszczały w świetle lampek. Studenci uciszyli się.

Orne, stojący w zewnętrznym pierścieniu, zastanawiał się, w którym miejscu ordaliów się znaleźli. Co mieli zamiar robić?

Kapłan w czerwonym kapeluszu rozpostarł ramiona i opuścił je. Mówił dźwięcznym basem:

– Stoicie przed świątynią Czystości i Prawa. To są dwie rzeczy nierozdzielne w każdym prawdziwym wierzeniu. Czystość i Prawo! Tu leży klucz Wielkiego Misterium, które prowadzi do raj.

Orne czuł napięcie ostrzegawczej przedwiedzy, a od niedawna działanie niezwykle potężnej siły Psi. To Psi było w jakiś sposób różne od tego, którego doświadczał przedtem. Biło jak metronom zgodnie z rytmem słów brodatego kapłana, rozkwitając i wzmacniając się w miarę, jak rosła emocjonalna nuta przemowy.

Orne skupił się na słowach:

– ...nieśmiertelna boskość i czystość wszystkich wielkich proroków! Tchnienie wieczności dane ku waszemu zbawieniu! Poczęci w czystości, zrodzeni w czystości, ich myśli zawsze skąpane w czystości. Nietknięci przez naturę przyrodzenia we wszystkich aspektach, oni ukazują nam drogę!

W szoku nagłego olśnienia Orne zrozumiał, że otaczająca go siła Psi nie pochodzi z żadnej maszyny, ale ze zlania się emocji rosnących w skupionych słuchaczach. Wyczuł emocjonalną treść, subtelnie harmonizującą z dominującym polem Psi. Brodaty kapłan grał na uczuciach audytorium, jak muzyk gra na swym instrumencie.

– Mieście wiarę w wieczną prawdę naszego boskiego dogmatu! – wykrzykiwał kapłan.

Nozdrza Orne'a uchwyciły zapach kadzidła. Ukryły głośnik zaczął emitować niskie nuty grane na organach, melodię pełną dudnienia i dźwiękowych pasaży, która dobiegała do słuchaczy mimo głosu kapłana, ale go nie zagłuszała.

Orne zobaczył postać obchodzącą zgromadzoną publiczność, kapłanów machających kadzielnicami. Niebieski dym unosił się nad słuchaczami w widmowych spiralach. W nagłej ciszy, która zapanowała, gdy kapłan zamilkł, odezwał się dzwonek. Zadzwoił siedem razy.

Orne jak zahipnotyzowany pochłaniał całą scenę wzrokiem. Myślał: Skupione emocje działają jak siła Psi! Czym jest ta moc?

Kapłan przy stopie podniósł ramiona, zacisnął pięści i wrzasnął:

– Wieczny raj dla wszystkich wierzących! Wieczne potępienie dla wszystkich niedowiarków! – Zniżył głos. – Wy, którzy szukacie wiecznej prawdy, padnijcie na kolana i błagajcie o oświecenie. Módlcie się, aby zasłona podniosła się z waszych oczu. Módlcie się o czystość, która przynosi święte zrozumienie. Módlcie się o zbawienie. Módlcie się, aby Wszech-Jedyny zlał na was swoje błogosławieństwo.

Rozległ się szmer szat; otaczający Orne'a studenci padli na kolana. Jednak Orne ciągle stał, całe jego jestestwo zafrapowane było odkryciem: Zmasowane emocje wytwarzają siłę Psi! Czuł się wyniesiony, oczyszczony, stał na skraju wielkiego odkrycia. Chciał zawołać Bakrisha, żeby wykrzyczeć mu to, co odkrył.

Gniewny pomruk, który rozległ się wśród klęczących studentów, tylko częściowo przyciągnął uwagę Orne'a. Były w nim utkwione pełne protestu spojrzenia. Pomruk wzmagął się.

Świadomość prekognicyjna w jego wnętrzu głośno krzyczała na alarm. Wyrwał się z zadumy i dostrzegł otaczające niebezpieczeństwo.

Na odległym krańcu klęczącego tłumu, jakiś student podniósł rękę, wskazując Orne'a.

– Co z nim? On jest studentem! Dlaczego nie klęczy wraz z nami?

Orne rozejrzał się badawczo. Gdzie był Bakrish? Ktoś pociągnął go za szatę, przynaglając, by klęknął, ale Orne cofnął się. Ścieżka była wprost za jego plecami, za krzewami.

Ktoś w tłumie studentów wrzasnął:

– Niedowiarek! – Poczuł, że podziałało to jak zarzucona nań sieć Psi, tłumiąc świadomość, blokując rozumowanie.

Inni podjęli to słowo w bezmyślnym skandowaniu:

– Niedowiarek! Niedowiarek! Niedowiarek!...

Posuwał się tyłem przez zarośla; szarpał nim strach. Napięcie tłumu było czymś namacalnym, jakby lontem, po którym płomień, dymiąc i skwiercząc, dążył do potężnej eksplozji.

Brodaty kapłan spojrział na Orne'a, jego ciemna twarz wykrzywiona w kalejdoskopicznych blaskach studenckich latarni. Nagle amfiteatr wydał się Orne'owi sceną z nocnego koszmaru, miejscem demonicznym. Zorientował się, że ciągle trzyma latarnię. Jej światło odkrywało ścieżkę z tyłu, ścieżkę prowadzącą w ciemność.

Nagle kapłan przy stopie podniósł głos w szaleńczym wrzasku:

– Dajcie mi głowę tego bluźniercy!

Orne cisnął swą latarnią jak włócznią w chwili, gdy studenci z rykiem zerwali się na nogi. Odwrócił się i pobiegł ścieżką, słysząc grzmot i wrzaski pogoni.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do światła gwiazd, mógł rozróżnić ścieżkę – czarną linię na ciemnym tle. Porzucił ostrożność, ruszył pędem. Głośny wrzask przenikał noc od strony ścigających. Ścieżka skręcała na lewo, za zakrętem zamajaczyła ciemniejsza plama. Drzewa? Gałęzie chłostały go po twarzy.

Ścieżka opadała, skręcała na prawo, potem na lewo. Potknął się o korzeń, omal nie upadł. Jego szata zaplątała się w krzaki i stracił parę sekund, by ją uwolnić. Tłum był wrzeszczącą, falującą masą światła, tuż za nim. Rzucił się ze ścieżki w dół, na prawo, równoległe do linii drzew. Szata zaczepiała się o krzaki. Po chwili mocowania się z pasem zostawił ją za sobą.

Ktoś za nim zawołał:

– Słyszę go! Tam na dole!

Ścigający zatrzymali się nagle, na sekundę zamilkli. W ciszy rozbrzmiewały tylko trzaski towarzyszące ucieczce Orne'a.

– Tam idzie! Na dół!

Ścigali go. Słyszał, jak przedzierają się przez krzewy i drzewa, słyszał przekleństwa i okrzyki.

– Tu jest jego szata! Mam jego szatę!

– Zdobądź jego głowę! – wrzasnął ktoś. – Urwać mu głowę!

Orne, pochylony, przedzierał się i ślizgał w dół wzgórza, przeciął pędem ścieżkę, zagłębił się w zaroślach. Było mu zimno, czuł się bezbronny tylko w sandałach i szortach, które nosił pod szatą. Gałęzie szarpały mu skórę. Słyszał tłum, ludzką lawinę na wzgórzu nad nim – przekleństwa, odgłosy szarpania, łoskot. Światła falowały. W ciemności prześwitywały sylwetki w szatach.

Znowu trafił na ścieżkę. Prowadziła w dół po prawej stronie. Skierował się na nią, sapiąc i potykając się. Bolały go nogi. Piersi ścisnęły jakby czarny pas. Bolał go bok. Ścieżka prowadziła w ciemność i wkrótce ją zgubił. Spojrzał w górę, by dostrzec drzewa na tle gwiazd.

Od strony tłumu dobiegały odgłosy zamieszania.

Orne zatrzymał się i słuchał, oparty o drzewo.

– Część niech pójdzie tędy! – krzyczał ktoś. – Reszta za mną!

Zziajany, oddychał nierówno. Polują na niego jak na zwierzę, dlatego że na chwilę zaniechał ostrożności! Przypomniawszy sobie słowa Bakrisha: „Ostrożność jest siostrą strachu...”

Niemal dokładnie nad Orne'em i nie dalej jak pięćdziesiąt metrów od niego, ktoś krzyknął:

– Słyszycie go?

Po lewej usłyszał odpowiedź:

– Nie!

Odepchnął się od drzewa, zaczął się skradać w dół, badał ostrożnie drogę, wyczuwał każdy krok. Słyszał, że ktoś biegnie na górze; kroki rozbrzmiewały z prawej strony. Ich dźwięk rozpływał się. Rozlegały się pełne zmieszania okrzyki, potem nastąpiła cisza i znowu okrzyki dochodzące z niewielkiej odległości na wzgórzu, po lewej. Wkrótce one też zamilkły.

Orne posuwał się w ciemności pod drzewami, badał każdy krok, czasem czołgał się. Raz rozpląszczył się nawet na ziemi, pozwalając minąć go pięciu biegnącym sylwetkom. Kiedy się oddaliły, ześlizgnął się w dół, w poprzek kolejnego zakrętu. Ból w ramieniu wzrósł; zauważył, że zgubił bandaż. Ból przypominał mu uczucie świerzbienia, jakiego doświadczał uwięziony na krześle Bakrish. To było, jak swędzenie gojącej się rany – ale z a n i m pojawiła się rana.

Orne poczuł, że ma do czynienia z kolejnym kluczem do rozumienia Amel, ale jego znaczenie wymykało się mu.

Wpadł w płynny rytm ucieczki – pod krzakami, unikając liści, kierował się w najciemniejsze miejsca, gdzie drzewa zasłaniały gwiazdy. Ale las przerzedzał się, zarośla pozostały z tyłu. Poczł pod stopami chodnik, zrozumiał, że znalazł się na ostatnim stoku prowadzącym do obszarów parkowych. Mdłe światła pobłyskiwały z okien po prawej. Tam był mur. Przykucnął, skulił się, by stłumić dreszcze.

Bakrish mówił, że Abbod Halmyrach jest w pobliżu.

Kiedy pomyślał o Abbodzie, poczuł, że dręcząca go pustka wewnętrzna osłabła na chwilę, a potem znowu się nasiliła. Cóż to mogło znaczyć? Zastanawiał się. Bezpieczny... ale niebezpieczny? Człł gwałtowne pragnienie znalezienia Abboda i wyciśnięcie prawdy z uznanego przywódcy Amel.

Po co zawracać sobie głową niższymi rangą? Gdzie był Bakrish, kiedy go potrzebowałem? Czy w taki sposób działa agent połowy B-D?

Orne poczuł, jakby coś wyrwało go ze snu. Dogmat i ceremonia!
Cóż za pusty nonsens!

Wilczy grymas przemknął po twarzy Orne'a. Pomyślał: Oświadczam, że udało mi się przejść przez te ordalia! Skończone. Przeszedłem przez próby!

Na ścieżce po lewej dały się słyszeć kroki.

Orne wślizgnął się za drzewo, rozejrzał dokładnie. W wąłym świetle gwiazd, które przebijało się przez rozproszone drzewa, dostrzegł kapłana w bieli kroczącego ścieżką, która prowadziła prosto na drzewo, gdzie się ukrył. Przywarł do pnia, wyczekiwał. Ptaki krzątały się z trzepotem wśród gałęzi nad jego głową. Woń nocnych kwiatów biła w nozdrza. Kroki zbliżały się, idący minął go.

Orne wyślizgnął się zza drzewa. Zrobił cztery susy po miękkiej trawie obok ścieżki, wyciągnął rękę i złapał kapłana za szyję, naciskając nerw. Kapłan westchnął i bezwładny osunął się na ręce Orne'a.

Rozdział 27.

Zawiść, żądza i ambicja zamykają człowieka we Wszechświecie Maya. A czymże jest ten Wszechświat? To tylko projekcja jego zawiści, jego żądz i jego ambicji.

NOAH ARK WRIGHT,
Mądrości Amel

– To głupota! – wrzeszczał Abbod. – Rozmyślnie kazałeś swemu przyjacielowi poszczuć na niego tłum. I to wtedy, kiedy wyraźnie tego zabroniłem. Ach, Macrithy...

Macrithy stał pochylony w pracowni Abboda. Abbod siedział w pozycji lotosu na niskim stoliku przed kapłanem. Dwa palce rozwidlone były niczym antena, guzowate kolana sterczały, kiedy się nad nimi pochylał. Abbod wpatrywał się uparcie w Macrithy'ego.

– Ty w ogóle nie myślałeś! – Abbod był straszliwy, kiedy cicho wydawał ten bolesny osąd. – Nie myślałeś o ludzkich istotach, które zamieniły się w tłuszczę. Orne mógł zesłać je na wieki do piekła. Wciąż jeszcze może to zrobić, jeśli osiągnie w pełni swe moce.

– Przybyłem, żeby cię ostrzec, gdy tylko dowiedziałem się, że uciekł – usprawiedliwiał się Macrithy.

– Jaki pożytek z tego ostrzeżenia? – zapytał Abbod. – Ach, mój drogi przyjacielu, jak mogłeś popełnić taki błąd? Widzisz, to co się teraz dzieje, jest łatwym do przewidzenia następstwem twoich działań. Mogę tylko domyślać się, że ta sytuacja to właśnie to, czego chciałeś.

– Och, nie! – wykrzyknął przerażony Macrithy.

– Kiedy słowo i czyn nie zgadzają się, wierz czynowi. – stwierdził Abbod. – Dlaczego chcesz nas zniszczyć, Macrithy?

– Nie chcę! Nie chcę! – Macrithy odsunął się od Abboda, zasłaniając się obydwoma rękoma. Zatrzymał się, kiedy dotknął plecami ściany.

– Ależ chcesz – powiedział Abbod ze smutkiem. – I to zapewne dlatego, że przydzieliłem do Orne’a Bakrisha, a nie ciebie. Wiem, że pragnąłeś tego zadania. Ale tak być nie mogło, przyjacielu. Zechciałbyś zniszczyć Orne’a i... samego siebie. Nie mogłem na to pozwolić.

Macrithy ukrył twarz w dłoniach.

– On zniszczy nas wszystkich – zaszlochał.

– Módl się, żeby tego nie zrobił – powiedział cicho Abbod. – Prześlij mu swą miłość i szacunek. W ten sposób może osiągnąć szczęśliwe przebudzenie.

– Co teraz pomoże miłość? – spytał Macrithy. – On przybywa po ciebie!

– Oczywiście – szepnął Abbod. – Ponieważ powołałem go. Daj spokój gwałtowności, Macrithy. Módl się za siebie. Módl się o oczyszczenie swego ducha. Ja też będę się o to modlił.

Macrithy pokręcił głową.

– Za późno na modlitwę.

– To ty powinienesz powiedzieć coś takiego – mruknął Abbod.

– Przebacz mi, przebacz – błagał Macrithy.

– Przyjmij moje błogosławieństwo i odejdz – powiedział Abbod.

– Poproś również o przebaczenie Boga Orne’a. Być może zadałeś mu wielki ból.

Rozdział 28.

Świeckie użycie mocy może zniszczyć nawet anioła. To jest lekcja pokoju. Nie wystarczy umiłowanie pokoju i dążenie do pokoju. Trzeba także kochać bliźnich. W taki sposób uczymy się tego dynamicznego i miłosnego konfliktu, który nazywamy Życiem.

NOAH ARK WRIGHT,
Mądrość Amel

Orne kroczył po wąskiej uliczce w sercu religijnego mrowiska. Trzymał się blisko ścian i unikał światła, ale się nie skradał. Szata kapłana wisiała na nim luźno, była trochę za długa. Zawinał ją w fałdę pod pasem; miał nadzieję, że ktoś znajdzie tego kapłana – byle nie za prędko. Ten człowiek leżał związany pasami z własnej bielizny pod krzakami w parku.

Teraz znaleźć Abboda, myślał Orne.

Równym, spokojnym krokiem przeciął aleję. W zaułku utrzymywał się cierpki zapach dawnego gotowania. Klepanie jego sandałów odbijało się zdwojonym echem od kamiennych ścian.

Od strony alei położonej dokładnie naprzeciw dochodziło światło. Orne usłyszał głosy. Zatrzymał się, kiedy na ścianie spostrzegł cienie. Zobaczył dwóch kapłanów. Byli smukli, jasnowłosi i pełni łagodności. Obaj zwrócili się w stronę Orne'a.

– Niech wasz bóg obdarzy was pokojem – pozdrowił ich Orne.

Dwójka zatrzymała się, ich twarze były teraz ukryte w cieniu. Światło padało zza pleców. Kapłan z lewej odezwał się:

– Modłę się, abys podążał ścieżką boskiego przewodnictwa.

Drugi dodał:

– Jeśli przyszło ci żyć w ciekawych czasach, modłę się, aby nie przysporzyło ci to niepokoju. – Kaszlnął. – Czym możemy ci służyć?

– Zostałem przywołany przez Abboda – powiedział Orne. – Zda-

je się, że zablądziłem. – Odczekał chwilę, czujny na każdy ruch kapłanów.

– Te aleje to labirynt – stwierdził ten z lewej. – Ale jesteś blisko. – Odwrócił się, a na tle światła ukazał się profil jego długiej twarzy o zakrzywionym nosie. – Skreć w prawo, idź tą drogą aż do trzeciej przecznicy i skreć w lewo. Ta trasa doprowadzi cię do siedziby Abboda. Nie możesz się zgubić.

– Jestem wam wdzięczny – szepnął Orne.

Udzielając wskazówek kapłan odwrócił się doń ponownie:

– Czujemy twą wielką moc, o błogosławiony. Błagamy, udziel nam błogosławieństwa.

– Błogosławię was – rzekł Orne i było to zgodnie z jego intencją.

Ci dwaj wyprostowali się nagle, a potem pokłonili nisko. Schylny w pokłonie kapłan po prawej zapytał:

– Czy będziesz nowym Abbodem, o błogosławiony?

Opanowując szok Orne odpowiedział:

– Czy to mądre snuć takie spekulacje?

Dwaj kapłani wyprostowali się i odsunęli. Jednocześnie powiedzieli:

– Nie chcieliśmy sprawić ci przykrości. Przebacz nam!

– Ma się rozumieć – zapewnił Orne. – Dziękuję za wskazanie drogi.

– Służba bliźniemu jest służbą Bogu – odparli. – Obyś znalazł mądrość. – Ich głosy dawały niezwykły efekt echa, jakby jeden z nich szedł o krok za drugim. Pokłonili się znowu, ominęli Orne'a i pospieszyli swoją drogą.

Popatrzył za nimi, dopóki nie zniknęli w ciemności. Dziwne, pomyślał. O co w tym wszystkim chodzi?

Ale teraz wiedział, jak znaleźć Abboda.

Rozdział 29.

To niekoniecznie pełna miłości życzliwość wznosi barierę wokół mistrza. Jak mógłby przez nią obserwować swoje sługi i wiedzieć, czy pełnią one swe obowiązki bez myśli o nagrodzie? Nie, mój synu, bariera jest często dziełem strachu i zbiornikiem pyłu.

Porzekadła ABBODÓW

Okazało się, że uliczka wiodąca do Abboda jest jeszcze węższa niż inne. Krocząc nią zauważył, że gdyby wyciągnął ręce, mógłby dotknąć murów po obu stronach. Były one wykonane z surowego kamienia i z rzadka oświetlone kulami jarzeniowymi starego typu. Kule te otoczone zostały zawijasami z czarnej plastali. Na końcu alei majaczyły blado szare drzwi. Aleja pachniała świeżo skopaną ziemią i grzybami. Plastretowa nawierzchnia nosiła ślady stóp.

Drzwi Abboda były zamknięte.

Orne pomyślał: Zamknięte drzwi? Czy na Amel wszystko może być słodyczą i czystością?

Cofnął się i obejrzał mur. Ciemne nierówności na jego szczycie przywodziły na myśl kolce lub inną tego rodzaju barierę.

W jego myślach pojawiła się domieszka cynizmu: Jakże cywilizowane urządzenia na tej pokojowej planecie.

Za krwiożerczością tłumów na tej planecie kryła się przemoc. Wąskie aleje były łatwe do obrony. Ludzie, którzy mogli ostrym tonem wydawać polecenia, umieli też wydawać rozkazy wojskowe. Pułapki Psi i ciągłe gładzenie o pokoju zdradzały swój związek z masową przemocą.

Związek z wojną.

Orne rzucił okiem za siebie. Aleja była pusta. Poczul przyływ strachu. Ślepa uliczka mogła się dlań okazać zaułkiem bez wyjścia. Chciało mu się opuścić jak najszybciej to miejsce. Ta myśl nie spo-

wodowała osłabienia wewnętrznego sygnału. Wszystkie miejsca na tej planecie były niebezpieczne. Trzeba było rzucić się w niebezpieczeństwo.

Wziął głęboki oddech, zdjął kapłańską szatę, zarzucił oblamowany róg na ścianę i pociągnął. Szata opadła nieco, zaczepiła się, sprawdził na ile, usłyszał cichy odgłos rozdarcia, ale tkanina trzymała się. Orne zawisł na niej; rozciągnęła się, ale nadal pozostała mocno zaczepiona na szczycie ściany.

Jego wspinaczce po kamieniach towarzyszyły szmery. Owinął szpikulec na szczycie muru, przycupnął tam na chwilę, aby zbadać otoczenie. W jednym oknie na piętrze dwukondygnacyjnego budynku błyszczało zza cienkich kotar bladoczerwone światło. Spojrzał w dół, zobaczył podwórko, na którym kwitły krzewy w rzędach wysokich donic. Raz jeszcze spojrzął na rozświetlone okno, poczuł nagłą niechęć. *Niebezpieczeństwo!*

Nastrój napięcia panował na dziedzińcu.

Wśród cieni mogła kryć się cała banda strażników, ale wewnętrzny zmysł podpowiadał mu, że niebezpieczeństwo czai się gdzie indziej.

Za tym oknem.

Orne uwolnił szatę ze szpikulca, zeskoczył na podwórko, ubrał się, przykucnąwszy w cieniu. Zapinając pas, ruszył wokół dziedzińca na lewo, omijając donice, trzymał się cienia.

Z balkonu pod oknem zwisała winorośl. Pociągnął jedną gałązkę, ale została mu w ręku. Za słaba. Ruszył wzdłuż ściany domu. Poczul przeciąg na twarzy. Zatrzymał się, wpatrując się w ciemniejsze miejsce: otwarte drzwi.

Przeszył go dreszcz strachu. Stłumiwszy go Orne wśliznął się przez drzwi na klatkę schodową.

Na schodach rozbłysło światło!

Orne zamarł, potem stłumił śmiech dostrzegłszy fotokomórkę – wyłącznik światła przy drzwiach. Cofnął się: ciemność, ruszył do przodu: światło.

Schody zakręcały na lewo. Orne ruszył w górę, posuwając się cicho; na szczycie znalazł drzwi z pojedynczym, złotym inicjałem: „A”.

„Abbod?”

Klamka była prostą, krótką sztabką na trzpieniu. Nie było blokady daktyloskopijnej ani innych urządzeń. Każdy mógł otworzyć. Zaszło mu w gardle, kiedy kładł dłoń na sztabce i naciskał ją. Rozległo się ciche trzaśnięcie. Orne pchnął drzwi, rzucił się do przodu i zatrzasnął je za sobą.

– Ach, spodziewałem się ciebie.

Męski, tenorowy, lekko drżący głos.

Orne rozejrzał się, dostrzegł szerokie łoże z kotarami. Odległy w swoim łożu, jak ciemnoskóra lalka, siedział człowiek w białej nocnej koszuli. Opierał się o stertę poduszek; jego twarz wydawała się dziwnie znajoma. Była wąska, nos zwisał jak czujnik nad szerokimi ustami. Ciemna, wypolerowana łysina błyszczała w świetle pojedynczej kuli świętojańskiej, wiszącej obok łóżka.

Szerokie usta poruszyły się i dał się słyszeć lekko drżący tenor:

– Jestem Abbod Halmyrach. Witam cię i błogosławię.

W pokoju unosiła się woń kurzu i starości. Orne słyszał łykanie staroświeckiego czasomierza gdzieś w cieniu.

Zrobił dwa kroki w stronę postaci w łóżku. Zmysł przedwiedzy wzmógł swój ostrzegawczy nacisk. Zatrzymał się, próbował ustalić, skąd zna twarz Abboda.

– Jesteś podobny do człowieka, którego znam pod imieniem Emolirido.

– To mój młodszy brat – powiedział Abbod. – Czy ciągle nalega, aby tłumaczyć jego imię jako Agonia?

Orne przytaknął.

– Wiesz, to taki mały żart – wyjaśnił Abbod. – Jego prawdziwe imię brzmi Aggadah i odnosi się do maksym z Talmudu. To taka bardzo stara księga religijna.

– Powiedziałeś, że spodziewałeś się mnie – odezwał się Orne.

– Zwykle spodziewam się tych, których powołałem – odparł Abbod. Jego oczy, zdawało się, świdrowały Orne’a badawczo, sondującą. Podniósł kanciastą rękę wskazując proste krzesło przy łóżku. – Siadaj, proszę. Wybacz, że przyjmę cię w ten sposób, ale w latach starości stałem się zazdrosny o swój odpoczynek. Czy mój brat miewał się dobrze, kiedy widziałeś go ostatnio?

– Tak, wyglądał zdrowo.

Orne podszedł do krzesła, dumając nad Abbodem. Coś w tym słabowitym, wątłym człowieku świadczyło o mocach przewyższających wszystko, z czym spotkał się do tej pory. Śmiercionośne siły drzemały w tym pomieszczeniu. Rozejrzał się, na ścianach były ciemne obicia pokryte tajemniczymi znakami – spirale, kwadraty, piramidy, swastyki; powtarzał się symbol podobny do łapy kotwicy.

Podłoga była zimna i twarda. Orne spojrzał i dostrzegł czarne i białe płyty w kształcie pięcioboków. Każda z nich miała przynajmniej metr średnicy. W zaciemnionych kątach stały drewniane meble. Rozpoznał pulpit, niski stolik, krzesło, stojak do nagrań wizyjnych o bokach w kształcie liry.

– Czy wezwałeś strażę? – spytał, znowu zwracając uwagę na Abboda.

– Na co mi strażę? – rzekł Abbod. – Kiedy coś jest strzeżone, to właśnie stwarza potrzebę straży.

Kościste ramię znowu wskazało na krzesło.

– Usiądź, proszę. Przykro mi, że tkwisz tak niewygodnie.

Orne przyjrzał się krzesłu. Nie miało oparcie, w których mogły znajdować się więzy.

– To tylko krzesło – zapewnił Abbod.

Usiadł jak człowiek, który skacze do zimnej wody, napiął mięśnie, aby móc się poderwać. Nic się nie stało.

– Widzisz? – powiedział z uśmiechem Abbod.

Orne zwilżył usta koniuszkiem języka. Powietrze w pokoju niepokoiło go. Wydawało się nieodpowiednie dla jego płuc. Coś było tu zupełnie nie na miejscu. Nic nie szło tak, jak to sobie wyobrażał, ale

kiedy się nad tym zastanowił, nie mógł sobie przypomnieć, jak właściwie wyobrażał sobie to spotkanie. Coś było po prostu nie w porządku.

– Przeszedłeś czas przykrych doświadczeń – zauważył Abbod. – To było niezbędne, ale przyjmij moje braterskie uczucia, proszę. Dobrze pamiętam, jak to było ze mną.

– Och? Czyżbyś ty również przybył tu, aby przekonać się o czymś?

– W pewnym sensie – potwierdził Abbod. – W pewnym bardzo szczególnym sensie.

– Dlaczego próbujesz zniszczyć B-D? – wybuchnął Orne. – Tego chcę się dowiedzieć.

– Wyzwanie niekoniecznie oznacza chęć zniszczenia – stwierdził Abbod. – Czy odgadłeś zamiar, jaki krył się za twymi ordaliami? Czy wiesz, dlaczego współpracowałeś z nami podczas tych niebezpiecznych prób? – Wielkie, ciemne i lśniące oczy starca wpatrywały się niewinnie w Orne'a.

– Cóż innego mogłem zrobić?

– Wiele rzeczy, jak tego właśnie dowiodłeś.

– W porządku... Byłem ciekawy.

– Ciekawy, czego w szczególności?

Orne poczuł, że coś poruszyło się w jego wnętrzu, spuścił wzrok. Zachowując się w ten sposób, dziwił się samemu sobie. Co ja ukrywam?

– Czy jesteś ze sobą szczerzy? – zapytał Abbod.

Przełknął ślinę. Czuł się jak mały chłopiec tłumaczący się przed nauczycielem. Mówił:

– Próbuję być. Ja... wierzę, że przechodziłem próby, ponieważ oczekiwałem, że mogę dowiedzieć się o sobie samym czegoś, czego dotychczas nie wiedziałem.

– Świetnie – wyszeptał Abbod. – Jesteś produktem cywilizacji marakiańskiej, która...

– I nathiańskiej – przerwał Orne.

– Z pewnością – zgodził się Abbod. – Te cywilizacje chętnie się licznymi technikami, które umożliwiają ludziom samopoznanie – wyszukane metody mikrochirurgiczne, przewarunkowe, wymuszone stosowanie tonowania akulturującego. Czegóż więcej mógłbyś dowiedzieć się o sobie?

– Po prostu... wiedziałem, że jest to możliwe.

– Dlaczego? Skąd?

– Zawsze jest coś więcej, czego chcemy się dowiedzieć. Tak to już jest w nieskończonym Wszechświecie.

– Niezwykła intuicja – przyznał Abbod. – Czy kiedykolwiek czułeś lęk, nie wiedząc przed czym?

– Któż go nie czuł?

– W rzeczy samej – zgodził się Abbod. – Wymawiasz słowa, ale nie wierzę, że działasz zgodnie z twoją intuicją. Ach, gdybyśmy tylko mieli czas, żeby zapisać cię na kursy psychiatrii cudotwórczej i starożytnego chrześcijaństwa.

– Na co?

– Nauki o świadomości istniały na długo przed technikami rozwiniętymi przez twoją cywilizację – powiedział Abbod. – Religia Christeros zachowała wiele fragmentów tamtych technik. Z pewnością uznałbyś ten kurs za wartościowy.

Orne potrząsnął głową. Sprawy nie toczyły się tak, jak powinny. Czuł, że został wymanewrowany, był w defensywie. A przecież przed nim był tylko kościsty człowieczek w śmiesznej nocnej koszuli. Nie... Poprawił się. Przed nim było coś więcej. Nie można było ignorować wyczuwalnej w tym miejscu mocy.

– Naprawdę wierzysz – odezwał się Abbod – że przybyłeś tu, aby bronić twego bezcennego B-D i dowiedzieć się, czy nie dążymy do wojny?

– To jeden z powodów – zgodził się Orne.

– A co by się stało, gdybyś odkrył, że istotnie planowaliśmy wojnę? Co wtedy? Czy jesteś chirurgiem? Czy byłbyś gotów usunąć zarażony organ i przywrócić społeczeństwu zdrowie?

Orne poczuł przyływ gniewu, który jednak ustąpił równie szybko, jak się pojawił. Zdrowie? To pojęcie zafrapowało go. Czymże jest zdrowie?

– Wszędzie wokół istnieją tajemnicze siły – ciągnął Abbod. – Raz po raz przełamują się przez zachodzące na siebie wymiary i zlewają się w formy wystarczająco namacalne, abyśmy mogli je sobie uświadomić. Teraz jesteś już świadom istnienia takich sił. Jeśli spojrzymy na to z punktu życia, niektóre z tych sił są zdrowe, inne niezdrowe. Życie przemawia do nich na różne sposoby, ale nasze kontakty z nimi nie zawsze przynoszą przewidywane rezultaty.

Orne w milczeniu spoglądał na starca. Dojmujące poczucie pustki podpowiadało mu, że obrali niebezpieczny kurs. Czuł siły rozkołysane we własnym wnętrzu, nieposkromione i straszne.

– Czy dostrzegasz podobieństwa w sprawach, które do tej pory przedyskutowaliśmy? – spytał Abbod.

– Ja... – Orne przełknął ślinę. – Być może.

– Przytłacza cię to, co najlepsze w twoim mechanistyczno-scjentystycznym społeczeństwie, Orne. Pozostał ci pewien niewielki kącik w tym schemacie rzeczywistości. Czy ten kącik odpowiada ci?

– Wiesz, że nie.

– Zostało w tobie coś, czego nie mogła osiągnąć twoja cywilizacja; tak jak zawsze pozostaje coś, czego nie może osiągnąć B-D.

Orne pomyślał o Gienah, Hamal i Sheleb.

– Czasami dosiegamy za wiele – powiedział ze ściśniętym gardłem.

– Z pewnością – zgodził się Abbod. – Większa część góry lodowej pozostaje pod powierzchnią. Tak to jest z Amel. Tak to jest z wami, z B-D, z każdym zjawiskiem, które poznajemy.

Orne znowu poczuł gniew.

– To tylko słowa – mruknął. – Nic, tylko słowa!

Abbod zamknął oczy, westchnął. Odezwał się cicho:

– Guru Pasawan, który poprowadził Ramakrishnów ku Wielkiemu Zjednoczeniu nazywanemu teraz Rozejmem Ekumenicznym,

nauczał o boskości duszy, o jakości wszechistnienia, jakości Bóstwa, harmonii wszystkich religii, nieubłagalnym przepływie wieczności...

– Miałem dosyć tej religijnej papki! – uciał sucho Orne. – Zapominasz, że przeszedłem przez kilka waszych maszyn. Wiem, jak manipulujecie...

– Uznaj to za swego rodzaju lekcję historii – mruknął Abbod, otwierając oczy i wpatrując się w Orne'a.

Ten zamilkł, speszony swym porywczym wybuchem. Dlaczego to zrobił? Pod wpływem jakich nacisków?

– Odkrycie i interpretacja Psi zdają się potwierdzać myśli Guru Pasawana – ciągnął Abbod. – Jak dotąd naszym postulatом nic nie zagraża.

– Och? – Orne zadumał się. Z pewnością Abbod nie zamierzał pokusić się o naukowy dowód religii!

– Cała ludzkość, działająca razem, przedstawia sobą wielką siłę Psi, system energii. Tymczasowo używane pojęcia nie mają znaczenia, skoro pozostają naoczne fakty. Czasami nazywamy tę siłę religią. Czasami obdarzamy ją niezależnym skupiskiem działania, które nazywamy Bogiem – objaśniał Abbod.

– Skupisko Psi! – wykrzyknął Orne. – Emolirdo dał do zrozumienia, że ja mogę być... no, cóż, on powiedział...

– Że możesz być bogiem? – spytał Abbod. Orne dostrzegł, że ręce starca drżą na posłaniu jak liście. Zniknął prekognicyjny lęk, ale nie napawało go radością falowanie wewnętrznych sił, które pozostało.

– Tak właśnie powiedział – przyznał.

– Przekonaliśmy się, że boga bez wewnętrznej dyscypliny spotyka w naszych wymiarach taki sam los, jak najzwyklejszego człowieka postawionego w podobnych okolicznościach. To nieszczęście, że ludzkość miała zawsze taki pociąg do absolutów – nawet w naszych bogach.

Orne przypomniał sobie doświadczenie z Bakrishem na stoku wzgórza, tłum, płynące od zmasowanego organizmu ludzkiego siły

Psi.

Abbod nadal prowadził swój wykład:

– Ze swobodą mówisz o wieczności, o absolutach. Zwróćmy się zamiast tego ku skończonemu istnieniu. Rozważmy skończony system, w którym dana *istota* – nawet bóg – może wyczerpać wszelkie zasoby wiedzy i zdobyć pełne poznanie.

Orne wyobraził sobie sytuację odmalowaną słowami Abboda i mimowolnie wyrwało mu się:

– To byłoby gorsze od śmierci!

– Taka istota znalazłaby się wobec niewypowiedzianej śmiertelnej nudy – zgodził się Abbod. – Przyszłość stałaby się nie kończącym się powtarzaniem, odtwarzaniem wszystkich starych zapisów. Byłaby, jak powiedziałeś, nudą gorszą od zagłady.

– Ale nuda jest formą zastoju. W którymś miejscu załamałaby się i eksplodowała w chaos – zauważył Orne.

– A gdzież przebiega egzystencja nas, biednych, skończonych stworzeń? – zapytał starzec.

– Otoczonych chaosem – rzekł Orne.

– Pograżonych w nim – dodał Abbod i zamrugał powiekami. – Żyjemy w nieskończonym systemie, gdzie wszystko może się zdarzyć, w miejscu ciągłej zmiany. Jedyne nasze absoluty: Wszystko się zmienia.

– Jeśli wszystko może się zdarzyć, to twoja hipotetyczna istota mogłaby zostać zgłodzona. Nawet bóg? – powiedział Orne.

– Niezła cena za ucieczkę przed nudą, he?

– To nie może być takie proste – sprzeciwił się Orne.

– I zapewne nie jest. Wewnątrz nas istnieje inna świadomość, która wyklucza zagładę. Nazywano ją kolektywną nieświadomością, *paramatmanem*, *Urgrund*, Sanatana Dharma, nadumysłem, *ober palliat*. Różnie bywała nazywana.

– Znowu słowa – sprzeciwił się Orne. – Fakt, że istnieje nazwa jakiejś rzeczy, nie oznacza, że istnieje sama rzecz.

– W porządku. Jesteś empirykiem. Nie mylisz przejrzystego ro-

zumowania z rozumowaniem poprawnym. Słyszałeś kiedyś opowieść o Niewiernym Tomaszu? – zapytał Abbod.

– Nie.

– Ach, w takim razie śmiertelnik ma okazję pouczyć boga. Tomasz to jedna z ulubionych moich postaci. Nie chciał przyjąć na wiarę zasadniczych faktów.

– Zdaje się, że to mądry człowiek.

– Zawsze go za takiego uważałem – zgodził się Abbod. – Pytał, ale nie zaszedł w swych pytaniach wystarczająco daleko. Tomasz nigdy nie zapytał, komu oddają cześć bogowie.

Orne poczuł, że jego wewnętrzna istota przewraca się do góry nogami – jeden powolny obrót. Wyczuwał kłębiące się tu siły, pojęcia, porządek, chaos, nowe odniesienia. To była eksplozja świadomości, oślepiające światło, które rozjaśniło mu nieskończoność.

Kiedy odczucie minęło, zapytał:

– Nie pouczałeś Mahmuda?

– Nie robiliśmy tego – rzekł niskim, smutnym głosem Abbod. – Mahmud wymknął się nam. Możemy tworzyć bogów... proroków, ale nie zawsze pozostajemy z nimi w dobrych stosunkach. Jeśli wskazują drogę rozkładu i upadku, nie słuchamy ich. Kiedy wskazują drogę wyjścia ze ślepoty, zasłony opadają nam na oczy. Rezultaty są zawsze takie same.

Orne zaczął mówić i słyszał, jak głos odbija się straszliwym echem w pokoju Abboda:

– A nawet kiedy postępujecie wskazaną drogą, osiągacie tylko tymczasowy porządek. Wspinacie się ku potędze i upadając, rozbijacie się na kawałki.

W zamglonych oczach starca zajaśniało wewnętrzne światło. Przemówił:

– Błagam cię, Orne. Czy potrafisz zliczyć wszystkich niewinnych torturowanych i kaleczonych w imię religii, w czasie naszej krwawej historii?

– Liczba nie ma znaczenia – odparł Orne.

– Dlaczego religie dziczeją? – ciągnął Abbod.

– Czy wiesz, co się ze mną działo tej nocy tam, na zewnątrz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Wiedziałem w minucie twej ucieczki. Błagam cię, byś nie był rozniewany. Pamiętaj: to ja cię powołałem.

Wpatrywał się w Abboda, widząc nie ciało, ale siły, które się tam skupiły, jakby wlane przez rozdartą czarną zasłonę.

– Pragnąłeś, abym doświadczył i poznał zawartą w religii energię wybuchu. Zaprawdę, śmiertelny *może* pouczać boga. – Zawahał się i dodał: – Albo proroka. Podobasz mi się, Abbodzie Halmyrachu.

Łzy pokazały się w oczach Abboda. Zapytał:

– Kim jesteś, Orne – bogiem czy prorokiem?

Starął się wyciszyć zmysły, rozważał nowe powiązania, wreszcie rzekł:

– Jednym z nich lub obydwoma... albo żadnym. Można wybierać. Przyjmuję twoje wyzwanie. Nie daję początku nowej, dzikiej religii–

– Co zatem zrobisz? – wyszeptał starzec.

Orne odwrócił się i machnął ręką. Miecz z pełgających płomieni pojawił się na odległość dwu metrów od jego wyciągniętej ręki. WyceLOWał go w głowę Abboda i dostrzegł strach w jego oczach.

– Co stało się z pierwszym samotnym człowiekiem, który uwolnił tę formę energii? – spytał Orne.

– Został żywcem spalony za czary. Nie wiedział, jak używać siły, którą powołał do istnienia – wyjaśnił Abbod.

– Zatem to niebezpieczne powoływać do istnienia siły, o której nie wiadomo, jak jej użyć. Czy wiesz, jak nazwano tę konkretnie siłę?

– Salamandra – wyszeptał Abbod.

– Ludzie byli przekonani, że to żyjący własnym życiem demon – stwierdził Orne. – Ale ty wiesz o tym więcej, czyż nie tak, wielbny Abbodzie?

– To naturalna energia – szepnął Abbod. Oddychał nierówno, opadł na poduszki.

Zauważywszy jego osłabienie Orne przelał weń dodatkową energię.

– Dziękuję – powiedział Abbod. – Czasami zapominam o swoich latach, ale one nie chcą zapomnieć o mnie.

– Zmusiłeś mnie do akceptacji rzeczy, które mogłem czynić już dawniej – rzekł Orne. – Wątpiłem w istnienie świadomości nadrzędnej, która pojawia się czasami w ludziach, w bogach, prorokach i maszynach. Ale poddałeś mnie próbie wiary i zmusiłeś, abym uwierzył w siebie.

– Tak właśnie tworzy się bogów – z przekonaniem powiedział Abbod.

Orne przypomniał sobie stary koszmar senny: *Bogowie nie rodzą się, bogów się tworzy*. Przemówił:

– Powinieneś posłuchać Tomasza. Bogowie też oddają cześć. Przywołałem Mahmuda, a Mahmud nie był stworzony przez was. Spowodował ból i cierpienie. W nieskończonym wszechświecie bóg może nienawidzić.

Starzec zakrył twarz rękoma i jęknął:

– Och! Co zrobiliśmy? Co zrobiliśmy?

– Psi należy przeciwstawić Psi – stwierdził Orne.

Siłą woli wyrzucił się w przestrzeń i w zmienne wymiary, znalazł miejsce, gdzie siły Psi nie rozpraszały go. Gdzieś tam było wielkie wycie nie-dźwięku, ale mógł je zignorować. Myśl o gorejących sekundach tykała w jego wnętrzu.

CZAS!

Żonglował symbolami jak skupiskami energii, manipulował energią jak utajnionymi sygnałami. *Czas i napięcie: Napięcie równa się źródło energii. Energia plus przeciwdziałanie równa się wzrost energii. Aby wzmocnić jakąś rzecz, przeciwstawiaj się jej. Wzrost energii plus opozycja tworzy nowe tożsamości.*

Orne bezgłośnie wyszeptał do CZASU.

– *Upodabniasz się do najgorszego w tym, czemu się przeciwstawiasz.*

CZAS wykazał mu: Wielki degeneruje się do małego, kapłan wpada w zło...

Gdzieś za plecami wyczuwał chaotyczny przepływ energii. To była wielka otchłań wypełniona nieprzerwanym przepływem. Poczuł, że jest na szczycie góry, a szczyt góry znajduje się pod nim. Nacisnął rozłożonymi dłońmi żywą ziemię.

Zatem mam kształt, pomyślał.

Z podnóża góry dobiegł go głos. Coś ścigało go, skręcało, zwiąjało. Orne oparł się temu, pozwolił sobie płynąć w stronę głosu.

– Niech będzie błogosławiony Orne: niech będzie błogosławiony Orne...

To była psalmodia przedwiedzy w głosie Abboda. Byli też tam inni – Diana, Stetson... wielu.

– Niech będzie błogosławiony Orne...

Orne widział zmysły, które stworzył dla tego celu i to w wymiarach będących jego własnym dziełem. Ciągłe wyczuwał przepływający chaos, wiedząc, że nawet to go nie powstrzyma. Należało tylko nastawić się na właściwą percepcję. Wtedy zasłony opadną.

– Niech będzie błogosławiony Orne – modlił się Abbod.

Poczuł paroksyzm sympatii do starca, rozpoznał tę grozę. To było jak nieudane przedstawienie Emolirido – trójwymiarowy cień rzucony na dwuwymiarowy wszechświat. Abbod istniał w cienkiej warstwie czasu. Życie rzutowało sprawą Abboda na ten cienki wymiar.

Abbod modlił się do swego Boga Orne'a i Orne mu odpowiadał zstępując ze szczytu, wymazując kult rzesz, pogrążając się w spoczynku niczym cielesna forma siedząca na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

– Jeszcze raz przywołałeś mnie – powiedział Orne.

– Nie powiedziałaś, co wybierasz. Bóg, prorok... czy?

– Ciekawe – zauważył Orne. – Istniejesz w ramach tych wymiarów, choć poza nimi. Widziałem, jak przebiegłeś myślami całe życie, a zajęło ci to ledwie sekundę. Kiedy znajdujesz się w niebezpieczeństwie, twoja świadomość wycofuje się do nie-czasu, zmuszając niemal

czas, by się zatrzymał.

Abbod ciągle siedział oparty na łóżku, ale ręce miał teraz rozłożone do modlitwy. Mówił:

– Modłę się, byś odpowiedział na moje pytanie.

– Znasz już odpowiedź – powiedział Orne.

– Ja? – Abbod otworzył szeroko oczy, tak był zaskoczony. Chude, starcze golenie trzęsły się.

– Znałeś ją od tysięcy lat – rzekł Orne. – Wiedziałem to. Nim człowiek zapuścił się w Kosmos, byli tacy, którzy we właściwy sposób patrzyli na wszechświat i nauczyli się odpowiadać na takie pytania. Nazywali się *Maya*. Język nazywał się sanskrytem.

– *Maya* – szepnął Abbod. – Rzutuję swą świadomość na Wszechświat.

– Życie stwarza własne powody – mówił Orne. – Projektujemy naszą rację bytu. A przed nami zawsze pozostaje wielki kataklizm i wielkie przebudzenie. Zawsze przed nami – wielki pożar, z którego odradza się feniks. Wiara, którą posiadamy, to wiara, którą tworzymy.

– W jaki sposób odpowiada to na moje pytanie? – dopominał się Abbod.

– Wybrałem to, co wybrałby każdy bóg – oparł Orne.

I zniknął z sypialni Abboda.

Rozdział 30.

Orne wykazał, że prorok, który wskrzesza zmarłego, przywraca w istocie materię ciała do czasu, kiedy była ożywiona. Dla człowieka, który skacze z planety na planetę, czas stanowi swego rodzaju pozycję; przestrzeń nie istnieje poza czasem, w którym mogłaby się rozciągnąć. Orne stworzył nasz Wszechświat jako rozszerzający się balon o nieregularnych wymiarach. Przyjął zatem moje wyzwanie i odpowiedział na moją modlitwę. Nadal możemy patrzeć na nasz Wszechświat przez sieć symboli, które tworzymy. Nadal możemy odczytywać nasz Wszechświat niczym stary człowiek z nosem przyklejonym do stronnicy.

Prywatny raport ABBODA HALMYRACHA

W swoim biurze na Marak Tyler Gemine, kierownik POR, przyjmował gościa, siedząc za ogromnym biurkiem z czarnego drzewa. Biurko pachniało środkiem do polerowania mebli. Na szerszym boku znajdowała się projekcja holograficzna rodziny Gemine'a i konsola łączności.

Okno symulacyjne za plecami Gemine'a wychodziło na piramidalne stopnie Centrali Rządowej Marak, zstępującą linię parków i kanciaste budowle, połyskujące w zielonkawym świetle słońca. Okrągła sylwetka kierownika rysowała się na tle okna – był tłusty i jowialny, z roześmianymi ustami i twardym spojrzeniem. Marsowe zmarszczki pokrywały mu czoło.

– Próbuję jasno to sobie przedstawić, admirale Stetson – mówił Gemine. – Powiada pan, że Orne pojawił się w pańskim gabinecie znikąd?

Stetson siedział rozwalony w fotelu naprzeciw Gemine'a; oczy miał prawie na poziomie blatu biurka. Zaciekawilo go, że wypolerowana powierzchnia stwarzała iluzję fal gorąca igrających na piersi

Gemine'a.

– To właśnie powiedziałem – potwierdził Stetson.

– Myśli pan, że podobnie jak ten facet z Wessen? Sprawa Psi?

– Niech pan to nazwie, jak pan chce: Orne po prostu wyskoczył znikąd, uśmiechnął się do mnie i pozostawił to przesłanie.

– Nie uważam, aby było pochlebne – zaprotestował Gemine. Wbił w Stetsona swoje twarde spojrzenie.

– No cóż, proszę pana, wielu z nas z B-D szuka teraz pracy, kiedy to wy przejmiecie naszą robotę. – Stetson ukrył rozbawienie pod maską zainteresowania.

– Rozumiem. – Wzrok Gemine'a był chłodny i badawczy. – Czuję się jednak urażony, głęboko urażony sugestią, że POR popełniło poważne błędy...

– Była ta nieszczęśliwa historia na Hamal, proszę pana – zauważył Stetson. – Żeby nie wspomnieć o Gienah i...

– Nie sugeruję, że jesteśmy doskonali, admirale. – powiedział Gemine. – Ale nasze stanowisko jest teraz zupełnie jasne. Głosowanie na Zgromadzeniu było decydujące. Nie ma już B-D, a my jesteśmy...

– W sensie ostatecznym nic nie jest naprawdę decydujące, proszę pana. – wtrącił Stetson. – Lepiej byłoby, ach, aby był pan uprzejmy przestudiować to, co Orne mówi w tym przesłaniu.

– Jest ono wystarczająco jasne – stwierdził Gemine. – I muszę powiedzieć, że jest trochę przesady w sugestii, iż miałbym to przyjąć na wiarę i... co to ja chciałem, czy nie robi się tu zbyt gorąco?

– Przesunął palcem pod kołnierzykiem.

Nie podnosząc się, Stetson wskazał okolicę lewego ucha Gemine'a.

Szef POR odwrócił się i wytrzeszczył oczy, dostrzegłszy igrzący w powietrzu płomień. Na skórze odczuł pieczenie i szczypanie. Nagle płomień przybrał rozmiary kuli o średnicy prawie metra.

Gemine zerwał się na równe nogi; odskakując do tyłu, przewrócił krzesło. Żar omiatał mu twarz.

– Co teraz? – spytał Stetson.

Gemine rzucił się w prawo, ale płomień wyprzedził go, odcinając drogę. Zapędził go w kąt.

– W porządku – zapiszczał. – Zgadzam się! Zgadzam!

Płomień zmniejszył się do rozmiarów iskierki i zniknął.

– Orne tłumaczy to tak, że nie ma we Wszechświecie takiego miejsca, gdzie w tym czy innym czasie nie byłoby płomienia. To po prostu kwestia takiego przesunięcia przestrzeni i czasu, żeby przestrzeń pokryła się z czasem ognia. Skoro doszliśmy do porozumienia, może pan usiąść. Nie sędzę, aby pana niepokoił, chyba że...

Gemine poprawił fotel i zagłębił się w nim. Pot ściekał mu po twarzy. Z wyrazem przerażenia wpatrywał się w Stetsona. Wyjąkał:

– Ale powiedział pan, że mam pozostać na stanowisku!

Tym razem zachmurzył się Stetson.

– Cholerna bzdura z tymi trzonkami i motykami!

– Co?

– On mówi, że żyjemy we Wszechświecie, w którym wszystko może się zdarzyć, a to znaczy, że nawet wojna może być brana pod uwagę – mruknął Stetson. – Czytał pan raport! Nie ośmieliliśmy się ująć niczego z jego przesłania.

Gemine lęklonie spojrział na okolice swego lewego ucha, potem popatrzył na Stetsona.

– Właśnie. – Chrząknął, oparł się i wyciągnął ręce przed siebie.

Stetson mówił:

– Mam być przydzielony do pańskiego biura jako specjalny asystent wykonawczy. Moim obowiązkiem jest ułatwianie włączenia B-D do... – zawahał się – ...POR.

– Tak... oczywiście. – Gemine pochylił się i przyjął nagle poufaly ton: – Masz pojęcie, gdzie jest teraz Orne?

– Powiedział, że spędza miodowy miesiąc – burknął Stetson.

– Ale... – Gemine wzruszył ramionami. – Chcę powiedzieć, że z jego siłami, z tym, co jak widać, potrafi robić... No, ze sprawami Psi i tak dalej...

– Wiem tylko to, co on mi powiedział – przerwał Stetson. –

Mówił, że wyjeżdża, aby spędzić miodowy miesiąc. Mówił, że to właśnie zrobiłby każdy człowiek z krwi i kości w takiej chwili.

Rozdział 31.

Kiedy jest się raz Psi, to już na zawsze Psi. Kiedy się raz stanie bogiem, można być tym, kim się wybierze. Składam ci stosowny hołd, walebny Abbodzie, za twoja dobroć i twoje pouczenia. Ludzie są na tyle uwarunkowani patrzeniem na Wszechświat w kategoriach małych, opatrzonych etykietkami kawałków, że skłonni są działać tak, jakby Wszechświat rzeczywiście składał się z takich kawałków. Matryca, przez którą dokonujemy percepcji Wszechświata, musi być prostą funkcją tego Wszechświata. Gdy wykrzywiamy matrycę, nie zmieniamy świata, a jedynie nasz sposób jego postrzegania. Mówiłem Stetsonowi, że to przypomina narkomanię. Jeśli wymuszasz cokolwiek, nawet pokój, potrzeba ci tego coraz więcej, aby zostać nasyconym. W przypadku pokoju jest to straszliwy paradoks: Potrzebujesz coraz więcej przemocy, na zasadzie kontrastu. Pokój przybywa do tych, którzy posiadli zmysł jego przyjęcia. Z wdzięczności za te pouczenia dotrzymam danej ci obietnicy: ludzkość ma otwarte konto w Banku Czasu. Ciągłe może się zdarzyć wszystko.

LEWIS ORNE do Abboda Halmyracha

PS. Zanotujcie, proszę, że chcę mieć taki napis na grobie: „Wybrał nieskończoność pewnego skończonego stopnia w czasie”. Swego pierwszego syna nazwiemy Hal i niech się sam głowi, co to znaczy. Jestem pewien, że Ag mu pomoże.

Szczerze oddany, L. O.